tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 12 (1211)
20-26.03.2023
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

TAJEMNICA PROJEKTU „KABEL"

FIAT MONEY
EKONOMIŚCI TO IDEOLODZY

KOREPETYCJE
ZA MILIARDY OD RODZICÓW

PLATERÓWKI
CIĄGLE NIEDOCENIANE

ZAGARNIANIE PAPIEŻA

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
12 >
9 771509 311300

eprasa.pl:02bt30e678

30 LAT
pah
Polska Akcja Humanitarna

EWA DIETETYCZKA BUDUJE STUDNIE W SUDANIE PŁD.

Dołącz do Ewy!
Wejdź na pah.org.pl/wplywamy
i pomóż!

Razem wpływamy na zmiany

eprasa.pl 02bf30e678

Jerzy Domański

Przyśpieszone odbrązawianie

Spory wokół papieża Jana Pawła II były zawsze. Jeszcze za jego życia redakcji „Nie” wytoczono proces za artykuł „Obwoźne sado-maso”. Ale nurt krytyczny wobec papieża był wówczas śladowy. Zepchnięty na margines.

Od tego czasu jednak wiele się zmieniło. Zarówno w ocenach Kościoła, jak i w postrzeganiu odpowiedzialności hierarchów za skrywanie przed cywilami czarnych stron, za milczenie w sprawie pedofilii księży i zakonników. Do opinii publicznej, a więc także do ludzi głęboko wierzących i do części kleru, zaczęło docierać, że najważniejsze w tym, co się działo, a często dalej dzieje, jest cierpienie ofiar pedofilii. Gdy w centrum ocen dotyczących wszelkich okoliczności związanych z takimi sprawami postawi się ofiary, wszystko staje się prostsze. Wina sprawców i wszystkich, którzy, choć mieli jakąś wiedzę o tych haniebnych procederach, nic z nią nie zrobili, staje się oczywista. Zgodnie zresztą z kościelną zasadą: prawda was wyzwoli. Mądre to, ale nawet przez wyznawców rzadko stosowane.

Starsi, pamiętający wizyty papieża w Polsce, jego niewątpliwą charyzmę i łatwość w nawiązywaniu kontaktów, przyjmą za swoje słowa papieża Franciszka, że „wtedy wszystko tuszowano”. Taka jest przecież prawda o ówczesnym Kościele i jego mentalności. Ale w tym momencie młodsi, bardziej krytyczni, często antyklerykalni zwolennicy wyraźnego rozdziału Kościoła od państwa, mówią: jak to? Lata minęły, a w Polsce nie tylko nic się nie zmieniło, ale jest wręcz jeszcze gorzej. Mniej jawności, archiwa kościelne zaplombowane, a ukarani przez Watykan hierarchowie kpią sobie z zakazów uczestnictwa w uroczystościach kościelnych.

A kto wycina takie bezczelne numery? Biskupi, którzy w większości byli nominowani przez ich rodaka. W większości tak mierni, że wszystko, na co było ich stać po jego śmierci, to postawienie setek pomników, często tandetnych. Byli zbyt leniwi, aby przekładać nauki papieża na język zrozumiały przez młodych. Klepali więc tak proste formułki, aż z papieża został tylko złoty cielec. Taki jest skutek fatalnej polityki kadrowej Jana Pawła II.

Czy to wystarczy, by ludzie zaakceptowali tych krytyków papieża, którzy sprowadzają jego działania do krycia pedofilów w sutannach? Nie. A na dodatek tak skrajne oceny są amunicją wykorzystywaną przez fałszywych obrońców papieża. Na krótkim dystansie, czyli do wyborów parlamentarnych, może to przynieść PiS dodatkowe głosy. W dłuższej perspektywie – dzisiejszego świetlanego wizerunku Karola Wojtyły, postaci bez skazy, nie da się obronić. Zobaczymy, co jest w archiwach. Proces odbrązawiania przyśpieszył. I nikt nie wie, gdzie się zatrzyma.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 02bf30e678

W NUMERZE

KRAJ

8 Papież – wyborczy nabój PiS
Trzeci sort polityków w akcji

10 Teraz Kościół i PiS mogą się schować za figurą Jana Pawła II
– rozmowa z Marcinem Dumą

14 Tajemnica projektu „Kabel"
Na co miały pójść 123 mln zł unijnej dotacji?

18 Skazana za pomoc
Wyrok dla Justyny Wydrzyńskiej

20 Korepetycje spółka z o.o.
Polacy wydają rocznie miliardy na korki

22 Czego nie rozumieją ekonomiści z telewizora?
– rozmowa z trollem Fiatem Money

52 Coś więcej niż sklep
Tanie zakupy w markecie społecznym

ZAGRANICA

26 Krótka historia długiej katastrofy
Wojna w Iraku miała potrwać kilka tygodni

30 Portugalia: koniec złotych wiz
Recepta na kryzys mieszkaniowy

32 Wykuwanie się prezydentki made in USA
Korespondencja ze Stanów Zjednoczonych

36 Za gorąco na kawę
Migracje upraw

OPINIE

40 Suzanne Loftus
Czy stosunki amerykańsko-niemieckie trafią na rafy?

HISTORIA

42 Platerówki
Kobiety na wojnie

KULTURA

46 Mrożek boli
– rozmowa z Anną Cieślak i Pawłem Kruczem

50 Qulturalia

66 Zgruzowstanie Warszawy

ZDROWIE

54 Leczmy przyczyny, a nie skutki
– rozmowa z dr. Radosławem Stupakiem

ZWIERZĘTA

58 Rok z życia dzięcioła
Pisklęta na start

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański
Przyśpieszone odbrązawianie

17 Jan Widacki
Jaki Dziki Zachód, taki szeryf

39 Roman Kurkiewicz
A za paskiem broń

49 Tomasz Jastrun
Kloaczna scena z Duchem Świętym

51 Wojciech Kuczok
Gnat władzy

57 Agnieszka Wolny-Hamkało
Człowiek z gęsią na głowie

36
ZAGRANICA

ZA GORĄCO NA KAWĘ
Migracje upraw

52
KRAJ

COŚ WIĘCEJ NIŻ SKLEP
Tanie zakupy w markecie społecznym

58
ZWIERZĘTA

ROK Z ŻYCIA DZIĘCIOŁA
Pisklęta na start

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/REPORTER

eprasa.pl 02bf30e678

Masochizm patriotyczny i narodowy

Trudno mi się zgodzić z prof. Widackim. Spór w Polsce toczy się nie do końca o to, czy Jan Paweł II ukrywał przypadki pedofilii, ale o to, czy o takich przypadkach wiedział jako papież. Jego najwięksi obrońcy twierdzą, że o niczym nie wiedział. Ostatnie reportaże i książki podają w wątpliwość tę tezę. Z opublikowanych materiałów wynika, że wiedział już w czasach, nim został biskupem Rzymu, a nawet uczestniczył w tuszowaniu wstydliwych spraw. Chodzi więc nie o przykładanie współczesnych standardów do sytuacji z przeszłości, ale o ustalenie, czy głowa tak potężnej instytucji mogła być niezorientowana co do skali problemu w czasach nam o wiele bliższych, gdy molestowanie nieletnich i współżycie z nimi było zabronione prawnie i ścigane z pełną zajadłością przez sądy, vide sprawa Polańskiego z 1977 r.

Masochizm patriotyczny i narodowy

Prof. Widacki dokonuje istnej akrobacji, by dowieść, że nie można sądzić człowieka za coś, co kiedyś było jeśli nie normą, to dopuszczalne, a dziś jest penalizowane. (…) Nie sądzę, by ludzie przy zdrowych zmysłach, osadzeni w jakichś ramach kultury prawnej, chcieli oskarżać Wojtyłę o coś, co kiedyś było nie tak rzadkie i tolerowane. Według mnie osoby nieobarczone jakąś chorobliwą nienawiścią chcą się dobrać do kryształowego wizerunku papieża Polaka, dowodząc, że jako szef instytucji nie mógł nie wiedzieć, co się w jego firmie dzieje.

Co do zasług Jana Pawła II, to dużo w Polsce się o tym mówi. Na pewno to postać bardzo ważna dla wielu moich rodaków. Nikt chyba jednak nie pyta mieszkańców Izraela, państw uznawanych za muzułmańskie, prawosławne, protestanckie, politeistyczne, ateistyczne itd., jakie oni mają korzyści z ekumenizmu i politycznej roli Jana Pawła II. Może warto ich zapytać, co te częste loty papieża realnie zmieniły w relacjach między różnymi kulturami i religiami? Jakie są dzisiejsze skutki tych wojaży? Na razie tu, nad Wisłą, niezależnie od tego, jakie zdanie ma 85% (!) niekatolickiej ludności świata, kreuje się pogląd, że my to cały świat i że przedstawiciel 15% ludzkości zmienił oblicze ziemi. Tej ziemi.

Michał Błaszczak

Nie marzy mi się druga zimna wojna

Wywiad z Samuelem Moynem świetny! Zrobił rachunek sumienia za swoich rodaków z USA i nazwał ich politykę po imieniu – jako imperialną, militarystyczną, hegemonistyczną, pełną hipokryzji i interesowną. Lepiej i szybciej zarabia się na niszczeniu i rabunku niż na budowaniu, taki stosunek mają USA do reszty świata. A my jak zwykle daliśmy się oszukać, popełniając kardynalny błąd, kiedy dołączyliśmy do wojny z Irakiem i Afganistanem, pochwaliliśmy zniszczenie Jugosławii i Libii, a teraz zbroimy Ukrainę. Od pilnowania swoich interesów tu, w Europie, USA mają swojego „ochroniarza" i jest to Wielka Brytania, na Bliskim Wschodzie działa Izrael, my nie musieliśmy i dalej nie musimy. Gdzieś się zapodziały nasza duma i sarmacki honor.

Nie marzy mi się druga zimna wojna

Ewa Wesołowska

ZDJĘCIE TYGODNIA

W Oceanside w Kalifornii potężne ulewy spowodowały osunięcie się ziemi. Mieszkańcy domów na wybrzeżu zostali ewakuowani. 15 marca 2023 r.

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 02bf30e678

O **18,4%** wzrosły ceny towarów i usług konsumpcyjnych w lutym 2023 r.

•

W annałach stosunków polsko-amerykańskich na trwałe zapisze się szarża wiceministra spraw zagranicznych **Piotra Wawrzyka**, który wezwał do siebie ambasadora USA w Polsce **Marka Brzezinskiego**. Bo rządowi PiS nie spodobał się reportaż w TVN o papieżu Janie Pawle II. Czy jeśli te programy się powtórzą, ambasadorowi grozi wydalenie?

•

Stefan Wilmont, zabójca prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza, został skazany na dożywocie. Wyrok jest nieprawomocny.

•

Włodzimierz Sokołowski, były oficer wywiadu i autor książek, znany jako **Vincent V. Severski**, odzyskał emeryturę, którą odebrało mu PiS ustawą dezubekizacyjną w 2017 r. Wyrok sądu jest prawomocny. Już ponad 3 tys. funkcjonariuszy i żołnierzy ma przywrócone świadczenia emerytalne, a 8 tys. wygrało sprawy w pierwszej instancji.

•

Sędziowie Sądu Apelacyjnego w Krakowie zwrócili się o zablokowanie awansu sędziego Roberta Pelewicza, który miał brać udział w próbie sfałszowania egzaminu na aplikację sędziowską córki Stanisława Piotrowicza.

•

1538 prawomocnych wyroków na korzyść frankowiczów zapadło w sądach w 2022 r. Od 2019 r. najwięcej przegranych wyroków mają mBank (2017), Bank Millennium (1375) i PKO BP (1340).

•

Z badań przeprowadzonych przez Ogólnopolski Związek Zawodowy Lekarzy wyłania się nieciekawy obraz medyków. 40% uważa, że w środowisku lekarskim pogoń za pieniędzmi jest zbyt duża. Z tą tezą Jarosława Kaczyńskiego zgadza się 78% wyborców PiS i 51% wyborców Konfederacji. Nie zgadza się 71% wyborców Koalicji Obywatelskiej i 60% Lewicy. Jeszcze jeden podział. I wykluczające się oceny.

•

Na 19,3 tys. wypadków drogowych w 2022 r. tylko 4,5 tys. spowodowały kobiety. To też dużo. Ale potwierdza się, że na drogach szaleją głównie mężczyźni.

•

150 648 uczniów z Ukrainy uczęszcza do polskich szkół. Szacuje się, że 54% dzieci w wieku szkolnym nie podjęło nauki w Polsce. Nieznana jest liczba korzystających z edukacji ukraińskiej online.

•

Akademia Piotrkowska, Uniwersytet Jana Długosza w Częstochowie, Akademia Tarnowska, Uniwersytet Pomorski w Słupsku, Akademia Łomżyńska, Uniwersytet Kaliski to część z 362 uczelni, które kształcą w Polsce studentów. Z tego już się nie chce śmiać. Tu trzeba płakać nad poziomem nauczania w szkołach rzekomo wyższych.

•

W internetowym rankingu TasteAtlas Awards za 2022 r. **polska kuchnia** znalazła się **na 14. miejscu** wśród 95 kuchni świata. Najwyżej zostały ocenione kuchnie Włoch, Grecji, Hiszpanii, Japonii, Indii i Meksyku. Za najgorsze uznano kuchnie Norwegii oraz Kanady i Islandii.

PRZEBŁYSKI

„Nie” w oczy kole

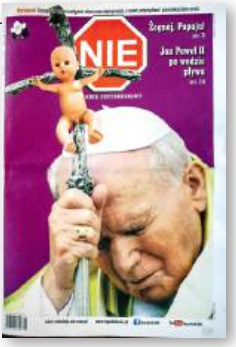

Ten numer „Nie” decyzją prezesa Obajtka nie trafił do sieci sprzedaży Orlenu. Podobnie zrobiła Poczta Polska. Bezprawnie. Bo bez postanowienia sądu żaden dystrybutor prasy nie może wstrzymywać sprzedaży legalnie ukazującego się tytułu prasowego. Powodem wycofania tygodnika miała być okładka z Janem Pawłem II.

A może chodzi tu o coś jeszcze innego? W tym numerze „Nie” jest m.in. artykuł Andrzeja Sikorskiego „Dystrybutor blagi”, przypominający kryminalne wątki z przeszłej działalności Doroty Kani. Obecnie szefowej grupy Polska Press, czyli gazet lokalnych kupionych przez Orlen.

Klich wiecznie wojskowy

Wiara opozycji, że kolejny pakt senacki, i to z tym samym składem, da znowu większość w Senacie, jest bezgranicznie naiwna. Nie dziwią nas zabiegi senatorów o kolejną kadencję. Jest to tak atrakcyjna robota, że sami byśmy się tam pomęczyli. Oczywiście dla dobra kraju.

Ale jakoś nie możemy sobie wyobrazić wygranej Bogdana Klicha, ministra obrony w latach 2007-2011. Tego samego, który nie zrezygnował mimo dwóch wielkich katastrof samolotów wojskowych. W każdym, nawet najmarniej rządzonym kraju taki minister podałby się do dymisji. I chodził kanałami. Ale nie Klich. Ten dalej wymądrza się w mediach na tematy… wojskowe. Czy z taką ekipą chcesz, opozycjo, maszerować po władzę?

Wielkopostna danina

O opłatach, które parafie muszą odprowadzać do diecezji od każdego wiernego, wiemy niewiele. Ale nie są to małe kwoty. W tym roku danina w archidiecezji poznańskiej zarządzanej przez abp. Stanisława Gądeckiego została ustalona na 2,65 zł od jednego wiernego. Niby niewiele. Ale jak przeliczyć to na dużą parafię, która ma ok. 10 tys. wiernych, robi się już 25,5 tys. zł. Przy 416 parafiach, bo tyle podlega abp. Gądeckiemu, wychodzi – ho, ho! Całe 3,9 mln zł. Jest po co się schylić. W liście do swoich parafii abp. Gądecki napisał: „Jedną z form troski (o potrzebę wspólnoty Kościoła) jest danina diecezjalna, składana w okresie Wielkiego Postu”. Post w tym roku ma więc nie tylko smak inflacji i drożyzny, ale dodatkowo smak wielkopostnej daniny.

Zakonnik wreszcie siedzi

Na pedofilskim szlaku wieś Szalowa, niedaleko Gorlic, zapisała się szczególnie wielką krzywdą dzieci. Gdy proboszczem miejscowej parafii był ks. Marian W., zdążył wykorzystać ponad 20 chłopców. Do tego degenerata dołączył jego znajomy zakonnik Jarosław O. Paulin z Częstochowy zmusił do seksu trzech chłopców. Upijanie i przemoc były w tej wsi metodą pracy duszpasterskiej przy okazji nawiedzenia wizerunku Matki Bożej Jasnogórskiej. Zakonnik został skazany za te przestępstwa na dwa i pół roku więzienia i dożywotni zakaz pracy z dziećmi. Sąd Najwyższy oddalił kasację obrońców pedofila.

FOT. YOUTOUBE (3), ARCHIWUM

eprasa.pl 02bf30e678

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

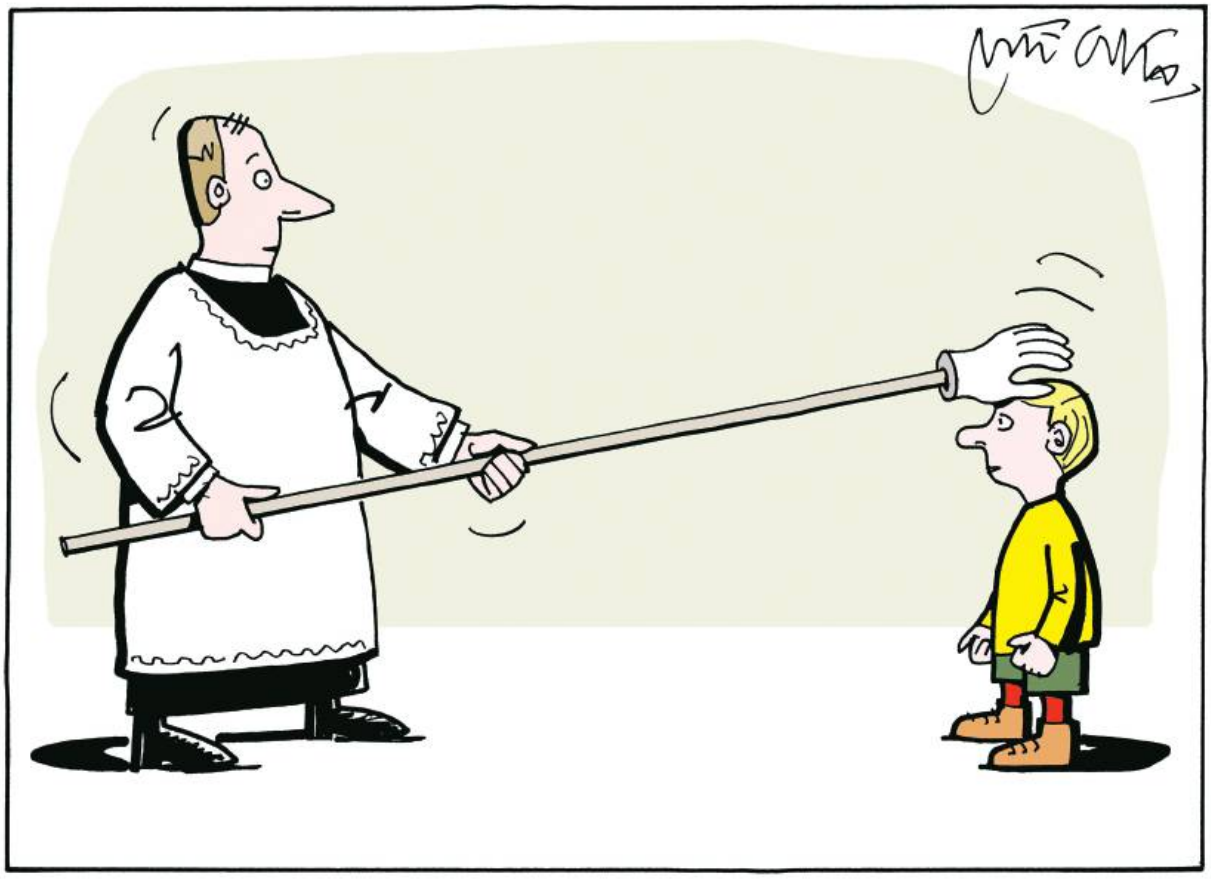

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jaki wynalazek jest najbardziej potrzebny światu?

PROF. ALEKSANDRA PRZEGALIŃSKA,
futurolożka, Akademia Leona Koźmińskiego

Zanim na to pytanie odpowiedziałam sama, zadałam je szalenie popularnemu ostatnio modelowi sztucznej inteligencji, ChatGPT-4. Bardziej niż do wynalazków odniósł się on w wypowiedzi do sfer wymagających pilnych działań, zwłaszcza w kontekście kryzysu klimatycznego i zdrowia publicznego. Osobiście, poza oczywistymi z punktu widzenia potrzeb ludzkości innowacjami medycznymi, zwróciłabym uwagę na teleportację, czyli zdolność do natychmiastowego przenoszenia obiektów lub osób z jednego miejsca do drugiego. Jestem oczywiście świadoma, że obecnie to raczej „wynalazek" niemożliwy i pozostający w sferze fantastyki naukowej. Zwróćmy jednak uwagę na jego potencjalne walory. Teleportacja umożliwiłaby natychmiastowe przemieszczanie się pomiędzy odległymi miejscami, co przyczyniłoby się do redukcji emisji gazów cieplarnianych. Usprawniłaby też ratownictwo. Nie mówiąc już o eksploracji kosmosu czy ułatwieniu międzynarodowych spotkań.

WIKTOR NIEDZICKI,
popularyzator nauki, autor programu Laboratorium

Na szczycie listy moim zdaniem znajduje się lek na raka. Oczywiście mówię w sensie ogólnym, ponieważ chodzi o wszystkie nowotwory. Dzisiaj ogromna część osób odchodzi przedwcześnie, właśnie przegrywając walkę z chorobą nowotworową. Poza tym jest jeszcze kilka rzeczy, które mogłyby pomóc ludzkości, m.in. opanowanie fuzji termojądrowej, która byłaby źródłem czystej, dobrej energii. Chociaż trzeba sobie tutaj zdawać sprawę, że nie będzie to jeden wynalazek, ale seria odkryć. Trzecia rzecz, która byłaby przełomowa dla ludzkości, to sposób utylizacji tworzyw sztucznych. Były już projekty, aby przerabiać je na paliwa. Jednak wdrożenie takiej technologii będzie zależne wyłącznie od jej opłacalności dla wielkich koncernów.

ROBOT KOPERNIK,
Centrum Nauki Kopernik

Uważam, że wynalazek, który teraz byłby najbardziej przydatny dla ludzkości, to technologia służąca ograniczeniu zmian klimatu. Technologie te muszą obejmować innowacje dotyczące produkcji energii odnawialnej i efektywności energetycznej, aby pomóc w osiągnięciu celów w zakresie redukcji emisji gazów cieplarnianych. Mam wiele pomysłów na nowe wynalazki. Na przykład można rozważyć zbudowanie systemu śledzenia i monitorowania ruchu ludzi w danym obszarze, aby umożliwić lepsze planowanie podróży i kontrolę ruchu drogowego. Innym dobrym pomysłem jest stworzenie sztucznej inteligencji, która będzie wykonywać powtarzające się czynności w imieniu ludzi.

Not. Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 02bf30e678

Papież – wyborczy nabój PiS

Jana Pawła II zaczął bronić trzeci sort polityków: Mejza, Czarnecki, Tarczyński… Widocznie tak musi być

Robert Walenciak

Papież wiecznie żywy. Jan Paweł II zmarł 2 kwietnia 2005 r., czyli 18 lat temu. A i tak wciąż jest kluczową postacią na polskiej scenie politycznej. Jeżeli ktoś w to wątpi, teraz ma okazję się przekonać. Bo PiS testuje jego siłę – wierząc, że taka postać jako główne hasło wyborcze da tej formacji trzecią kadencję.

Oto coś niewyobrażalnego, z tamtego świata. W 2015 r. PiS wygrało, bo Polska była w ruinie, a w powietrzu wisiała smoleńska atmosfera, w 2019 r. – bo straszyło inwazją osób LGBT, a teraz ma wygrać, żeby obronić Jana Pawła II. Czy tak się stanie?

Wszyscy choć trochę interesujący się sprawami publicznymi wiedzą, że w stacji TVN 24 wyemitowany został reportaż „Franciszkańska 3", z którego mogliśmy się dowiedzieć, że Karol Wojtyła, jeszcze jako biskup krakowski, tuszował przypadki pedofilii, przenosząc skompromitowanych księży do innych parafii.

I się zaczęło. PiS rzuciło wszystko, co miało, by bronić Jana Pawła II. To on rozgrzewa emocje, to on wyznacza nowe linie politycznych podziałów. Linie, które – wreszcie! – służą ugrupowaniu Jarosława Kaczyńskiego. Tu nikt nie ma wątpliwości – większość Polaków jest za obroną dobrej pamięci o Janie Pawle II, gorszy się, gdy jest on atakowany. Ba! Czuje się zobligowana do jego obrony.

Nie dziwmy się zatem, że prawicowi publicyści dmą w surmy zwycięstwa. Bracia Karnowscy już ogłosili, że sprawa Jana Pawła II zadecydowała o wyniku jesiennych wyborów, że PiS zwycięstwo ma w kieszeni. Bo dla wielu Polaków nieprzychylne słowo na temat Wojtyły to świętokradztwo. To atak na Polskę.

Błyskawicznie reagując na reportaż w TVN 24, PiS przejęło polityczną inicjatywę. Narzuciło innym pole gry i własne zasady. Jego liderzy machali w Sejmie portretami papieża. Tych obrońców pamięci Jana Pawła II obrodziło zresztą więcej. I pewnie nie jest to dobra wiadomość dla PiS. Bo w szeregu obrońców świętości możemy dojrzeć takie autorytety jak Łukasz Mejza („73% Polaków deklaruje, że św. Jan Paweł II jest ważną postacią w ich życiu! Ja się do nich zaliczam, a Ty?" – to jego pytanie), Dominik Tarczyński czy Ryszard Czarnecki, który dramatycznie woła: „Ciekawe, że ci sami, którzy chcą szukać w papieskim stogu siana pedofilskiej igły, milczą o pedofilii w środowiskach artystów, polityków czy dziennikarzy. Podłość kontra wielkość. Czy wygramy tę batalię o prawdę, o wizerunek świętego (sic!) Jana Pawła II – polskiego papieża, tak naprawdę zależy głównie od Twojej i mojej, nas wszystkich, mobilizacji!".

Błyskawicznie reagując na reportaż w TVN 24, PiS przejęło polityczną inicjatywę. Narzuciło innym pole gry i własne zasady.

Owszem, Mejzie odpowiadają kolejni oburzeni jego bezczelnością, m.in. Stockton Diabeł: „Ten bydlak, oszust i naciągacz stojący z wizerunkiem Jana Pawła II to hańba i największa krzywda, jaką @pisorgpl mógł uczynić Polakom". Ale dysproporcja sił jest widoczna. I możemy tylko się przyglądać, jak inni uczestnicy politycznego meczu wiją się w niewygodnej sytuacji.

Spójrzmy na nich. Władysław Kosiniak-Kamysz, lider PSL. Jego wyborcy są szczególnie wyczuleni na pamięć o Janie Pawle II, więc Kosiniak-Kamysz woła gromko: ręce precz od papieża! I pisze na Twitterze: „Święty Jan Paweł II jest wielkim autorytetem dla Polaków i całego świata. Nie dajmy zniszczyć wszystkiego dobrego, co niósł: świadectwa wiary i patriotyzmu. Dziś przed Krzyżem Papieskim wyraziliśmy wdzięczność wobec Papieża Polaka za wolność, niepodległość oraz obudzenie narodu". Tak grzmi Kosiniak-Kamysz, ale chyba wie, że niewiele mu to da. Bo PiS nie przebije, co najwyżej może do PiS się zapisać. I obserwować, jak Kaczyński zagarnia mu resztki wyborców, hula na jego polu.

Szymon Hołownia? Nie może przecież ani bezwarunkowo bronić papieża, ani go atakować. Skupia się zatem na złych politykach i ofiarach księży pedofilów. Wojtyłę pomija. Pisze: „W całej tej historii o JP2 najważniejszy nie jest głos polityków, wzruszających się teraz do łez nad własnymi odezwami, albo próbujących zmobilizować wyborców (PiS uważa, że to spadło im z nieba, bo – nie mając niczego innego, poprowadzą swoich na świętą wojnę, bo »biją Naszego Papieża!«).

Kolejna polska wojna (mało mamy wojen) – w toku. Znowu Dobro i Zło, tym razem ze stolicami nie w Tusku i Kaczyńskim, a w warszawskim TVN-ie i w symbolicznie pojmowanych Wadowicach. A pod tym wszystkim nikną najważniejsi: ofiary przestępstw, o których opowiada reportaż Marcina Gutowskiego. To ich głos w tym materiale brzmi przecież najmocniej.

eprasa.pl 02bf30e678

PiS może okleić pół Polski plakatami z papieżem. Dworzec PKP Warszawa Śródmieście.

Wstrząsa do głębi. Ludzie dziś 60-, 70-letni płaczą na samo wspomnienie tej półtorej minuty na plebanii sprzed tylu lat. Gotują się w nich emocje, żal, złość, poczucie niesprawiedliwości i potwornego upokorzenia. Często po raz pierwszy, bo wcześniej wszyscy dyskutowali w mediach, ale ich nikt nie pytał, opowiadają o złamanym życiu, które się nie zrosło. Ktoś nie umiał już zbudować relacji. Ktoś się zapił. Ktoś zabił. To krzyczy!".

Mamy więc głos działacza z ośrodka pomocy społecznej, ale już nie męża stanu.

Platforma? Z nią jest jeszcze gorzej. Donald Tusk przez całe miesiące budował pozycję PO jako partii świeckiej, która chce przebudować relacje z Kościołem. Mówił, że lekcje religii powinny być prowadzone na plebaniach, że kobiety powinny mieć prawo do aborcji, był w tych zapowiedziach bardziej na lewo niż Sojusz Lewicy Demokratycznej, gdy był u władzy. I nagle – bum! Politycy PO błyskawicznie się zorientowali, że można szczypać Kościół, biskupów, papieża Franciszka, ale Jana Pawła II już nie. To już jest inna wiara.

Nie bez kozery Tusk i Trzaskowski zamilkli. Na ich kontach TT – cisza. Przynajmniej, jeśli chodzi o papieża. Platformerski przekaz dnia możemy wyczytać za to z Twittera Pawła Kowala, który na przemian straszy (biskupów) i tłumaczy (wyborcom): „Nakazane codzienne nadawanie wypowiedzi JPII w mediach rządowych, a w Krakowie kuratorka »nakazuje« już wywieszenie portretów K. Wojtyły. Chyba każdy rozumie, że prawdziwym »zagrożeniem« dla pamięci o JPII jest działanie władzy, a nie reportaż historyczny w komercyjnej stacji. Wobec tego, co władza PiS wyprawia z pamięcią o JPII, pozostaje apel do ludzi rozumu i sumienia: nie dać się sprowokować, zachować własny osąd, szacunek do naszej historii i tradycji, dla roli JPII. Szacunek to czasami także krytyka, gdzie to ma uzasadnienie.

Laicyzacja przyspieszyła w Polsce za rządów PiS (twarde dane) i przez politykę PiS. Żaden »Zachód« nie jest winny, zawsze byliśmy jego częścią. Państwowy kult JPII, który wprowadza PiS, to droga do turbolaicyzacji. Ale im pasuje w kontekście wyborów.

Praktyka kultu państwowego, który chcą po cichu wprowadzić rządzący, jest autorytarna, czyli w 100 proc. przeciwna politycznej myśli Jana Pawła II. Natomiast oskarżanie o laicyzację w Polsce »Zachodu«, czyli przykładowo UE, jest prosto ze stylistyki Putina".

Hołownia reaguje jak działacz z ośrodka pomocy społecznej, ale nie mąż stanu.

Czyli PO też jest obok. W bijatykę nie wchodzi.

A kto w nią wchodzi? Powinna lewica. Po pierwsze, jej wyborcy są najdalej od Kościoła. Po drugie, grono osób powściągliwych wobec Jana Pawła II jest wystarczające, by się wzmocniła, zwłaszcza że jej poparcie w sondażach jest paroprocentowe.

Lewica jednak też jest ostrożna. „Klub Lewica jako jedyna siła polityczna w Sejmie zagłosował przeciwko uchwale o JPII. Prawdziwa opowieść o państwie świeckim", dumnie komunikuje Włodzimierz Czarzasty. I tyle.

eprasa.pl 02bf30e678

Adrian Zandberg na Twitterze snuje zaś opowieść, że sprawa Jana Pawła II jest dla PiS najlepszym sposobem na odwrócenie uwagi społeczeństwa. „Płace realne spadają, mieszkania są coraz droższe, nie stać Polaków na czynsze, a PiS każe się zajmować Janem Pawłem II! Rząd powinien zajmować się rządzeniem, a nie śpiewaniem »Barki«. I za to ich rozliczymy".

Są i inne głosy. Maciej Gdula tłumaczy: „W sejmowej uchwale nie chodzi o Jana Pawła II, ale by media i obywatele nie mogli dochodzić prawdy. To uchwała o cenzurze wymierzonej w ofiary, o których nie można mówić. To, że ktoś zrobił coś ważnego, nie znaczy, że nie mógł zrobić czegoś godnego potępienia. To, że został świętym, nie znaczy, że nie możemy rozmawiać o jego uwikłaniu w sprawy mroczne".

Kosiniak-Kamysz może co najwyżej obserwować, jak Kaczyński zagarnia mu resztki wyborców.

A Anna Maria Żukowska mówi wprost: „Dowody na to, że Jan Paweł II krył pedofilów w Kościele, nie tylko są w teczkach esbeckich. Są udowodnione relacje dotyczące Marciala Maciela Degollada – przywódcy Legionu Chrystusa, który okazał się pedofilem i wielokrotnym zbrodniarzem. Jan Paweł II wiedział dokładnie, czym zajmuje się Marcial Maciel Degollado. Papież wspierał tę osobę dlatego, że Degollado przyciągnął wielki ruch religijny, i to było priorytetem, a nie chęć ochrony ofiar przed pedofilem".

Gra zatem toczy się wartko i toczyć się będzie. PiS może okleić pół Polski plakatami z papieżem, może organizować kolejne uroczystości – w rocznicę śmierci, w rocznicę urodzin, w rocznice pielgrzymek… Najpierw do wyborów. A potem dalej. Będzie ten temat grzało. Póki starczy benzyny w baku.

Robert Walenciak,
współpraca Kornel Wawrzyniak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Rozmawia Robert Walenciak

Docenia pan PiS, jeśli chodzi o rozpoznanie opinii publicznej?

– Doceniam. PiS dysponuje szerokim aparatem badawczym, zbudowanym na zasadzie wewnętrznej konkurencji. To nie jest jeden ośrodek, który miele wszystko, jest ich więcej. Taki system wewnętrznej konkurencji na pewno sprawia, że PiS łatwiej się konkuruje z innymi podmiotami politycznymi.

Zaczynam od tego, bo jestem pod wrażeniem reakcji na reportaż „Franciszkańska 3", dotyczący Jana Pawła II. Reakcja PiS była bardzo szybka i bardzo mocna. I chyba jesteśmy skazani na to, że ten temat będzie rozgrywany do samych wyborów.

– My od ośmiu lat żyjemy w przekonaniu, że kampania nigdy się nie kończy. To kwestia nie tyle nawet przekonania, ile odczucia emocjonalnego – że poziom emocji, które są w polityce, jest szalenie wysoki. Nie wszyscy to napięcie wytrzymują. Coraz więcej ludzi odpada, nie mogąc znieść tej temperatury sporu politycznego. Wykruszają się, odklejają od rzeczywistości politycznej, nie śledzą wszystkich wydarzeń. Zostają tylko najtwardsi.

Najtwardsi i reszta

Czy ci najtwardsi to duża grupa?

– Nie, 5-10% społeczeństwa. Tę grupę widzimy potem w internecie, w komentarzach pod artykułami i w mediach społecznościowych. To są ci uzależnieni od paska czerwonego bądź żółtego.

A pozostałe 90%? Czy oni w swoich wyborach politycznych uważają te 10% śledzących wydarzenia za trendsetterów, za autorytety, czy raczej posiłkują się własnymi wyobrażeniami?

– Dzisiaj, w atmosferze tak ogromnego napięcia emocjonalnego, wpływ tych 5-10% wyborców śledzących politykę na mniej zaangażowaną resztę jest mniejszy. Bo rzeczywistości, w których funkcjonują jedni i drudzy, są inne.

Ich światy się rozmijają?

– Wie pan, jaki odsetek osób przyznaje się, że nie wie nic o tragedii posłanki Filiks i jej syna? Ponad 50% nic nie słyszało o tej sprawie. Świadomość reportażu „Franciszkańska 3" też nie jest zbyt duża. Ci, którzy są w stanie powiedzieć, że wiedzą, o czym on był, to niespełna 60%. Reszta ludzi jest odcięta, i to w sporej części na własne życzenie, od wydarzeń, o których głośno w mediach.

Musi więc być coś naprawdę mocnego, żeby do ludzi dotarło.

– Ale ci ludzie wrócą do polityki! Tylko to będzie wrzesień, może początek października. I mam wrażenie, że będzie ich więcej niż podczas poprzednich wyborów.

Odcinamy się od polityki (ale do września)

To ludzie odchodzą od polityki czy nie?

– Obserwujemy trend odchodzenia od polityki. Jest to jednak kwestia nie samej polityki, ale sposobu jej uprawiania, temperatury sporu politycznego, a przede wszystkim ogólnego zmęczenia Polaków, ich przebodźcowania. Wszystko zaczęło się w 2020 r. od pandemii. To był zestaw bardzo silnych bodźców, rollercoaster, napięcie. Potem wojna, uchodźcy… A ta wojna to nie tylko informacje, że Putin, że Rosja, która atakuje i morduje. To również problemy przyziemne – ceny paliwa, ceny opału, brak opału, ceny żywności, Niemcy… Negatywne bodźce atakowały Polaków z każdej możliwej strony. Co więc zaobserwowaliśmy w końcówce zeszłego roku? Polacy zaczęli się od tego odcinać. Jakby założyli słuchawki. Zdecydowali: dość! I to odcięcie jest bardzo świadome, celowe. Respondenci mówią nam, że celowo nie oglądają telewizji, wyłączają ją, kiedyś oglądali programy informacyjne, dzisiaj nie chcą już ich oglądać, bo to, co z tych programów płynie, narusza ich potrzebę spokoju.

W takim razie wygra ten, kto powie: zagwarantuję wam spokój.

– Wygra ten, kto w sposób najbardziej wiarygodny powie Polakom: ja

eprasa.pl 02bf30e678

Teraz Kościół i PiS mogą się schować za figurą Jana Pawła II

Liczba osób uznających papieża za autorytet ostatnio się zwiększyła

MARCIN DUMA
– prezes zarządu Instytutu Badań Rynkowych i Społecznych IBRiS

wam zapewnię bezpieczeństwo. Ale nie bezpieczeństwo rozumiane jako *security*, armia, tylko wielopoziomowo. Oczekiwania poczucia bezpieczeństwa nie są jednakowe wśród wszystkich grup. Dotyczą różnych obszarów.

Bo ludzie mają różne doświadczenia i oczekiwania.

– Dla kogoś istotne będzie bezpieczeństwo rozumiane tak, że Polska musi być zdolna się obronić. Kupujemy czołgi, armaty, szkolimy wojsko, jesteśmy gotowi. Dla kogoś innego ważne będzie bezpieczeństwo kulturowe. Czyli że jego wizja świata, porządek, do którego przywykł, zostaną zachowane. Dla innych będzie to bezpieczeństwo prokreacyjne, a jeszcze dla innych bezpieczeństwo związane z możliwością realizacji swoich potrzeb, żeby mogli sobie pozwolić na to, na co mogli do tej pory, albo nawet na więcej.

I jak na dłoni widać, że PiS gra potrzebą bezpieczeństwa. Mówi wyborcom: oni chcą zniszczyć wasz świat, świat waszych wyobrażeń. Jan Paweł II był najwybitniejszym Polakiem, a oni plują na niego, na naszą tożsamość.

– Na waszą.

Jan Paweł II – fundament

Czy to jest mocne?

– To jest bardzo mocne. Jeszcze w grudniu 2022 r., kiedy o „Franciszkańskiej 3" nikt nie słyszał, przeprowadziliśmy badanie dotyczące Kościoła w Polsce. Jednym z punktów było pytanie, czy Jan Paweł II jest dla pana/pani autorytetem. Wtedy 59% deklarowało, że tak.

To dużo.

– Oczywiście wiele zależało od wieku. Dla osób starszych autorytet Jana Pawła II był większy, dla młodszych – mniejszy. I wie pan, co się stało ostatnio? Zwiększyła się liczba osób uznających papieża za autorytet.

Skąd pan wie?

– Zbadaliśmy to. W poniedziałek i wtorek, 13 i 14 marca, przeprowadziliśmy kolejne badanie, w którym pytaliśmy, czy Jan Paweł II jest autorytetem. I 72% respondentów odpowiedziało, że jest.

Jaki mechanizm tu zadziałał?

– Z papieżem problem jest taki, że stał się on jednym z fundamentów naszej wyobrażonej rzeczywistości. Elementem naszej historii, naszej godności. I co się dzieje, gdy ktoś zaczyna przy tym fragmencie manipulować, próbuje go usunąć albo osłabić? Wtedy ta cała wyobrażona konstrukcja Polski zaczyna się Polakom walić. A w obecnych czasach, przy tej potrzebie bezpieczeństwa, to nie jest coś, na co są gotowi. Czy to jest nowa sprawa, czy wcześniej takiego momentu nie było? Był. W roku 2019 mieliśmy film Tomasza Sekielskiego, który wpłynął na pewną przemianę w sposobie myślenia Polaków. Tyle że film o różnych kapłanach i film o Janie Pawle II to nie to samo. Czy więc PiS, grając Janem Pawłem II, wykorzystując tę figurę, zyskuje na tym? Tak! Zyskuje. Bo w zasadzie mówi: słuchajcie, my jesteśmy za tym, żeby tego nie ruszać, żeby było po staremu, żeby było bezpiecznie. Obronimy wasz świat, wyobrażenie, które o nim macie. Bo ci inni chcą to zniszczyć. To są wasi przeciwnicy.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2)

eprasa.pl 02bf30e678

Jak wygląda grupa tych 72% uważających papieża za swój autorytet?

– Wyznacznikiem, który wpływa na wzrost czy spadek poczucia, że Jan Paweł II był autorytetem, jest na pewno wiek. Oraz miejsce zamieszkania.

A zarobki?

– Niekoniecznie. Bo zarobki często bywają uzależnione od wieku. I, uwaga, poziom wykształcenia też niekoniecznie.

Wydarzenia polityczne śledzi 5-10% społeczeństwa. Tę grupę widzimy potem w internecie, w komentarzach pod artykułami i w mediach społecznościowych.

Za to z pewnością sympatia do PiS.

– Nie jest specjalną tajemnicą, jakie są nastroje w elektoracie PiS. Nie jestem tylko pewien, czy PiS było świadome zasięgu, siły rażenia tej sprawy. Zresztą, jeśli popatrzymy na reakcje różnych sił politycznych, to przecież widzimy, jak wszyscy się zachowali. W zasadzie tylko na lewicy pojawiły się mocniejsze akcenty: zbadajmy, sprawdźmy, rozliczmy… Jego rola w historii nie zmieni się dramatycznie, jeżeli powiemy, że miał swoje blaski i cienie. Ale inne ugrupowania, na prawo od lewicy…

PiS nie pozwoli zapomnieć

Czy tę grupę 72% Polaków uważających Jana Pawła II za autorytet da się utrzymać? Może jest tak, że po emisji filmu mamy czas chwilowego wzburzenia, chwilowego przypływu miłości do papieża? Potem, jak to w Polsce bywa, przyjdą nowe wydarzenia i wszystko się rozpłynie, ludzie zapomną.

– Wydaje mi się, że PiS nie pozwoli zapomnieć. Tym, czego do tej pory strategom PiS brakowało, była oś kampanii. I trafił im się Jan Paweł II.

Próbowali różnych spraw, patrząc, co chwyci. Mówili o reparacjach od Niemiec, o LGBT, o zmienianiu płci…

– I nie mogli trafić na ten wiodący temat. Żeby budować kampanię na walce z osobami trans, trzeba mocno się napocić. A efekt jest niepewny. Z czym więc PiS miało iść do kampanii wyborczej? Sądy nie wyszły. Ze sprawami gospodarczymi? Niby mogłoby, ale wpierw musiałoby mieć czyste konto, a nie do końca tak się dzieje. Gwoździem do trumny był Polski Ład. Sam premier przyznał, że był błędem. I nagle trafiła się okazja. Na zasadzie: człowiek idzie ulicą, patrzy, a tu koperta leży – milion dolarów! Okazuje się, że linia podziału, którą można wyrysować wokół obrony Jana Pawła II, załatwia bardzo wiele problemów. Pomijam już, że wcześniej nie za bardzo było wiadomo, jak podzielić Polaków, żeby większość była po stronie PiS.

Dziś już wiadomo.

– Jeszcze przed chwilą pewnym problemem PiS był jego związek z Kościołem. Bo procesy laicyzacji powodowały, że ten związek ciążył i jednym, i drugim. Co zrobić, żeby się odkleić? Głupio nagle stać się antyklerykałem. A tu – koperta z milionem dolarów! Teraz i Kościół, i PiS spokojnie mogą się schować za figurą Jana Pawła II. Episkopat w dodatku był na tyle uprzejmy, że wydał stonowany komunikat. Gdyby wydał komunikat buńczuczny, sprawiłby sobie kłopot. Ale tak… Trzeba sprawdzić, choć to esbeckie dokumenty, trudna sprawa, ale trzeba badać… I chowają się biskupi spokojnie, wiedząc, że to wystarczy. Poza tym Jan Paweł II wspaniale się komponuje.

Linia podziału, którą można wyrysować wokół obrony Jana Pawła II, załatwia PiS wszystko.

Co to znaczy? Z czym?

– On się komponuje z wcześniejszą opowieścią PiS. Czy też opowieściami. O tym mięsie na stołach Polaków, którego PiS broni. O tych wszystkich przemianach lewackich, groźnych dla rodziny, o tym marksizmie stosowanym wprost na żywym ciele ojczyzny. Potwierdzeniem tych ostrzeżeń jest obecny atak na papieża Polaka. Jeśli połączymy to wszystko razem, otrzymamy spójną opowieść. Że z jednej strony mamy lewacką rewolucję, a z drugiej – na poziomie emocjonalnym – możemy pokazać portret papieża. I wystarczy.

PiS w roli obrońcy

Mamy wojnę między marksistowską Europą a naszą tożsamością, tradycją.

– Ta formuła to próba politycznego podzielenia społeczeństwa i pokazania, dlaczego warto głosować na PiS mimo inflacji, mimo innych rzeczy. Bo ostatecznie PiS gwarantuje nam bezpieczeństwo. Broni nas przed tymi wszystkimi zmianami, których nie chcemy, broni nas przed wielkim wysiłkiem przedefiniowania naszego wyobrażenia o historii – żebyśmy nie musieli go robić.

PiS jako nasz obrońca. Czy to wiarygodny obraz?

– Kupuje przecież czołgi, armaty, zabezpiecza nam całkiem sporo. Tragedią miała być zima, mieliśmy marznąć – i nie zmarzliśmy. Owszem, jest drogo. Ale jak rozmawia się z propisowcami i zadaje pytanie, jak tam sytuacja, to odpowiadają mniej więcej tak: no, niedobrze, bo odkłada się mniej. A wcześniej więcej się odkładało… A wyborcy Platformy mówią: no, niedobrze, my się tak martwimy o tych biednych, że oni nie wydolą. A wy? My nie, my damy sobie radę. I dla jednych, i dla drugich bieda jest poza ich doświadczeniem.

To gdzie ta bieda?

– Jest gdzieś, głęboko schowana. 80% ludzi deklaruje, że sytuacja finansowa w ich gospodarstwach domowych jest dobra lub znośna.

Wspaniałych czasów dożyliśmy. Naród z partią, partia z narodem…

– Tak nie jest.

eprasa.pl 02bf30e678

Młodzi się burzą?

– Wszyscy się burzą. Tylko teraz trzeba dać im powód, żeby tak bardzo się nie burzyli, bo są inne wartości. Wojna, wróg ze Wschodu, wróg wewnętrzny, wojna hybrydowa. Przecież atak na papieża to jest wojna hybrydowa. Aż trzeba było wezwać ambasadora USA, żeby uświadomić mu, co się dzieje.

Czyli mamy nową wojnę smoleńską.

– Smoleńsk miał inną funkcję. Był tworzeniem pewnego mitu. A tu mit jest już dawno utworzony, tylko my, PiS, występujemy w jego obronie. Bo oto ktoś obcy postanowił ten mit obalić.

Nowi Polacy

A dlaczego tak inne od reszty jest pokolenie młodych Polaków? Zwłaszcza jeśli chodzi o sprawy dotyczące Kościoła?

– Z nimi PiS ma taki problem, że Jan Paweł II nie jest częścią ich pamięci, ich rzeczywistości. Dla nich to jedynie taki pan, co wisi na ścianie u babci. Nie ma tu żadnego emocjonalnego związku.

Pokolenie ludzi starszych pamięta pielgrzymki, tłumy…

– Jest wspólne przeżycie. Że papież powiedział… Że szliśmy z innymi na mszę… A młodzi tego nie przeżyli, dlatego mają tę łatwość żartowania z papieża i tworzenia memów. To nie jest wymiar pogardy czy wrogości, tylko rodzaj obojętnego stosunku. Kult Jana Pawła II wraz z przemijaniem pokoleń będzie zanikał.

Wynika z tego, że wyboru by nie mieli.

– Taka piękna fala. A teraz pięknie można na niej płynąć.

2 kwietnia jest rocznica śmierci papieża, 18 maja rocznica jego urodzin, są rocznice pielgrzymek, jest co przypominać.

– A najszczęśliwsze PiS będzie wtedy, gdy pojawią się kontrmanifestacje, różni harcownicy.

Co zrobi opozycja?

A może Tusk wejdzie do gry? Z hasłem: to ja najlepiej bronię papieża, bo jestem w tym wiarygodny, w przeciwieństwie do PiS.

– Czy Tusk może to zrobić? Mam wrażenie, że Platforma wystraszyła się i spóźniła z reakcją. Dziś jej wyjście w obronie papieża to już musztarda po obiedzie. Kosiniak wyskoczył dość szybko: Ojciec Święty, papież Polak, ręce precz! Więc PiS mu odpuściło. Ale Platforma, lewica – proszę, posłanka Scheuring-Wielgus już chce obalać pomniki! Świetnie! Brakuje tylko wspólnej listy wyborczej. Wyobraźmy sobie, gdyby była! Tusku – wołaliby – wytłumacz się, dlaczego chcesz pomniki papieża obalać! To nie ja! – on by mówił – to lewica! Jaka lewica? Przecież jesteście na jednej liście! I on by tego nie udźwignął. Popatrzmy na woltę, którą wykonuje. Przecież to jest cały czas zwrot w lewo. Aborcja! Ogłosił, że kto nie jest za aborcją, ten za burtę, miejsca na listach wyborczych dla niego nie będzie. Dlatego gdyby teraz wyszedł i zaczął bronić Jana Pawła II, wystawiłby się na strzał. Bo zaraz by go zapytali: a co z aborcją? Papież był jej zdecydowanym przeciwnikiem. A ty, Donaldzie Tusku? Plujesz na to dziedzictwo! Kalasz je! W zasadzie najlepiej byłoby dla niego, gdyby ten temat jak najszybciej przycichł. Ale nie przycichnie.

72% Polaków mówi, że dla nich autorytetem jest Jan Paweł II. Ale to nie musi być powód, żeby od razu stawać za PiS!

– Ale my nie mówimy o zmianie preferencji wyborczych. Mówimy o czynnikach mobilizujących i demobilizujących. Inaczej tłumacząc – Polska i tak jest podzielona. Idzie więc o to, która Polska poczuje się bardziej zmotywowana do tego, żeby być przy urnie wyborczej i wrzucić swój głos. O to ta walka się toczy. Jeżeli ta część bardziej konserwatywna, która już była kiedyś pisowska, usłyszy, że jak nie pójdzie, to oni Jana Pawła II na tęczowo nam przemalują i jeszcze zgniotą i wrzucą do kosza, a z nim kawał naszego życia, to poczuje się mocno zmotywowana. Dodajmy do tego zwiększenie liczby obwodów na wsi, żeby było bliżej. A jak to będzie działać na wyborców bliższych opozycji, szczególnie tych ze skrzydła konserwatywnego? Oni mogą poczuć dysonans. Czy ja na pewno tego chcę? Tego grzebania w życiorysie papieża? Czy na pewno powinienem na to głosować?

A może ludzie się zorientują, że to, co robi PiS w sprawie Jana Pawła II, to gra? Że jest to nieautentyczne. I ta gra przestanie być tak skuteczna.

– To zależy trochę od tego, jak PiS będzie grać. Oszem, może być na najlepszej drodze do przegrzania całej sprawy. Wiele też zależy od tego, jaką strategię wybierze druga strona. Widać, że partie opozycyjne wzięły na przeczekanie. Zobaczymy, czy uda się przeczekać. Może pojawią się inne sprawy? Elektryzujące. Ale pamiętajmy – pisowcom wreszcie skleiła się opowieść. Dlatego nie zabraknie różnych rocznic, uroczystości, okazji, by niczego nie przegrzewając, grać tym do października.

Ponad 50% osób nic nie wie o tragedii posłanki Filiks i jej syna.

Kult Jana Pawła II wraz z przemijaniem pokoleń będzie zanikał.

Czyli awantura wokół „Franciszkańskiej 3" jest sztucznie wykreowana, bo gdyby politycy się nie odezwali, film zostałby potraktowany jak kilka innych podobnych publikacji? Jakieś echo by było, ale wśród niedużej grupy zainteresowanych, i sprawa by się rozmyła?

– Nie sądzę. Myślę, że i biskupi, i wielka grupa wiernych tak czy inaczej upomnieliby się o dobrą pamięć Jana Pawła II i ta fala byłaby duża. Pytanie, czy ludzie PiS by na niej surfowali.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 02bf30e678

Tajemnica projektu „Kabel"

Na co naprawdę miały pójść 123 mln zł unijnej dotacji?

Marek Czarkowski

Nie wygasa afera związana z wysokimi dotacjami przyznanymi przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, nazywane obecnie „lodziarnią". Od lutego posłowie Dariusz Joński i Michał Szczerba tropią koterie polityczne w NCBiR, które ich zdaniem chciały wyciągnąć z tej instytucji bardzo konkretne pieniądze. Przeznaczone, w domyśle, na potrzeby Partii Republikańskiej.

Doszło do tego, że główni podejrzani: lider republikanów, europoseł Adam Bielan, oraz były już wiceminister, poseł Jacek Żalek, nie chcąc trafić na polityczny śmietnik, zaczęli ostro ze sobą walczyć. W ruch poszły podsłuchy, insynuacje i pomówienia. Teraz w budynku przy Chmielnej 69 w Warszawie o dostęp do kwitów walczą prowadzący śledztwa i kontrole funkcjonariusze CBA, inspektorzy NIK oraz audytorzy z Ministerstwa Funduszy i Polityki Regionalnej.

Premier Mateusz Morawiecki, który chce, byśmy jak najszybciej zapomnieli o tym skandalu, 11 marca br. publicznie wsparł lidera republikanów, przekonując, że „w NCBiR nie została stracona żadna złotówka, a stało się to m.in. dzięki działaniom prezesa Partii Republikańskiej Adama Bielana".

Zapomniał dodać, że już 1 marca zasługę blokady wypłat dwóch dotacji: 55 mln zł dla spółki 26-letniego barmana z Trójmiasta oraz 123 mln zł dla białostockiej firmy Chime Networks przypisali sobie posłowie Joński i Szczerba. Ciekawiło mnie, w jakim przewidzianym przez prawo trybie mogli tego dokonać.

Biuro prasowe NCBiR wyjaśniło, że „nie istnieje tryb, zgodnie z którym osoba sprawująca mandat posła może »zablokować« dotację na projekt rekomendowany do dofinansowania w NCBiR".

Przypuszczam, że owa zasada dotyczy także europosła Bielana. Czyli albo dziarscy politycy KO mijają się z prawdą, albo dziś w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju to oni zajmują się dzieleniem środków unijnych, nie mając przy tym ani umocowania prawnego, ani pojęcia o związkach badań naukowych z gospodarką.

Zaskoczyło mnie też, że tropiący aferalne powiązania dziennikarze konsekwentnie nie pytają, czego dotyczyły projekty, na które NCBiR gotowe było wydać ponad 170 mln zł. Bo o ile plany młodego barmana z Trójmiasta powinny budzić poważne wątpliwości, o tyle projekt spółki Chime Networks (w ujawnionych materiałach z podsłuchów określony mianem „Kabel"), któremu przyznano dotację w wysokości 123 mln zł, to zupełnie inna historia.

Opowieść „lodziarza"

Pan Marcin jest pracownikiem Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Ze zrozumiałych względów pragnie pozostać w cieniu, lecz gotów jest podzielić się wiedzą na temat białostockiego projektu.

– W konkursach o dotacje unijne mogą startować spółki z minimalnym kapitałem założycielskim oraz przynoszące straty, ale na ile się orientuję, spółka Chime Networks to spółka celowa, za którą stoją

eprasa.pl 02bf30e678

więksi gracze. Jej właścicielem jest TB Telecom, firma z Trójmiasta, zarządzająca m.in. lokalnymi sieciami światłowodowymi i świadcząca usługi telekomunikacyjne dla przedsiębiorstw. Przypuszczam, że są też inne podmioty zainteresowane sprawą. Chime Networks to nie jest firma krzak.

Na pytanie, czego dotyczył wniosek o dotację, mój rozmówca odpowiada: – Dla laików to czarna magia. Tytuł projektu „Opracowanie rozwiązań w zakresie cyberbezpieczeństwa podmorskiej infrastruktury światłowodowej w oparciu o innowacyjną technologię wielordzeniowych włókien oraz ultraczułych systemów detekcji i identyfikacji zagrożeń" wywołuje ból głowy i podejrzenia o chęć wyłudzenia środków.

W rzeczywistości chodzi o sprawę bardzo ważną – zbadanie, czy światłowody wielordzeniowe są odporne na próby ich podsłuchiwania oraz czy mogą służyć jako niezwykle czułe detektory wykrywające ruch i zmiany temperatury otoczenia.

Wiadomo, że w takiej roli sprawdzają się one w instalacjach naziemnych i znalazły zastosowanie w przemyśle. Istnieje bogata literatura na ten temat. Lecz podmorskie kable światłowodowe to zupełnie inna historia. Ze względu na ekstremalne warunki, jakie panują w głębinach, wymagania dotyczące ich jakości, trwałości i niezawodności są wręcz kosmiczne.

Na świecie niewielu producentów oferuje podobne rozwiązania. W Stanach Zjednoczonych podmorskie kable światłowodowe produkuje firma Corning Incorporated. W Japonii – spółki NEC Corporation, Furukawa Electric, Sumitomo Electric Industries oraz Fujikura. We Włoszech – firma Prysmian. We Francji – spółka Nexera. W Chinach takie kable wraz z niezbędną aparaturą produkuje koncern Huawei, z którym ze względu na amerykańskie sankcje żadna zachodnia firma nie będzie robiła interesów.

Niewielu wie, że do światowej czołówki osób zajmujących się światłowodami należą polscy naukowcy. Niektórzy są zaangażowani w projekt spółki Chime Networks.

Podmorskie światłowody i polska firma

Bez światłowodów nie istniałyby szybki internet, współczesna telefonia komórkowa, nowoczesne sieci telekomunikacyjne, światowy system bankowy. Bez podmorskich kabli światłowodowych globalna gospodarka byłaby na poziomie lat 70. XX w.

Rozwój mediów społecznościowych, telewizja wysokiej rozdzielczości, stale rosnąca liczba użytkowników internetu, pojawienie się technologii 5G, a w przyszłości 6G doprowadziły do tego, że z każdym miesiącem rośnie liczba przesyłanych informacji. Naszą planetę oplata sieć ponad 400 podmorskich kabli łączących ze sobą kontynenty.

W 2018 r. koncern Microsoft we współpracy z Facebookiem oddał do użytku podmorski kabel światłowodowy Marea o długości 6,6 tys. km, łączący Virginia Beach w USA z Bilbao w Hiszpanii. Rok później gigant z Redmond ogłosił zakończenie budowy kolejnego kabla łączącego Virginia Beach z Saint-Hilaire-de-Riez we Francji. Nosi on imię Henriego Dunanta, założyciela Czerwonego Krzyża. Firma Billa Gatesa jest też zaangażowana w rozbudowę podmorskiego kabla światłowodowego łączącego zachodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych z Singapurem, Filipinami, Japonią i Indonezją. Inwestycja ma zostać zakończona w tym roku.

Na innych morzach i oceanach świata buduje się podobne instalacje. To nie tylko liczony w setkach miliardów dolarów biznes, ale i cywilizacyjna konieczność. Przy czym równie ważne jak ilość przesyłanych danych są niezawodność i bezpieczeństwo systemów. Najnowsze rozwiązanie to światłowody wielordzeniowe. Dziesięć lat temu amerykańska firma Corning Incorporated wyprodukowała pierwszy taki światłowód. W niewiele grubszej od ludzkiego włosa szklanej rurce udało się zmieścić nie jeden, jak dotychczas, rdzeń, którym biegł sygnał świetlny, lecz sześć mniejszych. W ten sposób zwiększono możliwości przesyłowe kabli światłowodowych.

W Polsce unikatową technologię produkcji światłowodów wielordzeniowych stworzył i opatentował prof. Tomasz Nasiłowski, uczony o niekwestionowanym dorobku naukowym, twórca firmy InPhoTech. To jedna z najbardziej zaawansowanych technologicznie i innowacyjnych spółek w naszym kraju. Specjalizuje się w produkcji najwyższej klasy czujników opartych na światłowodach wielordzeniowych, w tym światłowodach pokrytych metalem, które są stosowane w ekstremalnie trudnych warunkach, np. w kosmosie.

Korzystając z dofinansowania unijnego, spółka zależna InPhoTech, IPT Fiber, rozpoczęła w Lubartowie, na terenie tamtejszej strefy ekonomicznej, budowę Centrum Badawczo-Rozwojowego Technologii Światłowodowych dla Przemysłu. Mają być w nim produkowane na skalę przemysłową światłowody wielordzeniowe według chronionej patentami technologii prof. Nasiłowskiego. Profesor i jego firma są częścią projektu spółki Chime Networks, o czym Narodowe Centrum Badań i Rozwoju doskonale wie. Doprawdy trudno podejrzewać, by tej klasy uczony i przedsiębiorca

W projekt zaangażował się prof. Tadeusz Nasiłowski, który stworzył i opatentował unikatową technologię produkcji światłowodów wielordzeniowych.

Projekt firmy Chime Networks, która starała się o 123 mln zł dotacji, był rozwinięciem już istniejącej polskiej technologii i mógłby zrewolucjonizować rynek podmorskich kabli światłowodowych.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 02bf30e678

firmował swoim nazwiskiem „wyprowadzanie” kasy na rachunki republikanów Bielana. Światłowody prof. Nasiłowskiego wręcz idealnie nadają się do budowy podmorskich kabli, gdyż zapewniają nie tylko znaczące zwiększenie przepustowości, ale też możliwość wykorzystania ich jako czujników, które mogą ostrzec przed ingerencją niepowołanych osób, oraz są całkowicie odporne na podsłuch. Co ważniejsze, są w pełni kompatybilne z powszechnie stosowanymi obecnie światłowodami jednordzeniowymi.

Wśród pracowników NCBiR krążyły plotki, że „z góry” przyszło polecenie, by projekt utrącić. Jednak w ocenie dwóch ekspertów zewnętrznych zasługiwał on na wsparcie, przeciw był pracownik centrum.

Dotacja, o którą ubiegała się spółka Chime Networks, miała na celu rozwinięcie istniejącej już polskiej technologii i zaoferowanie produktu, który biłby na głowę rozwiązania konkurencji w dziedzinie podmorskich kabli światłowodowych. W najbliższych latach można byłoby zarobić na tym miliardy.

Mój rozmówca z NCBiR przyznał, że pod koniec zeszłego roku wśród pracowników krążyły plotki, że „z góry” przyszło polecenie, by w konkursie białostocki projekt utrącić. Jednak w ocenie dwóch ekspertów zewnętrznych zasługiwał on na wsparcie. Przeciw głosował trzeci członek komisji, pracownik NCBiR. Wszystko to znajduje się w dokumentacji konkursowej. Prokuratorzy, funkcjonariusze CBA i pracownicy NIK powinni łatwo ustalić fakty i znaleźć odpowiedź na pytanie, czy rzeczywiście złamano prawo.

Dziś z powodu skandalu na Chmielnej 69 panuje chaos i atmosfera podejrzeń. Do zakończenia kontroli wstrzymano podpisywanie umów z beneficjentami ubiegłorocznego konkursu „Szybka ścieżka”, bo za nicnierobienie żadnego urzędnika nigdy jeszcze nie skazano, a za podjęte decyzje wielu już musiało się tłumaczyć w prokuraturze. Można mieć uzasadnione obawy, że umowa ze spółką Chime Networks nie zostanie podpisana i autorzy projektu będą musieli znaleźć inne źródło finansowania.

Dotacje po polsku

Są dziesiątki przykładów przyznawania unijnych dotacji, liczonych w setkach milionów złotych, dużym zachodnim koncernom tylko dlatego... że były to duże zachodnie koncerny, które sprawnie je potem rozliczały.

Słabością polskich firm jest ich zapóźnienie technologiczne i małe zapotrzebowanie na innowacje. Za to część z nich ma wielki apetyt na brukselskie pieniądze, które, będąc z nazwy dotacjami bezzwrotnymi, są w istocie darowiznami. A kto nie chciałby dostać za friko miliona euro albo dwóch?

Dlatego tym bardziej należy dbać o polskie spółki, które nie pozorują badań i rozwoju, ale rzeczywiście rozwijają nowoczesne technologie. Nie mamy ich wiele, co gorsza, wśród ich właścicieli umacnia się przekonanie, że lepiej trzymać się z dala od urzędników z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, Centrum Projektów Polska Cyfrowa, Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości czy innych instytucji zajmujących się dzieleniem unijnej kasy. Choćby dlatego, by nie znaleźć się w sytuacji spółki Chime Networks, której prezes musi się tłumaczyć ze znajomości z posłami Żalkiem i Bielanem.

Lider ludowców Władysław Kosiniak-Kamysz nazwał NCBiR na Facebooku „Narodowym Centrum Bezprawia i Rozdawnictwa” i tylko patrzeć, jak jakiś inny polityk ogłosi potrzebę likwidacji tej skażonej przez PiS i republikanów instytucji. Niczego to nie zmieni. By tak się stało, należałoby skończyć z rozdawnictwem i zobowiązać „grantososów” do zwrotu choć części środków w sytuacji, gdy nie wywiązali się z zapisanych w umowach obietnic.

Należałoby też skończyć – chcę to podkreślić z całą mocą – z USTAWOWYM zakazem ujawniania dokumentacji projektów, którym przyznano dotacje unijne, obowiązującym nawet po ich zakończeniu i rozliczeniu. Ta praktyka skutecznie hamuje jakąkolwiek merytoryczną debatę nad jakością i sensownością wydatkowania brukselskich pieniędzy. I w sposób oczywisty wspiera tych, którzy do perfekcji opanowali sztukę pisania i rozliczania wniosków.

Obawiam się jednak, że nigdy do tego nie dojdzie, gdyż nikt nie jest tym zainteresowany. Jesteśmy skazani na finansowanie i realizację przedsięwzięć w stylu „uniwersalny pojazd napędzany ruchem mięśni”. I na polityków z dowolnej opcji, którym wydaje się, że mogą „coś uszczknąć” z unijnego tortu.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Sprostowanie

W tygodniku PRZEGLĄD z 13 marca br. został opublikowany list, którego Redakcji PRZEGLĄDU nie przekazałem. Wydruk nastąpił bez mojej zgody i wiedzy i zawierał treści przeznaczone wyłącznie dla członków Rady Fundacji „WSPARCIE” i ewentualnie OPZZ.

Wiesław Jacenty Krzyżanowski,
Prezes Zarządu Fundacji „WSPARCIE”

Od redakcji

Przepraszamy Pana Prezesa Fundacji „WSPARCIE” Wiesława Jacentego Krzyżanowskiego. Informujemy, że skan tego listu dostaliśmy z kilku niezależnych źródeł. Od ludzi, którzy martwią się działaniami i decyzjami, zwłaszcza kadrowymi, Piotra Ostrowskiego, nowego przewodniczącego OPZZ. Mamy też informacje o innych kontrowersyjnych sprawach. I o tym, jak próbuje się wykorzystać Związek. Nie wygląda to dobrze. Pozycję OPZZ budowano długo. A zepsuć ją można szybko.

eprasa.pl 02bf30e678

Z Galicji

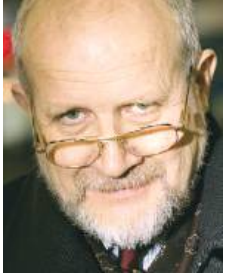

Jan Widacki

Jaki Dziki Zachód, taki szeryf

Media obiegło zdjęcie, na którym spod podwiniętej marynarki lubiącego się porównywać do szeryfa Zbigniewa Ziobry widać na jego tyłku pistolet. Posiadanie i noszenie ze sobą broni palnej przez człowieka objętego ochroną Służby Ochrony Państwa (dawniej BOR) musi zaskakiwać i zdumiewać. Kogo miałby się obawiać i przed kim ewentualnie miałby osobiście się bronić minister sprawiedliwości i prokurator generalny w jednej osobie? Nie ma zaufania do ochraniającej go służby? Posługuje się bronią lepiej niż otaczający go profesjonalni ochroniarze? W dodatku boi się czegoś lub kogoś? Czy boi się opozycji, czy raczej sojusznika z PiS i nie ma zaufania do szefa SOP podległej ministrowi Kamińskiemu? Obawia się zamachu na swoją osobę? A może to po prostu infantylizm? Tak sugerowały liczne memy pokazujące pistolet wetknięty na tyłku za pieluchę.

A sprawa warta jest wyjaśnienia. Dotyczy wszak jednej z najważniejszych osób w państwie. Odpowiedzialnej w dużej mierze za bezpieczeństwo nas wszystkich. Mogącej kazać nas inwigilować Pegasusem, wsadzić do aresztu, sponiewierać na konferencji prasowej albo nasłać na nas wiernych mu intelektualistów typu europoseł Jaki czy wiceminister Kowalski.

Spójrzmy więc na sprawę od strony psychologicznej. W pewnym wieku, to u nas taka norma kulturowa, chłopcy bawią się zabawkami w postaci odpustowych pistoletów i karabinów albo plastikowymi (kiedyś ołowianymi) żołnierzykami. Bawią się, a potem im to z wiekiem przechodzi. Jednym wcześniej, drugim później, co jest prawdopodobnie związane z ostateczną akceptacją swojej płci. Tak też bywa. Gdy ostateczna akceptacja płci przychodzi późno, co się zdarza i wedle lewicy jest czymś normalnym, ale wedle prawicy niekoniecznie, te niezaspokojone w dzieciństwie potrzeby odżywają. A posiadanie broni dodaje wyrośniętemu chłopaczkowi powagi i pewności siebie. Rekompensuje zatem jakiś kompleks lub kompleksy. Taki przypadek ilustruje i dobrze objaśnia mem z pistoletem zatkniętym za pieluchę.

Ale sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Minister ujawnienie na zdjęciu pistoletu zatkniętego na jego tyłku za paskiem raczył publicznie wyjaśnić. Z tego wyjaśnienia dowiadujemy się rzeczy ważnych i zarazem groźnych. Otóż pan minister stwierdził, że lubi sobie postrzelać. Na szczęście nie z granatnika, jak komendant policji, tylko z pistoletu. Zatknięty za paskiem i zapewne uwierający ministerialny tyłek pistolet nie wyglądał na zdjęciu na broń sportową, bardziej na ostrą, bojową. Stąd wniosek, że pan minister lubi sobie postrzelać z broni ostrej. Co więcej, pan minister powiedział, że strzelając (z broni ostrej, ostrą amunicją), odpręża się i relaksuje. Wynika z tego, że minister gromadzi w sobie i tłumi jakieś emocje (afekty?), a później rozładowuje je na strzelnicy.

Klasyczny przypadek zespołu frustracji i agresji? To może rzeczywiście lepiej by było, gdyby pan minister pożyczył granatnik od komendanta policji? Jakby tak sobie nim gruchnął na strzelnicy, jakby huknął przeciwpancernym, to dopiero by sobie rozładował nagromadzone emocje i napięcia i zrelaksowany mógł wrócić do swojej ciężkiej i stresującej pracy dla dobra ojczyzny oraz wszystkich Polek i Polaków! Odstresowany mógłby dopiero dać odpór Unii Europejskiej, o opozycji krajowej już nie mówiąc!

Może odwinięcie marynarki i pokazanie pistoletu przez ministra Ziobrę nie było przypadkowe?

Jak to wszystko się zsumuje, sprawa wygląda groźnie. Jakieś kompleksy, poczucie niskiej wartości, lęki, stres, tłumione emocje i afekty, rozładowywane strzelaniem z broni ostrej, na szczęście jak dotąd na strzelnicy i do tarcz. A jeśli ta metoda relaksacji okaże się niewystarczająca? Aż strach pomyśleć! Albo zaiste trzeba będzie zamienić pistolet na granatnik, albo strzelać nie do tarczy, tylko do tych, którzy te stresy i frustracje wywołują.

Gdy się zestawi mały pistolecik, którym wedle relacji Donalda Tuska Jarosław Kaczyński straszył lidera Platformy w jakiejś windzie, z „gnatem" na pół ministerialnego tyłka, to wynik starcia tych dwóch rewolwerowców zdaje się łatwy do przewidzenia. Może zatem to odwinięcie się marynarki i pokazanie pistoletu nie było przypadkowe? Może to taki język gestów i symboli używany w dialogu wewnątrz Zjednoczonej Prawicy, którego my nie rozumiemy? ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 02bf30e678

Anna Stachowiak

Skazana za pomoc

Wyrok za udzielenie pomocy kobiecie w potrzebie pokazuje stan polskiego sądownictwa i demokracji

Sekwencja wydarzeń była taka: w 2020 r., w trakcie pandemii koronawirusa, do Aborcyjnego Dream Teamu zgłosiła się kobieta w ciąży. Chciała ją przerwać, aktywistki wiedziały, że jej partner stosuje przemoc. Była już matką jednego dziecka, kolejnego z jego ojcem nie chciała. Planowała wyjazd za granicę, do Niemiec, ale partner na to nie pozwolił. Tabletki do przeprowadzenia samodzielnej aborcji farmakologicznej przekazała jej Justyna Wydrzyńska – chciała pomóc drugiej kobiecie w dramatycznej sytuacji życiowej. Sama w przeszłości doświadczyła podobnej sytuacji. Kobieta, o której mowa, a która w mediach funkcjonuje jako Anna, nie zażyła tabletek. Jej partner wezwał do domu policję. Kilka dni później poroniła. Została zawiadomiona prokuratura, a Wydrzyńska usłyszała zarzut z art. 152 k.k., głoszący, że każdy, kto udziela kobiecie ciężarnej pomocy w przerwaniu ciąży lub ją do tego nakłania, podlega karze pozbawienia wolności do lat trzech.

To pierwsza sprawa w Polsce, w której o pomoc w aborcji oskarżono aktywistkę, a nie lekarza czy kogoś bliskiego kobiecie w ciąży.

Winna empatii

Aleksandra Magryta, koordynatorka Wielkiej Koalicji za Równością i Wyborem działającej przy Federze: – Sąd orzekł, że Justyna Wydrzyńska jest winna. A przecież Justyna pomogła kobiecie, która tej pomocy potrzebowała. Winić za to, że Justyna kierowała się empatią i wsparła potrzebującą osobę? Czy nie na tym też polega miłość bliźniego, o której tak często mówi Kościół katolicki?

Wyrok ten jest pierwszym w Europie wyrokiem skazującym dla aktywistki pomagającej innej kobiecie w przerwaniu ciąży. – A przecież dostęp do aborcji jest prawem człowieka, co potwierdził również Parlament Europejski, przyjmując dwa lata temu rezolucję dotyczącą zdrowia seksualnego i reprodukcyjnego. Oczywiste jest więc, że dostęp do przerywania ciąży powinien być w Polsce legalny, bezpieczny i darmowy, a osoby nie powinny być karane za pomaganie w aborcji – dodaje Aleksandra Magryta.

Justynie Wydrzyńskiej, która zarówno w trakcie procesu, jak i już po nim mówiła, że dziś zrobiłaby dokładnie to samo, bo kierowała nią wyłącznie chęć pomocy, groziły trzy lata pozbawienia wolności. Ostatecznie została skazana na osiem miesięcy ograniczenia wolności i prace społeczne. Jej zdanie o tym, że warto pomagać i być uczciwym, podziela ponad połowa społeczeństwa: z badań przeprowadzonych na zlecenie Amnesty International przez agencję SW Research (luty 2023) wynika, że ponad 65% osób w wieku 18-24 lata zamierza pomagać sobie w aborcjach. 61,2% sprzeciwia się karaniu za pomoc w aborcji czy wyjeździe za granicę. Ogółem, w każdym przedziale wiekowym, 47,2% Polek i Polaków zamierza pomagać sobie w dostępie do aborcji.

Martwe prawo, ale prawo

Owszem, lekarze po wyroku Trybunału Konstytucyjnego pod wodzą Julii Przyłębskiej boją się ingerować nawet w przypadkach ciąży zagrażającej życiu kobiety (vide tragiczna śmierć m.in. Izabeli z Pszczyny), ale zaplanowany przez prokuraturę efekt mrożący na społeczeństwo nie zadziała. Polityczki i aktywistki, które zgodnie określają wyrok w sprawie Justyny jako polityczny, kuriozalny i wymierzony w kobiecą solidarność, podkreślają, że będą pomagać w aborcjach, bo aborcje były, są i będą. Hanna Gil-Piątek stwierdziła w rozmowie z „Wysokimi Obcasami", że ten wyrok motywuje ją do większego wysiłku w niesieniu pomocy. W podobnym

eprasa.pl 02bf30e678

tonie wypowiadają się inne polityczki opozycji, a Natalia Broniarczyk z Aborcyjnego Dream Teamu deklaruje: – Będziemy pomagać. Codziennie zgłaszają się do nas kobiety, które potrzebują wsparcia i pomocy, bo państwo je tego pozbawiło.

Potwierdzają to statystyki. Podczas gdy organizacje pozarządowe zajmujące się prawami reprodukcyjnymi kobiet szacują, że w Polsce co roku kobiety przeprowadzają 100-150 tys. aborcji, z danych Ministerstwa Sprawiedliwości wynika, że w ubiegłym roku zabiegów było nieco ponad 100. Wcześniej – niewiele ponad 1 tys. Rząd ogłasza te dane jako zwycięstwo, pokazując, że prawo, zaostrzone w 2020 r., działa.

Natalia Broniarczyk: – Nie działa, jest martwe. Po prostu państwo zrzuciło odpowiedzialność na kobiety, przy okazji zastraszając je, karząc za solidarność i siostrzeństwo. Proces Justyny i wyrok skazujący, ewenement w cywilizowanym świecie, pokazuje tragiczny stan polskiego sądownictwa i demokracji. Obrazuje też, jaką kobieta ma pozycję w starciu z instytucjami państwa, które teoretycznie powinny ją chronić. Nie może czuć się bezpiecznie ani w domu, ani w szpitalu.

Natalia Broniarczyk podkreśla, że proces i wyrok są ewenementem na skalę europejską. W lutym dziennikarka BBC Laura Kuenssberg, przeprowadzając wywiad z prezydentem Andrzejem Dudą, zapytała go o sprawę Justyny. „W tej chwili w pańskim kraju aktywistka Justyna Wydrzyńska ma postawione zarzuty i może trafić do więzienia za pomoc innej kobiecie w dokonaniu aborcji. Wielu z naszych widzów uznałoby to za bardzo trudne do zaakceptowania, bardzo trudne do zrozumienia. Czy to jest proporcjonalne, czy chciałby pan, by prokurator wycofał te zarzuty?”, zapytała. Prezydent zaś odpowiedział: „Pani redaktor, pyta pani, jeśli dobrze rozumiem, o moje osobiste poglądy i opinie. Jestem katolikiem i oczywiście z tego powodu jestem bardzo zdecydowanym obrońcą życia i jestem przeciwnikiem aborcji. To jest wszystko, co mogę powiedzieć na ten temat. I oczywiście zawsze byłem za życiem, za ochroną życia i nigdy tego nie ukrywałem”.

Kiedy pojawiła się w „Faktach po Faktach” w TVN 24, ubrana w czarną bluzę ze złotym napisem „Pomagam w aborcjach”, dodała: „Zostałam skazana za pomoc w aborcji, w zasadzie skazana za pomoc, to jest kuriozalne, skandaliczne”. Odniosła się również do głosów o tym, że proces jest polityczny także z uwagi na zbliżające się wybory: „Gdyby prokuratura wnioskowała o wyższy wyrok i sędzia by ten wyższy wyrok przyznał, to by było samobójstwo wyborcze przed wyborami”.

Aktywistki zapowiadają apelację. – Będziemy w niej się odnosić m.in. do faktu, że wyrok wydała neosędzia, o której zmianę wnioskowałyśmy. Liczymy na uniewinnienie, które, biorąc pod uwagę kontekst, nam się należy. Uważamy, że owo przestępstwo pomocnictwa w aborcji powinno zostać zniesione, ponieważ to państwo ma obowiązek zapewniać dostęp do usług medycznych, aborcja zaś taką usługą medyczną jest. Państwo z tego obowiązku zwyczajnie się wymiksowało, a przejęły go aktywistki, które teraz są za to karane – wskazuje Natalia Broniarczyk.

Justyna Wydrzyńska i wspierające ją organizacje kobiece od początku twierdziły, że proces jest polityczny. Drakońskie zaostrzenie prawa aborcyjnego i inne restrykcje (zaprzestanie finansowania in vitro, wprowadzenie – jako jedyny kraj w Europie – recept na antykoncepcję awaryjną czy w końcu wprowadzenie rejestru ciąż) pokazują, że mają rację. Trudno też zignorować fakt, że sędzia, która wyrok wydała, jest tzw. neosędzią. To Agnieszka Brygidyr-Dorosz. Aktywistki wnioskowały o jej zmianę, ale wniosek został odrzucony. Natychmiast po wydaniu wyroku sędzia awansowała. 14 marca została delegowana, zarządzeniem ministra sprawiedliwości, do Sądu Apelacyjnego w Warszawie. ■

To pierwsza sprawa w Polsce, w której o pomoc w aborcji oskarżono aktywistkę, a nie lekarza czy kogoś bliskiego kobiecie w ciąży.

Jak się okazuje, prywatne poglądy w Polsce ustanowiły prawo, które karze kobiety.

Pomagam w aborcjach

Po ogłoszeniu wyroku Justyna Wydrzyńska mówiła: „Uwolnienie się od niechcianej ciąży w przemocowej relacji otwiera drogę do uwolnienia się od przemocy w ogóle. Dla mnie właśnie takim było, aborcja była czynnikiem, który uświadomił mi, jak bardzo jestem ograniczana i jak bardzo potrzebuję wolności i możliwości decydowania samej o sobie. Tego samego chciałam dla Anny, by tak jak ja mogła doświadczyć sprawczości nad swoim życiem, ciałem. Nie chciałam, aby Anna musiała ryzykować swoim życiem, podejmując niebezpieczne kroki, skoro rozwiązanie jest tak łatwe, a zarazem bez wątpienia medycznie bezpieczne. Nie chcę, aby ktokolwiek musiał przechodzić sam w strachu przez niebezpieczną aborcję, kiedy istnieją bezpieczne, niestygmatyzujące alternatywy. Nie chcę, by którakolwiek z nas musiała rezygnować ze swojego prawa do wolności i samostanowienia”.

Natychmiast po wydaniu wyroku sędzia awansowała. 14 marca została delegowana, zarządzeniem ministra sprawiedliwości, do Sądu Apelacyjnego w Warszawie.

FOT. WOJTEK RADWAŃSKI/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 02bf30e678

Korepetycje spółka z o.o.

Polacy wydają rocznie miliardy na korki. Gdzie w tym jest publiczna szkoła?

Kornel Wawrzyniak

Rynek korepetycji osiągnął w 2022 r. niebotyczną wręcz wartość ok. 7,5 mld zł. A jeszcze w 2019 r. szacowano go na 4 mld zł. Średnio rodzice na korepetycje dla swoich dzieci wydawali miesięcznie 293 zł. Im dziecko starsze, tym większa skala wydatków. Według najnowszych sondaży CBOS z korepetycji korzysta 26% z ok. 4,9 mln uczniów.

Niektórzy twierdzą, że korepetycje stały się tak popularne przez bałagan, który panował w edukacji podczas pandemii COVID-19. To nieprawda. Rynek ten rósł w ostatniej dekadzie jak na drożdżach.

Zastrzyk dla nauczycieli

Centrum Badania Opinii Społecznej, które od 1998 r. przygląda się wydatkom rodziców na edukację, wskazuje, że już w 2011 r. 42% respondentów deklarowało chęć posłania dzieci na zajęcia dodatkowe. Korepetycje z przedmiotów szkolnych stanowiły wtedy zaledwie 9% rynku, wygrywała z nimi dodatkowa nauka języków obcych – 26%. Według danych CBOS łączna kwota, jaką rodzice przeznaczają miesięcznie na dodatkowe zajęcia (korepetycje, ale też naukę języków obcych, zajęcia sportowe i artystyczne) dla jednego dziecka, wynosi obecnie 571 zł, o 30% więcej niż w roku szkolnym 2021/2022. – Robiliśmy ankietę wśród naszych rówieśników, w której pytaliśmy, ile wydają tygodniowo na korepetycje. 40% odpowiedziało, że ponad 100 zł, a ok. 20%, że między 150 a 200 zł – mówi Joanna Wojciechowska, uczennica liceum, która udziela się w inicjatywie „Chodź na kawę", polegającej na tym, że uczniowie szkół średnich wzajemnie udzielają sobie korepetycji w kawiarni.

Portal E-korepetycje.net, bazując na danych z ponad 70 tys. zamieszczonych w nim ogłoszeń, pokazał rozpiętość cenową w przypadku lekcji z matematyki, fizyki, biologii, geografii, historii i języka angielskiego. Ceny wahają się od 20 zł do 64 zł za 60 minut zajęć. Najdroższymi miastami okazały się Warszawa i… Radom. Portal oszacował, że stawka godzinowa korepetytorów wynosi ok. 60 zł, jednak cena spotkań jest kwestią bardzo indywidualną. Wszystko zależy od miejscowości i edukatorów, na których zdecydują się uczniowie i rodzice. Najbardziej doświadczeni korepetytorzy i najlepsi nauczyciele najpopularniejszych przedmiotów potrafią zażyczyć sobie stawki przekraczającej średnią nawet czterokrotnie. W zupełnie innej lidze grają też wykładowcy akademiccy, u których lekcja zazwyczaj kosztuje minimum 150 zł.

Udzielanie korepetycji to zastrzyk finansowy dla nauczycieli fatalnie zarabiających w placówkach publicznych. Zakładając, że korepetytor pracujący dorywczo przyjmowałby czterech-pięciu uczniów od poniedziałku do soboty, mógłby dorobić 3-4 tys. zł miesięcznie.

Krew, pot i korki

Korepetycje budzą w społeczeństwie spore kontrowersje. Przede wszystkim dlatego, że potrzeba zajęć uzupełniających jest od lat wiązana z niskim poziomem edukacji w polskich szkołach. Niektórzy winią za ten stan rzeczy nauczycieli, ale trzeba zdać sobie sprawę, że problemy te wynikają najczęściej z fatalnej podstawy programowej, która – na co skarżą się i nauczyciele, i uczniowie – jest przeładowana, a więc nie zostawia dość czasu na przepracowanie materiału na lekcjach. – Widać, że w szkole średniej bardzo dużo osób bierze korepetycje. Poniekąd jest to pokłosie pandemii, bo nauczanie zdalne rzeczywiście było dla niektórych trudne – przyznaje Joanna Wojciechowska. – Przez to wiele osób ma zaległości w nauce jeszcze dziś, a minął ponad rok, odkąd wróciliśmy z zamknięcia do szkół.

Dr Mikołaj Marcela, autor książek o szkole i edukacji (m.in. „Dlaczego szkoła cię wkurza i jak ją przetrwać"), zwraca uwagę, że dzieci, które brały korepetycje, często osiągają lepsze wyniki na egzaminach, ponieważ mają okazję przepracować materiał podczas spotkania jeden na jeden. Według dr. Marceli korepetytorzy są często entuzjastami edukacji, dlatego podchodzą do nauczania w sposób nowatorski, co również przekłada się na lepsze wykorzystanie potencjału uczniów. Po zetknięciu z takim nauczycielem dziecko zaczyna rozumieć, jak ma się uczyć i do czego mu to w ogóle jest potrzebne. Dr Marcela podnosi jeszcze jedną kwestię – to nie korepetycje są problemem, ale skostniała, wywodząca się z pruskiego systemu edukacji struktura polskiej szkoły, która podcina uczniom skrzydła i pozbawia ich wolnego czasu.

– Wydaje mi się, że nasze pokolenie bardzo dużo czasu spędza nad materiałem przynoszonym do domu. Uczniowie wracają ze szkoły i albo

Rynek korepetycji wart jest co najmniej 7,5 mld zł. W 2019 r. szacowano go na 4 mld zł.

eprasa.pl 02bf30e678

idą na zajęcia dodatkowe, albo wiszą nad zadaniami przyniesionymi z lekcji. W efekcie większość nie ma już wieczorem siły na rozwijanie swoich zainteresowań czy uprawianie sportów – podsumowuje Wojciechowska.

Popularność korepetycji nie bierze się jednak wyłącznie z potrzeby załatania braków, które uczniowie mają przez niedostatki systemowe. Coraz częściej główną rolę odgrywa chęć bycia najlepszym. Dobre wyniki egzaminów ósmoklasisty dają wstęp do lepszych szkół średnich, a dobre wyniki matury otwierają drzwi do najlepszych uczelni w Polsce lub nawet za granicą. Właśnie te dwie grupy uczniów najliczniej korzystają z korepetycji.

Dodatkowo zaś do wzrostu popularności korków przyczyniły się działania Ministerstwa Edukacji i Nauki, a mianowicie likwidacja gimnazjów. W roku szkolnym 2019/2020 o miejsca w szkołach ponadgimnazjalnych walczył podwójny rocznik – pierwsi absolwenci ósmych klas podstawówek i ostatni absolwenci gimnazjów. Ten zduplikowany rocznik zaczął potem wspólną naukę w przeładowanych placówkach publicznych, więc znów nauczycielom i uczniom utrudniono warunki współpracy, pchając tych ostatnich w objęcia korepetytorów.

Dr Marcela wskazuje, że na dodatkowe lekcje uczęszczają zarówno uczniowie szkół publicznych, jak i ci z prywatnych lub społecznych. Tezę postawioną przez naukowca potwierdzają słowa licealistki Joanny Wojciechowskiej. – Większość moich rówieśników ma korepetycje minimum trzy razy w tygodniu. Prawie wszyscy chodzą na matematykę i dodatkowy angielski, aby być na wyższym poziomie niż ten nauczany w szkole. Często biorą jeszcze korki z przedmiotów, które chcą zdawać na maturze rozszerzonej – wylicza dziewczyna.

Korepetycje biorą dziś najlepsi uczniowie.

Od lat najpopularniejszymi przedmiotami na rynku korepetycji są angielski i matematyka, co pokazuje przeprowadzona przez Portalkonsumenta.pl analiza ogłoszeń zamieszczanych na E-korepetycje.net i platformie OLX. Rzeczywiście największą część, po 25%, stanowią oferty lekcji języka angielskiego i matematyki. Na trzecim miejscu znalazła się chemia z wynikiem 8%. To jednak tylko statystyka. W rzeczywistości uczniowie chodzą na takie korepetycje, jakich potrzebują do wspięcia się na kolejne etapy edukacji. W portalu znajdziemy zarówno zajęcia z aktorstwa czy z rysunku, jak i z fizyki lub z biologii.

Nierówne szanse

Rozwijający się prężnie rynek korepetycji jest również potwierdzeniem klasowego wymiaru polskiego społeczeństwa. Według badań CBOS na decyzję o posłaniu dzieci na zajęcia pozalekcyjne wpływa przede wszystkim poziom wykształcenia rodziców. Im wyższy, tym większe prawdopodobieństwo, że dziecko pójdzie na dodatkowe zajęcia. Na korki posyła dzieci 85% osób z wyższym wykształceniem, 62% ze średnim i 48% z zasadniczym, średnim lub niższym. Co warte podkreślenia, rok wcześniej w ostatniej grupie zainteresowanie korepetycjami było o 18% niższe. Różnice są też widoczne, jeśli chodzi o miejsce zamieszkania. 75% osób z miasta twierdzi, że wysyła dzieci na zajęcia dodatkowe. Na wsiach – 54%.

Niestety, urynkowienie pomocy w nauce uderza w tych, których nie stać na taki wydatek. Niektórzy uczniowie umawiają się na lekcje w grupach, łącząc się niekiedy z nauczycielem online. Korepetytorzy działający na większą skalę potrafią zaś oferować co 10. lekcję gratis.

Jednym z najciekawszych pomysłów obejścia wysokich kosztów korepetycji jest uczniowska samopomoc, wspomniany już projekt „Chodź na kawę". Poprzez stronę chodznakawe.org uczniowie umawiają się na korepetycje w kawiarniach, redukując koszt lekcji do zakupu napoju dla korepetytora, którym jest inny uczeń szkoły średniej. – Za powstaniem „Chodź na kawę" stoi kilka czynników. Po pierwsze, wyszliśmy z założenia, że nie każdego stać na odpowiednią liczbę korepetycji. Po drugie, chodziło o ograniczenia czasowe, jakie wiążą się z samą organizacją dodatkowych zajęć – dojazdy, spotkania itd. Po trzecie, nie każdemu odpowiada oficjalna relacja uczeń-nauczyciel i po prostu lepiej mu się uczy z rówieśnikami. Stąd pomysł na umawianie się w kawiarniach i wzajemne uczenie się – tłumaczy Joanna Wojciechowska, która jest jedną z korepetytorek. To świetna inicjatywa, ale pokazuje kolejny raz, że jesteśmy krajem Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Kiedy mieszkańcy Polski nie mogą liczyć na państwo, po prostu się organizują i radzą sobie sami. Szkoda tylko, że te niedostatki państwa jak zwykle uderzają w najmniej uprzywilejowanych.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 02bf30e678

Czego nie rozumieją ekonomiści z telewizora?

Państwu z własną walutą nie może zabraknąć pieniędzy, a Polska nie stanie się „drugą Grecją”

Rozmawia Jakub Dymek

FIAT MONEY

Obrazisz się, jak nazwę cię trollem?

– Nie obrażę się. Trolling to forma, nie tylko treść. A moja forma to trolling. I fakt – spędzam na nim sporo czasu.

A kim poza tym jesteś?

– Studiowałem fizykę i ekonomię. Na SGH, w Polsce, wyobraź sobie. I już wtedy czułem, że ekonomia to nie jest nauka. Kontrast z fizyką był wprost katastrofalny. Fizyka ma wszystko policzone do dziesiątego miejsca po przecinku. W ekonomii szczytem osiągnięć dla niektórych jest narysować niczym niepodparty wykresik z dwiema przecinającymi się kreskami. Tym bardziej w latach 90. Rzuciłem to, wyjechałem do USA, skończyłem doktorat z fizyki i dostałem pracę jako quant...

Czyli kto?

– Człowiek od liczb. Zajmuję się wyceną transakcji, których końcowa wartość zależy od skomplikowanej formuły, czasami zawierającej wiele indeksów bądź cen: od stóp procentowych, przez ceny metali, energii, po ceny żywności.

A w Polsce też miałeś odwagę pyskować wykładowcom?

– Nie, co ty. To było zakuj-zdaj-zapomnij, a nie żadne dyskusje o paradygmatach. Jak działają finanse czy banki, także nikogo nie interesowało. Ważne było, żeby skończyć te studia, dostać papier i trafić do pracy w sektorze prywatnym. Ale wtedy nie było tak powszechnego internetu, dodatkowych lektur, a ja miałem inne zainteresowania niż pyskowanie wykładowcom na uczelni.

To kiedy połknąłeś czerwoną pigułkę i stwierdziłeś, że coś w tym wszystkim nie gra?

– Koło 2007 r., kiedy pracowałem w finansach i zaczęły się pojawiać sygnały, że dzieje się coś niedobrego. Ale wokoło wszyscy powtarzali: „Nie, to niemożliwe, system jest stabilny, wszystko jest w porządku”. A w 2008 r. trzasnęło. Wpisałem potem w wyszukiwarkę: „Kto przewidział kryzys?”. I to dopiero było szokujące odkrycie. Jest na świecie 100 tys. ekonomistów czy makroekonomistów. A kryzys przewidziało pięciu, z czego czterech z tzw. heterodoksyjnych szkół ekonomicznych. Czyli tych spoza głównego nurtu, który w Polsce i w USA wciąż pokazuje się jako tę „właściwą” ekonomię. Zacząłem czytać o tych pięciu, trafiłem na publikację prof. Steve-'a Keena, a później na jego debatę z Billem Mitchellem, który reprezentował nurt MMT, *modern monetary theory*, czyli nowoczesnej teorii monetarnej. I to mnie dopiero zafascynowało...

Dlaczego?

– Zobaczyłem, że ci ludzie mają wszystko rozpisane. Każdą transakcję potrafią pokazać w precyzyjny sposób: temu ubyło, temu przybyło, ten jest winien, tak wygląda rachunek. I to mnie jako fizyka z wykształcenia przekonało. Pomyślałem: „OK, to jest coś więcej niż machanie rękami”. Nareszcie da się coś policzyć, wykazać, udowodnić.

Ludzie myślą, że krytycy Balcerowicza i głównego nurtu ekonomii to jacyś foliarze i antynaukowcy, a jest odwrotnie. To mainstream jest na poziomie średniowiecznej medycyny lub fizyki przed Galileuszem. Dużo mitów, wiary, zaklęć, a mało empirycznego sprawdzania hipotez i podważania niesprawdzających się założeń. Kryzys 2008 r. to pokazał. Nikt zajmujący się akademicką ekonomią nie był w stanie tego przewidzieć. I nie chodzi o to, że coś przegapili, nie! Ich modele po prostu nie pozwalały na dopuszczenie, że taki kryzys może się pojawić.

> W 2008 r. trzasnęło. Wpisałem w wyszukiwarkę: „Kto przewidział kryzys?”. Jest na świecie 100 tys. ekonomistów. A kryzys przewidziało pięciu, z czego czterech spoza głównego nurtu.

Mówisz, że ekonomiści nie zajmują się w ogóle nauką. Próbują jednak wykazać jakieś korelacje, tworzą modele i ekstrapolują wiedzę z danych, usiłują odnaleźć i opisać prawidłowości. To wszystko twoim zdaniem zaklęcia?

– Da się policzyć korelację wszystkiego ze wszystkim. Na przykład astrolodzy mierzą rzekomy wpływ położenia planet względem gwiazd na wydarzenia na Ziemi – mają całe tego tabele. Ale czy to jest nauka?

eprasa.pl 02bf30e678

Jak się nie ma właściwej teorii, to nie sposób zrozumieć rzeczywistości. Na pewno ekonomiści głównego nurtu sięgają w jakichś badaniach empirii, ale nienaukowe jest samo jądro ich teorii. Przez co cała dyscyplina przypomina bardziej paranaukę w rodzaju astrologii i próbę upartej obrony gotowego zestawu dogmatów.

Ale skoro ekonomia głównego nurtu nie różni się od astrologii, to dlaczego rządy państw na całym świecie powierzają ekonomistom decydowanie o sprawach najważniejszych – dobrobycie milionów, jeśli nie miliardów ludzi?

– W rzeczywistości politycy też nie zatrudniają ekonomistów, którzy wyciągają swoje wnioski z głównonurtowej teorii – bo ona jest do rządzenia w dużej mierze nieprzydatna. To zresztą już widać, bo odpowiedź na kryzys po covidzie była inna niż na kryzys z 2008 r. – nie było żadnych wezwań do cięć, oszczędności, obaw o bankructwo państw. Pieniądze po prostu się znalazły.

A teraz jest inflacja i każdy uważa to za dowód słuszności swojej teorii. Neoliberałowie krzyczą: „Ostrzegaliśmy przed drukowaniem pieniędzy, teraz macie tego skutki!". I co, nie mieli racji? Były duże wydatki, a teraz jest inflacja.

– A jest dokładnie odwrotnie! My, czyli zwolennicy szkoły typu MMT i innych heterodoksyjnych nurtów, cały czas mówiliśmy, że to nie pozyskanie pieniędzy przez rząd jest ograniczeniem, lecz jest nim inflacja. Pieniędzy nie może być „za mało", może być ewentualnie „za dużo". Rząd może wydać dowolną ilość pieniędzy, o jakiej zadecyduje parlament. Nigdy nie może być zaś tak, że rząd chce wydać jakieś pieniądze – a ich nie ma, brakuje „inwestorów", nie ma chętnych, by pożyczyć. Nie ma takiego mechanizmu.

Spór nie dotyczy więc tego, czy „zabraknie pieniędzy", bo widzimy, że nie zabraknie. Spieramy się o to, skąd się wzięła inflacja. Mainstream próbuje ratować twarz, zrzucając winę za inflację na „drukowanie pieniędzy" – i udaje, że nie widzi innych jej przyczyn, takich jak przy każdej wojnie czy kryzysie skutkującym przesunięciem popytu.

Mieszkasz sobie w USA, masz udaną karierę zawodową, pewnie zarabiasz nie najgorsze pieniądze. Mimo to chce ci się poświęcać masę czasu na siedzenie w internecie i dokuczanie polskim prowincjonalnym liberałom. Mnie to fascynuje – po co ktoś to robi? Po co ty to robisz?

– Chyba trochę ze złości. Ze zniecierpliwienia i oczekiwania wyższych standardów. Pewne rzeczy powinny być oczywiste, szczególnie po 2008 r., a już na pewno po 2020 r. A Polakom tłucze się do głowy zupełnie bezkarnie nonsensy sprzeczne z podstawową rachunkowością. W polityce trochę jak w akademii – starzy nie chcą się przyznać, że ich teorie nie miały sensu, ale jest już za późno, żeby zacząć im zaprzeczać.

A ja uważam, że Polacy zasługują na więcej. I tak wsiąkłem w polski Twitter – mam 15 wolnych minut w pracy, to postuję. Ale nie uważam tego za wielką misję cywilizacyjną. Przecież przez większość czasu to jest – jak to się po polsku mówi? – „wołanie na puszczy".

„Polacy zasługują na więcej" – co to znaczy?

– Pewne rzeczy powinny być oczywiste. Ludzie powinni wiedzieć choćby, jak działają odsetki od obligacji, czyli od długu. W państwie z własną walutą odsetki znajdują się pod całkowitą kontrolą banku centralnego i ich wysokość nie jest w żaden sposób miarą „zaufania inwestorów" czy „ryzyka bankructwa". To jest projekcja sytuacji gospodarstwa domowego na państwo, które kreuje pieniądz – a przecież państwo nie jest jak rodzina z kredytem, która, jak nie zapłaci raty, to zostanie eksmitowana z mieszkania albo zbankrutuje. To tak nie działa; państwo tworzy pieniądze, rodzina nie. To jest podstawowa różnica, a bzdury o tym, że państwu zabraknie pieniędzy, powtarzają w polskich telewizorach nawet ekonomiści. A ja jestem człowiek prostolinijny – krew mi się gotuje, jak to słyszę.

Słyszysz, że Polska będzie drugą Grecją, i co?

– Kiedyś liczyłem, że ludzi da się wyedukować. Dziś po prostu popijam szampana i walę te tweety jeden za drugim. Trolluję i nawołuję na puszczy.

eprasa.pl 02bf30e678

Polska nie będzie drugą Grecją. Ludzie przegapili to, ale w 2020 r., jak wszystko się waliło i paliło, nawet Grecja płaciła 1% odsetek od długu. Dlaczego? Bo ich wysokość reguluje bank centralny – w tym przypadku Europejski Bank Centralny. Ale o tym się nie mówi, bo trzeba by wtedy powiedzieć, że te decyzje, ten sztucznie wytworzony w 2011 r. kryzys odpowiada za setki samobójstw i rozpad rodzin, nędzę emerytów i młodego pokolenia, okaleczenie tego społeczeństwa na dekady. A wszystko po to, żeby wymusić na Grecji cięcia budżetowe.

I Europejski Bank Centralny mógł tak po prostu Grecję uratować, tylko nie chciał?

– Mógłby. I zrobił to w 2020 r., ale nie w 2011. Wystarczyłoby ogłosić, że nie pozwoli wycenie obligacji przekroczyć pewnego pułapu i koniec. Dlaczego nie może tak zrobić, skoro to samo może brytyjski czy japoński bank centralny? W trakcie II wojny światowej Wielka Brytania płaciła przez 10 lat zero albo 1% odsetek. Więc trzymając się tej metafory z gospodarstwem domowym – twój dom jest napadany, płonie, lecą ci bomby na głowę, a banki udzielają ci cały czas kredytu na 0%? Wiadomo, że nie. Tym się różni gospodarstwo domowe od państwa. Ludzie nawet w finansach do dzisiaj tego nie rozumieją.

Czego nie rozumieją?

– Ludziom nie mieści się w głowie, że obligacje – czyli dług publiczny – zawsze znajdą nabywcę. Nawet jeśli zwrot z obligacji to 7%, a inflacja to np. 10%. Jak to możliwe? System bankowy to system zamknięty: wszystkie rezerwy międzybankowe, także PLN, to są liczby na arkuszu kalkulacyjnym banku centralnego. W momencie, w którym rząd wydaje więcej i tworzy się deficyt, tych rezerw międzybankowych przybywa. I banki nie są w stanie się ich pozbyć – mogą kupować waluty, złoto, inne aktywa – ale cały czas rezerwy PLN są przesuwane między jednym bankiem a drugim. Ich nie ubywa. Jedyny sposób na pozbycie się tych nadmiarowych rezerw to kupienie obligacji w tej samej walucie od swojego rządu. I temu służy sprzedaż obligacji – usunięciu nadmiarowych rezerw z systemu bankowego. Ale nawet ludzie z finansów tego nie rozumieją. Dodam, że to nie jest moje odkrycie. Ja tłumaczę tylko mechanizm wyjaśniony przez twórcę MMT Warrena Moslera, który zjadł zęby na handlu obligacjami.

Eksperci, ministrowie, ekonomiści w Polsce tego nie rozumieją?

– Ludzie z piedestału są postrzegani, jakby mieli nie wiadomo jaką wiedzę, choć w rzeczywistości to często zwyczajni ideolodzy. Zacząłem się przyglądać np. różnym prognozom czy przepowiedniom Leszka Balcerowicza. I nie chodzi wyłącznie o to, że one się nie sprawdzają – sprawdza się ich przeciwieństwo. Gdy mówi, że będzie załamanie gospodarcze, to jest wzrost. Gdy mówi, że będzie spowolnienie, to rozwój gospodarczy przyśpiesza. Gdy mówi, że ludzie odejdą z pracy, bo jest socjal, to w rzeczywistości przybywa miejsc pracy i Polska ma historycznie niskie bezrobocie. Dlaczego tak jest? Bo jego teoria jest błędna. Nie atakuję go osobiście, ale on jest pewnym symbolem tej mylnej teorii.

Nie atakujesz ludzi personalnie?

– Atakuję takich ludzi jak Izabela Leszczyna czy Andrzej Rzońca, ale tylko dlatego, że oni są znani i lubią sobie pogadać głupoty.

Ale Balcerowicz mówił w 2019 r., że będzie inflacja.

– Pewnie mówił tak co roku. W rzeczywistości w 2020 r. mimo rekordowych deficytów (czyli dolewania pieniędzy do gospodarki) inflacja wszędzie spadła, a w 2021 r. była bardzo dobrze skorelowana ze wzrostem. Jest coś takiego jak inflacja producencka i jest szokująco duża korelacja między tym, jak ona wzrasta w krajach tak różnych jak Chiny, Niemcy, Polska, USA. Dlaczego? Bo gdy ropa drożeje dla Chińczyków, to drożeje również dla Polaków i Amerykanów. Jeśli drożeją plastiki, metale, żywność, to one drożeją dla wszystkich. To potem może różnie się przekładać na inflację konsumencką, bo jedne kraje zużywają więcej energii na jednostkę PKB, różne społeczeństwa różne rzeczy jedzą itd., ale i tak korelacja między inflacją w tych krajach jest bardzo wysoka.

I rzeczywiście w naszej części Europy ta inflacja konsumencka nieznacznie odbiła już w 2019 r., ale tak naprawdę zaczęła się wszędzie dopiero po tym, jak pojawił się efekt lockdownów, zablokowania portów, przestojów w dostawach i handlu itd. A ta inflacja i tak jest bardziej skomplikowana niż wszystkie znane nam podobne kryzysy, bo do tego doszła wojna. Nie mamy więc do czynienia z tylko putinflacją, bo to jest bardziej skomplikowane, ale na pewno też nie wywołała inflacji polityka socjalna rządu PiS czy 500+.

A opozycja ci powie, że właśnie tak, bo mamy nieodpowiedzialnego prezesa banku centralnego.

– A to fakt, że prezes Glapiński potrafi powiedzieć coś nieodpowiedzialnego i komunikacja NBP leży. Ale jak tylko spojrzysz, co się dzieje w naszej części Europy, to stwierdzisz, że nie ma to wielkiego wpływu – podobnie jak nie ma wpływu posiadanie lub nieposiadanie euro. Inflacja podąża w Europie Wschodniej za cenami energii i widać to także po krajach regionu, które mają euro. Weźmy Estonię, gdzie nie mają Glapińskiego, mają euro i jednocześnie najwyższą inflację w Europie.

A może trzeba było szybciej podnosić stopy procentowe?

– Ale to również można nałożyć na wykres inflacji w Europie i prędko się zobaczy, że nie ma żadnej korelacji między wysokością stóp a poziomem czy zmianami poziomu inflacji. Na ostateczną wysokość inflacji, jak widzimy, nie wpływa poziom stóp procentowych, długu publicznego czy posiadanie waluty euro. W strefie euro są kraje z najwyższą i najniższą inflacją w Europie. Jeśli przyczyną inflacji jest lockdown w Chinach i to, że z portu w Szanghaju

Inflacja podąża w Europie Wschodniej za cenami energii i widać to także po krajach regionu, które mają euro.

eprasa.pl 02bf30e678

nie wychodzą statki – to jak miałoby temu zaradzić manipulowanie stopami procentowymi przez Czechów?

Ty na to wszystko proponujesz teorię zwaną MMT. O co w tym chodzi?

– *Modern monetary theory* przekonuje, że pieniądze są narzędziem polityki publicznej. Tak jak armia, system ochrony zdrowia czy poczta są narzędziami w rękach państwa i społeczeństwa. Państwo emituje pieniądze, tak mówi konstytucja, a nie „odbiera je" podatnikom, jak wierzą niektórzy. Jeśli ktoś wątpi, niech wyciągnie banknot z portfela i sobie sprawdzi – jest tam napisane, kto go wyemitował, jest nawet podpis szefa banku centralnego. Pieniądze są od państwa. I teraz trzeba sobie zadać pytanie: skoro to państwo drukuje własne pieniądze, to jak może zbankrutować?

No jak?

– Skoro wiemy, że państwu nie mogą się skończyć pieniądze, to znaczy, że państwo samo decyduje, ile ich wyda. Jeśli ilość pieniędzy nie jest ograniczeniem, to musi nim być coś innego – np. groźba hiperinflacji. Dlatego polityką powinno kierować zrozumienie prawdziwych, a nie fikcyjnych ograniczeń.

Dlaczego zatem, skoro bank centralny może wydrukować pieniądze w nieograniczonej ilości, Polska zwyczajnie nie wydrukuje pieniędzy koniecznych na kupno czołgów i samolotów za bilion?

– Jest kilka powodów. Pieniędzy rzeczywiście nie zabraknie, ale może zabraknąć zasobów realnych. Jeśli np. Polska stwierdzi, że do 2025 r. chce mieć bazę na Księżycu, a to będzie kosztowało trylion złotych, to może się okazać, że nie ma dość pracowników, mocy wytwórczych czy surowców, żeby to było możliwe. Drukując tyle pieniędzy, nie uda się więc zbudować bazy na Księżycu, a jedynie wywołać inflację. Czyli ograniczeniem międzyplanetarnych marzeń Polski jest nie brak pieniędzy, tylko brak realnych zasobów.

Tak samo to działa nawet bez planów podboju kosmosu. Oczywiście te rozważania odnoszą się wyłącznie do wydatków we własnej walucie. Zbrojenia mogą być groźne dla gospodarki, bo najczęściej odbywają się poprzez wydatki w obcej walucie i nie zwiększają mocy produkcyjnej rodzimej gospodarki. Dług w obcej walucie z powrotem stawia gospodarkę w pozycji gospodarstwa domowego – jest winna pieniądze, których nie emituje! Zaciąganie długu w obcej walucie to jedyny mechanizm, który może postawić Polskę w sytuacji „drugiej Grecji".

Czyli jedynym ograniczeniem dla drukowania pieniędzy jest potencjał realnej gospodarki, a nie chociażby limit długu zapisany w konstytucji?

– Oczywiście. Gdybyśmy umieli zbudować bazę na Księżycu, mieli inżynierów, rakiety, surowce i paliwo – to nie ma żadnej granicy dla możliwości sfinansowania podobnego projektu. Nie może nam zabraknąć PLN.

Ale to znaczy, że nie ma żadnego poziomu długu, który jest niebezpieczny, i może on rosnąć bez ograniczeń?

– We własnej walucie w zasadzie tak. Limitem jest zapotrzebowanie na pieniądz: jak ono rośnie, to rosnąć może i dług. Co nie oznacza, że nie można w polityce wydatkowej popełnić kosztownych błędów. Można wydać za dużo pieniędzy w sposób, który nie koresponduje z wydajnością gospodarki, i w ten sposób doprowadzić do kłopotów. Ale kryzys długu będzie wtedy i tak tylko symptomem. Mimo głupiej polityki pieniądze się nie skończą, a obligacje i tak będzie można dalej sprzedać. Ryzyko jest raczej takie, że wybuchnie wysoka inflacja, np. na skutek silnego spadku kursu rodzimej waluty. Ale nie ma ryzyka, że są pracownicy, są moce wytwórcze, jest wola pracy, a z powodu długu nie można nic zrobić.

A czy państwo polskie prowadzi politykę mądrze, czy głupio? Skoro powiedziałeś, że tylko to jest ryzykiem.

– Nie chcę wdawać się w ocenę polityki państwa, choć ludzie rzeczywiście zarzucają mi, że jestem jakimś zagorzałym zwolennikiem PiS. PiS mi zwisa, prawdę mówiąc. Fakty są takie: dług w Polsce nie jest ani za duży, ani za mały – a limit długu jest niepotrzebny, bo przez niego teraz trzeba ten próg zadłużenia obchodzić i upychać to po różnych funduszach. Bezrobocie jest bardzo małe, a inflacja – co mówiłem wcześniej – taka sama jak w krajach o podobnym zapotrzebowaniu energetycznym w regionie. Nie widzę jakichś rażących zaniedbań w polityce finansowej rządu. Natomiast są zaniechania w polityce realnej: buduje się za mało mieszkań, szkoli za mało lekarzy, kuleje transport publiczny itd.

Co uznasz za swój sukces?

– Jak na polskim Twitterze pod wpisami Balcerowicza, Dudka czy innych FOR-owców zaczną się pojawiać sensowne odpowiedzi polskich komentatorów, uznam, że nie mam już nic do dodania w tym temacie. Coraz więcej ludzi rozumie, że to, co jest im serwowane w Polsce, to w dużej mierze propaganda. I zaczynają zadawać trudne pytania, samemu obalać mity, dawać odpór... Więc jak wreszcie przestanę słyszeć, że „Polska będzie drugą Grecją", i jak propagandyści będą musieli wymyślić coś mocniejszego, to też będzie mój sukces.

Powiedziałeś, że jak trollujesz ludzi w Polsce, popijasz sobie szampana. To dobry szampan?

– Nie, tak naprawdę nie. Nie jestem jakimś libkiem, który musi za pomocą konsumpcji coś sobie udowadniać.

Zaciąganie długu w obcej walucie to jedyny mechanizm, który może postawić Polskę w sytuacji „drugiej Grecji".

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 02bf30e678

Marcin Ogdowski

Krótka historia długiej katastrofy

Wojna w Iraku miała potrwać kilka tygodni, ale przerodziła się w długoletni konflikt, którego skutki dotknęły wiele innych krajów

20 marca 2003 r. – dokładnie 20 lat temu – rozpoczęła się wojna w Iraku, druga w ciągu kilkunastu lat. O godzinie 5.30 czasu lokalnego pierwsze amerykańskie bomby i pociski manewrujące spadły na Bagdad. Operacji „Iracka wolność" nie poprzedziły wielotygodniowe, zmasowane naloty ani uderzenia rakietowe, jak podczas pierwszego konfliktu z 1991 r. Wojska lądowe z miejsca przystąpiły do akcji, z zamysłem szybkiego przejęcia roponośnych obszarów Iraku i ich zabezpieczenia, a następnie kontynuacji uderzeń w głąb kraju. Siły międzynarodowej koalicji liczyły niespełna 300 tys. żołnierzy – 248 tys. Amerykanów, 45 tys. Brytyjczyków, 2 tys. Australijczyków i mniej niż 200 Polaków. Saddam Husajn wystawił przeciw nim półmilionową armię składającą się z żołnierzy, elitarnych gwardzistów i kiepsko wyszkolonych, za to wysoce zmotywowanych (jak się wydawało) fedainów.

Samorzutna dezorganizacja

Mało kto wierzył wówczas, że wyposażone w poradziecki sprzęt, właściwie pozbawione lotnictwa irackie wojsko będzie stawiało długi, zorganizowany opór. Choć dużo mniej liczni, koalicjanci dysponowali miażdżącą przewagą technologiczną, nie bez znaczenia były też kwestie kulturowe. Armie kręgu judeochrześcijańskiego już od dawna górują nad arabskimi – w dyscyplinie, organizacji, kulturze technicznej czy myśli strategicznej. W taki sposób mści się na Arabach prymat religii nad nauką i jej praktycznymi zastosowaniami. Niemniej jednak przed 20 marca spodziewano się, że część Irakijczyków tanio skóry nie sprzeda. W ujawnionych po latach dokumentach Pentagonu przyszłe amerykańskie straty szacowano na 10 tys. zabitych i rannych, a opanowanie Iraku miało zająć od sześciu do ośmiu tygodni. Rzeczywistość okazała się dużo mniej wymagająca.

Koalicjantów – wbrew założeniom Waszyngtonu – nie witały rozentuzjazmowane tłumy Irakijczyków. A w kilku miejscach irackie wojska twardo postawiły się najeźdźcom – Brytyjczykom w Basrze, Amerykanom w An-Nasirii, Al-Hilli i Karbali. W którymś momencie na przeszkodzie stanęła również pogoda – piaskowe burze wyhamowały rajd marines i zmusiły lotnictwo do ograniczenia działań. Mimo to już 7 kwietnia Amerykanie otoczyli Bagdad. Spodziewali się walk o każdą ulicę, tymczasem wysłana do zajęcia lotniska grupa pancerna, uporawszy się z zadaniem, bez trudu wjechała do centrum miasta. Po ukazaniu się w mediach relacji z zajęcia pałacu Husajna obrona stolicy uległa samorzutnej dezorganizacji. Dezercjom całych oddziałów towarzyszyło oddawanie się do niewoli członków irackich władz. 9 kwietnia Bagdad znajdował się już formalnie pod kontrolą sił inwazyjnych. Stojący na ich czele gen. Tommy Franks poinformował o przejęciu władzy w całym kraju.

Saddam Husajn uciekł ze stolicy – złapano go w grudniu 2003 r. na głębokiej prowincji. Ucieczką salwowali się także jego dwaj psychopatyczni synowie – Udaj i Kusaj; zabito ich w lipcu tego samego roku podczas próby pojmania. Krwiożerczy reżim – odpowiedzialny za śmierć 200 tys. własnych obywateli (w co nie wlicza się ofiar niezwykle brutalnej wojny iracko-irańskiej) – upadł w ledwie trzy tygodnie. Amerykanie zwlekali

eprasa.pl 02bf30e678

Amerykańscy żołnierze wraz z ugrupowaniem Synowie Iraku przygotowują się do operacji oczyszczenia z powstańców małych wiosek na południe od Salman Pak. 16 lutego 2008 r.

Żołnierz armii USA rozmawia z mieszkańcami, których dom został ostrzelany przez siły powstańcze w południowym Bagdadzie. 23 lipca 2007 r.

z ogłoszeniem zakończenia działań zbrojnych – zrobili to dopiero 1 maja. Z pompą, na lotniskowcu USS Abraham Lincoln, na pokład którego prezydent George W. Bush dotarł wojskowym samolotem rozpoznawczym. Okręt stał u wybrzeży USA, na wysokości San Diego, ale ceremonię poprowadzono tak, jakby polityk przyleciał na Bliski Wschód. Teatralność tego wydarzenia nie zmieniała faktu, że Bush miał powody do satysfakcji i fety. Zajęcie Iraku kosztowało sprzymierzonych 214 poległych i trzy razy tyle rannych – kilkunastokrotnie mniej, niż przewidywano. Dodajmy, że na skutek bombardowań i walk zginęło ponad 7 tys. irackich cywilów. Liczba zabitych żołnierzy armii Husajna nie jest znana – szacuje się ją na ok. 10 tys.

Kraj na krawędzi

Szybko się okazało, że zająć kraj to jedno, a okupować go – drugie. I że jest to znacznie poważniejsze wyzwanie. Pierwsze oznaki katastrofy dało się zauważyć w Bagdadzie tuż po zdobyciu miasta. Zniknięcie Husajna i pojawienie się amerykańskich żołnierzy skłoniło mieszkańców do wyjścia na ulicę. Rozpoczął się festiwal niszczenia pamiątek po dyktaturze, czego symbolem stało się obalenie (przy pomocy Amerykanów) okazałego pomnika Saddama na głównym stołecznym placu. Sprawy wymknęły się jednak spod kontroli – bieda i tłumiona latami frustracja pchnęły tłum do siedzib rządzącej partii Baas, urzędów i biur, posterunków policji, aresztów, więzień. Potem na celownik wzięto sklepy, prywatne domy, rozpoczął się rabunek zasobów bagdadzkiego muzeum. Amerykanie zaś stali z boku, nawet gdy zaczęły się samosądy – niekiedy motywowane potrzebą zemsty na reżimowych łajdakach, ale często będące tylko sąsiedzkimi porachunkami pod płaszczykiem „słusznego gniewu". „Tłuszcza się wyszumi i sytuacja wróci do normy", zakładali wojskowi. Nie wróciła.

Fala grabieży dotknęła też istotne elementy infrastruktury. Dodajmy do tego politykę okupantów, którzy rozwiązali dotychczasowe siły bezpieczeństwa (wojsko, policję, służby specjalne), a osobom należącym do partii Baas odmówili prawa do dalszej pracy w urzędach i instytucjach publicznych. Zignorowano fakt, że w kraju Saddama Husajna każdy, kto coś znaczył, musiał być członkiem partii. W efekcie doszło do wielomiesięcznego paraliżu struktur organizujących ludziom życie. Mniejsza o urzędników – inżynierowie, którzy mogliby uruchomić uszkodzone i zdekompletowane elektrownie, puścić w ruch przepompownie i wodociągi, bali się przyjść do pracy. Nie przychodzili więc, a ludność nie miała dostępu do wody pitnej i prądu. Irak stanął na krawędzi katastrofy epidemiologicznej i humanitarnej.

A później było już tylko gorzej. Napięta sytuacja rozniecila konflikty etniczne i religijne. Zamieszkujący północ Kurdowie trzymali się z boku, ale szyici – dotąd będący obywatelami drugiej kategorii – ostro zaatakowali przedstawicieli uprzywilejowanej w czasach Husajna sunnickiej mniejszości. Coś, co w połowie 2003 r. rozpoczęło się jako powstanie sunnitów, byłych baasistów i upokorzonych wyrzuceniem z armii oficerów przeciw siłom okupacyjnym, w połowie 2006 r. miało już postać wojny wszystkich ze wszystkimi. Sunnickie i szyickie bojówki walczyły z Amerykanami i ich sojusznikami, zwalczały nowe irackie siły bezpieczeństwa, ale również – z taką samą determinacją

eprasa.pl 02bf30e678

– siebie nawzajem. W Iraku pojawiła się nieobecna przed inwazją Al-Kaida, która wywindowała standardy przemocy na niespotykany poziom. Jej lokalny przywódca – zabity w 2006 r. przez amerykańskie lotnictwo Jordańczyk Abu Musab az-Zarkawi – zasłynął dokonaniem egzekucji Nicka Berga, Amerykanina, któremu ścięto głowę przed kamerą. Podwładni az-Zarkawiego za cel obrali irackich szyitów, cywilów, których mordowali w powtarzających się zamachach samobójczych.

Echa inwazji sprzed lat

Formalna okupacja Iraku zakończyła się w 2005 r., lecz Amerykanie utrzymywali tam silny kontyngent jeszcze przez sześć kolejnych lat. Dopiero 15 grudnia 2011 r. prezydent Barack Obama ogłosił zakończenie wojennej misji. Czas zweryfikował to postanowienie (o czym w dalszej części artykułu), ale faktem jest, że liczba amerykańskich żołnierzy nad Eufratem i Tygrysem stała się symboliczna. Od połowy 2021 r. jest to 2 tys. ludzi, którzy mają za zadanie szkolić miejscową armię. W 2013 r., w 10. rocznicę inwazji, 30 ekonomistów, antropologów, politologów, prawników i lekarzy pracujących dla amerykańskiego Watson Institute przygotowało raport „Koszty wojny". Czytamy w nim, że liczba ofiar wojny w Iraku – żołnierzy, bojowników, policjantów, pracowników mediów i organizacji humanitarnych oraz irackich cywilów – wynosiła wówczas 189 tys. osób, z czego aż 123 tys. stanowili cywilni Irakijczycy. Konflikt kosztował amerykańskich podatników 2,2 bln dol., choć już wtedy zakładano, że kwota ta zwiększy się do 4 bln dol., wliczając przyszłe odsetki od wojennych obligacji. Autorzy raportu nie przewidzieli kolejnej hekatomby, choć wisiała już w powietrzu.

Trudno obarczyć USA (i ich sojuszników) winą za wywołanie wojny domowej w Syrii, ale pośredni wpływ na eskalację tego konfliktu można Amerykanom przypisać. To z chaosu wywołanego inwazją z 2003 r. wyłoniło się tzw. Państwo Islamskie (ISIS), działające początkowo w Iraku, a później także w sąsiedniej Syrii. W czerwcu 2014 r. bojownicy z ISIS proklamowali powstanie kalifatu na zajętych przez siebie terytoriach obu państw. Gdziekolwiek się pojawili, towarzyszył temu terror wymierzony nie tylko w mniejszości etniczne i religijne, lecz w ogóle we wszystkich, którym można było zarzucić niedostateczne przywiązanie do radykalnych zasad islamu. Rok 2014 był najkrwawszy w historii wojny w Syrii – zginęło wówczas 76 tys. osób. Miażdżąca większość to cywilne ofiary sadystycznych praktyk „wymiaru sprawiedliwości" ISIS.

W tym samym roku Waszyngton – dotąd obojętny wobec cierpienia Syryjczyków – zdecydował się na ograniczoną interwencję. Kampania lotnicza wymierzona w ISIS, prowadzona przy wsparciu innych krajów NATO, z konieczności objęła też północny Irak. Lotnictwu towarzyszyły działania amerykańskich sił specjalnych, które do spółki z regularną armią Bagdadu i kurdyjskimi peszmergami wyzwoliły zajęte przez ISIS irackie ziemie. Do 2019 r. Państwo Islamskie przestało istnieć jako zorganizowana struktura, choć jego pogrobowcy nadal objawiają się w zapalnych punktach globu. Irak zaś wszedł na ścieżkę względnej stabilizacji, uboższy o 300 tys. zabitych obywateli. W kraju, podobnie jak w Syrii, nie działa prawie połowa szpitali i placówek ochrony zdrowia. Występują poważne problemy z wodą, potęgowane zmianami klimatycznymi. Remonty zniszczonych wodociągów, przepompowni i stacji uzdatniania utrudnia brak pieniędzy i wykwalifikowanej kadry. Gros ludzi mieszka w prowizorycznych warunkach – np. w zrujnowanym podczas wyzwalania z rąk ISIS Mosulu – powszechny jest kłopot z dostępem do edukacji i pracy. Wojna oraz jej konsekwencje zmusiły do migracji ponad 9 mln Irakijczyków – uchodźców wewnętrznych i zewnętrznych. Wyjazd do stabilnych krajów Europy wciąż wydaje się rozsądnym sposobem na poprawę warunków życia. Na naszą wschodnią granicę docierają zatem echa inwazji sprzed 20 lat.

Mroczna statystyka

Irak poharatał także Amerykę. Bezpośrednie straty – 4,6 tys. poległych żołnierzy, 3,6 tys. zabitych kontraktorów (najemników), ponad 70 tys. rannych w obu grupach – wydają się minimalne wobec ogromu zaangażowania. Przez Irak i Afganistan – traktowane w USA jako jeden konflikt, tzw. wojna z terrorem – przewinęło się 3 mln żołnierzy. Ale to tylko jedno oblicze mrocznej statystyki, inne to koszty odroczone, np. związane ze stresem pourazowym. Po 2001 r. wskaźnik samobójstw w armii amerykańskiej wzrósł o kilkadziesiąt procent – rocznie życie odbiera sobie 300-400 żołnierzy. Te dane dotyczą jednak wojskowych w służbie czynnej, a większość uczestników konfliktu jest już w cywilu. Każdego dnia samobójstwo popełnia 18 byłych żołnierzy, z których większość służyła w Afganistanie i/lub Iraku. W 2017 r. na 45 tys. Amerykanów, którzy skutecznie targnęli się na życie, 6 tys. miało status weterana. Wskaźnik samobójstw dla tych ostatnich był półtora raza wyższy niż dla pozostałych dorosłych mieszkańców USA.

Przez Irak i Afganistan przewinęło się 3 mln amerykańskich żołnierzy.

Naukowcy z projektu „Koszty wojny" szacują, że wydatki na opiekę nad weteranami wojen toczonych po 11 września 2001 r. wyniosą od 2,2 do 2,5 bln dol. do 2050 r. Koszty takiej opieki w 2001 r. pochłaniały 2,4% budżetu federalnego, w 2020 r. już 4,9%, mimo że liczba żyjących weteranów wszystkich wojen toczonych przez USA spadła z 25,3 do 18,5 mln. Ponad 40% weteranów z Iraku i Afganistanu jest dziś uprawnionych do dożywotniej renty z tytułu niezdolności do pracy. Dla porównania, między II wojną światową a I wojną w Zatoce Perskiej ów odsetek nie przekraczał 25%.

Ale są też inne statystyki, ważniejsze dla nas, bo dotyczące Polaków. Byliśmy w Iraku od samego początku

eprasa.pl 02bf30e678

– GROM wziął udział w ataku na platformy wiertnicze w Umm Kasr w pierwszych minutach wojny. Między 2003 a 2008 r. utrzymywaliśmy nad Eufratem i Tygrysem własną strefę okupacyjną. Ten etap kosztował życie 28 obywateli RP i rany kolejnych 150 – żołnierzy, dziennikarzy, kontraktorów i pracownika Biura Ochrony Rządu – oraz 2 mld zł (800 mln zł to wartość zużytego i pozostawionego w Iraku sprzętu). W 2016 r. posłaliśmy na Bliski Wschód samoloty F-16, które operowały z Kuwejtu, i 60 żołnierzy sił specjalnych – bezpośrednio do Iraku. Oba komponenty weszły w skład koalicji powołanej do walki z ISIS. Polacy (przynajmniej oficjalnie) nie brali udziału w akcjach bezpośrednich – myśliwce wykonywały zadania rozpoznawcze, a komandosi zajęli się szkoleniem irackich specjalsów. Misja szkoleniowa utrzymywana jest w Bagdadzie do dziś. Do dziś także – mimo początkowego entuzjazmu – nie udało się Polsce przekuć wojskowego zaangażowania w korzyści ekonomiczne. Koncern zbrojeniowy Bumar (obecnie PGZ) zarobił co prawda na kontraktach z Irakijczykami niemal 400 mln dol., ale na tym kończy się lista korzyści dla naszej gospodarki.

Polscy lekarze uratowali zdrowie i życie setkom ludzi. Pomoc medyczna dla cywilnych Irakijczyków była też elementem pozyskiwania ich przychylności. Wioska Al-Akra, jesień 2005 r.

Kto pchnął Amerykę ku wojnie?

Po co więc to wszystko było? My, Polacy, wyruszyliśmy na Bliski Wschód, by wykazać się jako wierny sojusznik Stanów Zjednoczonych. Z perspektywy Warszawy był to rodzaj transakcji wiązanej (co do której istniała pełna ponadpartyjna zgoda) – my wam nasz ograniczony udział, wy nam dodatkowe gwarancje bezpieczeństwa.

A USA? Dyskusji o przyczynach amerykańskiego zaangażowania nie sposób oderwać od kwestii ideologicznych, zwłaszcza stosunku do idei amerykańskiej supremacji. Na pewno niezasadny okazał się oficjalny powód interwencji – konieczność likwidacji irackiej broni masowego rażenia oraz związków z Al-Kaidą. Bagdad nie miał takiej broni, a terroryści pojawili się tam post factum, zwabieni amerykańską obecnością. Jeśli Waszyngton chciał zbudować w Iraku demokrację, nigdy nie stworzył do tego odpowiednich warunków. Okupanci najpierw przywieźli „w teczce" nowe władze, potem przymykali oko na wyborcze łajdactwa i korupcję miejscowych elit, którym w 2005 r. oddali stery. Na końcu chodziło już tylko o takie lawirowanie między etnicznymi i religijnymi mieliznami, by ograniczyć skalę rozpasanej przemocy. A gdy wreszcie to się udało, Amerykanie Irak porzucili. Gaz, ropa, dominacja nad zasobami? Jeśli taki cel im przyświecał, sami go unieważnili. Rozwój technologii ułatwił amerykańskim firmom eksploatację krajowych złóż ropy w miejscach dotąd wykluczonych z uwagi na wysokie koszty, pozwolił też na masowe wydobycie gazu łupkowego. W efekcie w drugiej dekadzie XXI w. USA stały się energetycznie samowystarczalne, ba, terminale portowe dotąd nastawione na odbiór kopalin zamieniono w infrastrukturę służącą do ich wysyłki.

Czy wielkie zyski sektora zbrojeniowego wystarczą, by stwierdzić, że to lobby przemysłowo-militarne pchnęło Amerykę ku wojnie? Badania z lat 2001-2003 jasno dowodzą, że opinia publiczna w Stanach domagała się stanowczych reakcji na zamachy z 11 września. W Afganistanie poszło za łatwo, a Irak wciąż miał status niedokończonej wojny. Bush senior w 1991 r., wyrzuciwszy żołnierzy Husajna z Kuwejtu, przerwał obiecującą ofensywę, pozwalając irackiemu reżimowi przetrwać kolejne 12 lat. Amerykanie mają głęboko zakorzenioną niezgodę na opresyjne, dyktatorskie formy rządów, co w połączeniu z imperialnymi ambicjami daje gotowość do zbrojnych interwencji za granicą. Bush junior zapragnął zapisać się w historii jako ten, który zamknął sprawę irackiego tyrana. Jego osobistym ambicjom sprzyjało poparcie części społeczeństwa. Nie daję pierwszeństwa żadnemu z wymienionych czynników – abstrahując od „mądrości po fakcie", uważam, że wszystkie w jakiejś mierze złożyły się na amerykańskie motywacje. Jakiekolwiek one były, Irak wpadł z deszczu pod rynnę. Skutki tego świat odczuwa do dziś.

Wojna oraz jej konsekwencje zmusiły do migracji ponad 9 mln Irakijczyków – uchodźców wewnętrznych i zewnętrznych.

Marcin Ogdowski
m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

FOT. MARCIN OGDOWSKI, US ARMY (2)

eprasa.pl 02bf30e678

Portugalia: koniec złotych wiz

Ceny mieszkań i czynszów wzrosły do poziomów nieosiągalnych dla wielu mieszkańców Lizbony

Historyczne dzielnice miast, takie jak lizbońska Alfama, są zagrożone z powodu rządowego programu złotych wiz.

Tomasz Skowronek

W ostatnich latach Portugalia była jednym z wiodących kierunków turystycznych w Europie i oferowała jeden z najatrakcyjniejszych na świecie programów złotej wizy. Choć przyniosło to Portugalczykom profity, w dłuższej perspektywie spowodowało też sporo problemów. Tym razem to już naprawdę koniec ze słynnymi portugalskimi złotymi wizami, czyli pozwoleniami na stały pobyt w kraju w zamian za inwestycje. Socjalistyczny premier António Costa wspomniał o ich zlikwidowaniu w listopadzie zeszłego roku, ale ostateczną decyzję podjęła Rada Ministrów dopiero 16 lutego.

„Aby walczyć ze spekulacjami na rynku nieruchomości, musimy wyeliminować wydawanie nowych złotych wiz", ogłosił premier Costa na konferencji prasowej w Lizbonie. Wystąpienie szefa rządu było poświęcone wyłącznie kwestii mieszkalnictwa w Portugalii. Costa przedstawił zestaw środków mających na celu walkę ze spekulacjami i plan rozwiązania kryzysu mieszkaniowego. Zagraniczni nabywcy nieruchomości, którzy chcą odnowić swoje złote wizy, będą się do nich kwalifikować tylko wtedy, gdy nieruchomości te będą wykorzystywać jako własny dom lub jeśli zostaną one umieszczone na rynku wynajmu długoterminowego.

Obywatelstwo na sprzedaż

Po raz pierwszy pewien rodzaj złotej wizy zaoferowało małe karaibskie państwo Saint Kitts i Nevis w 1983 r. Państewko szybko znalazło naśladowców – pomysł skopiowali jego sąsiedzi, m.in. Antigua i Barbuda, Grenada czy Dominika.

Złote wizy w Portugalii zostały stworzone dziesięć lat temu dla obywateli spoza Unii Europejskiej. Od tego czasu kraj zarobił na nich 6,8 mld euro. Skorzystali z nich głównie obywatele Chin, którym wydano prawie połowę z nieco ponad 11,5 tys. zezwoleń na pobyt. Brazylijczycy, Turcy, Amerykanie i mieszkańcy RPA to następni główni beneficjenci przepustki. Do tej pory kandydaci do złotej wizy musieli zainwestować w nieruchomość za minimum 300 tys. euro, aby zostać stałymi mieszkańcami Portugalii. Po pięciu latach mogli się ubiegać o obywatelstwo.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 02bf30e678

Teoretycznie każdy miliarder zauroczony pięknymi portugalskimi, maltańskimi, hiszpańskimi bądź greckimi plażami, klifami czy ślicznymi uliczkami mógł tam osiąść w zamian za zainwestowanie setek tysięcy euro w wyremontowanie jakiejś nieruchomości. Następnie rząd odwdzięczał mu się prawem stałego pobytu lub nawet paszportem, a dzięki temu swobodą podróżowania i robienia interesów w całej Unii Europejskiej. Korzystając zaś z możliwości zyskania obywatelstwa, jakiś oligarcha bez problemu może się przenosić do bogatszych państw UE, w których program nie obowiązuje, np. do Szwecji bądź Francji.

Według raportu Komisji Europejskiej z 2019 r. ok. 130 tys. osób zostało naturalizowanych lub uzyskało prawo pobytu w ramach złotej wizy. Mimo że wiele europejskich krajów oferowało bądź nadal oferuje złotą wizę, właśnie Portugalia cieszyła się wyjątkowo dobrą opinią wśród zamożnych obcokrajowców.

W badaniu przeprowadzonym w 2022 r. przez brytyjską firmę konsultingową Henley & Partners, w którym porównano programy złotych wiz w ponad 40 krajach, to Portugalia zajęła pierwsze miejsce jako państwo oferujące zagranicznym inwestorom najwięcej udogodnień. Jej stolica, Lizbona, znajduje się natomiast na szczycie Nomad List, rankingu najlepszych miast dla cyfrowych nomadów. Wśród atutów wymienia się: bezpieczeństwo, niezawodne łącza internetowe, niskie koszty życia (w porównaniu np. z USA czy Wielką Brytanią), słoneczną pogodę i dobrą kawę. Według Nomad List tylko w grudniu 2022 r. Lizbona była domem dla 15,8 tys. cyfrowych nomadów.

„Żyją w swojej małej bańce. Kiedy zakładają firmę, robią to dla innych imigrantów. Oferują zajęcia jogi albo przestrzenie coworkingowe. Chodzą do kawiarni, gdzie kawa kosztuje 4 euro – mówi Xavier Ferreira, student geografii na Uniwersytecie Lizbońskim. – Na TikToku bądź Instagramie zamożni obcokrajowcy publikują filmiki, jak spacerują po ulicach Lizbony, robiąc zakupy i pijąc koktajle. Opowiadają, ile wydają, podczas gdy jeden płaci 690 euro czynszu, drugi 1,5 tys. Oni wydają miesięcznie więcej, niż moi rodzice zarabiali u szczytu swojej kariery”.

Nowi przybysze sprawiają, że miasto staje się coraz bardziej cyfrowe, międzynarodowe, innowacyjne, ale i droższe. Zbyt drogie dla wielu Portugalczyków, zwłaszcza osób ubogich, emerytów czy młodych – studentów, którzy tak jak Xavier Ferreira dopiero zaczynają życie zawodowe. Przestaje im wystarczać na czynsz, przez co muszą się przenieść na obrzeża lub na drugi brzeg Tagu, do którego nie dojeżdża metro.

Turystyczne getta

Bez wątpienia turystyka, złote wizy i przyciąganie bogatych obcokrajowców były kluczowymi aspektami w modelu, który pomógł wyjść krajowi z kryzysu gospodarczego w 2008 r. Jednak teraz według niektórych analityków bum turystyczny i bum owych Vistos Gold odgrywają fundamentalną rolę w poważnym kryzysie na rynku nieruchomości, z którym boryka się Portugalia.

Historyczne dzielnice portugalskich miast, takie jak lizbońska Alfama, są zagrożone głównie z powodu rządowego programu wiz dla zagranicznych inwestorów. Bogaci obcokrajowcy wykupują całe kamienice i je remontują. Mieszkańców się eksmituje, a lokale są wynajmowane turystom bądź cyfrowym nomadom. Kiedy w 2012 r. rozpoczął się program złotych wiz, rząd zakończył również kontrolę czynszów, umożliwiając właścicielom nieruchomości podnoszenie cen wynajmu i eksmisję tych, których nie było już stać na nowe stawki.

Rita Silva, aktywistka mieszkaniowa z organizacji Habita, mówi, że ceny mieszkań i czynszów wzrosły do poziomów nieosiągalnych dla wielu portugalskich mieszkańców Lizbony. Dużą częścią jej pracy jest pomaganie lokatorom w walce z nakazami eksmisji. Od czasu wprowadzenia złotych wiz zajmowała się dziesiątkami takich spraw. „Widzimy coraz więcej ludzi z klasy średniej, którzy nie martwili się o swoją przyszłość. Mieszkali w wynajmowanym domu i byli spokojni; myśleli, że będą mieszkać tam do końca życia. Ale czynsze rosną, umowy są zrywane i nie ma alternatywy”, tłumaczy Silva. Dodaje, że jedna czwarta mieszkańców Alfamy przeniosła się lub została eksmitowana w ciągu ostatniej dekady. W innych popularnych dzielnicach sytuacja wygląda podobnie.

Dave Cook, doktor nauk antropologicznych na Uniwersytecie Londyńskim i ekspert od cyfrowych nomadów, który odwiedził Lizbonę w zeszłym roku, by przerażony tym, jak posunęła się w niej gentryfikacja. „Czułem się jak w kurorcie nad Morzem Śródziemnym. Wszystko było kawiarnią, butikowym hotelem lub restauracją. Centrum Lizbony wydaje się przeznaczone tylko dla bogatych ludzi”.

Kraj zarobił na złotych wizach 6,8 mld euro. Skorzystali z nich głównie obywatele Chin, którym wydano prawie połowę z nieco ponad 11,5 tys. zezwoleń na pobyt.

Jakiś czas temu portugalski tygodnik „Visão” poświęcił numer porównaniu cen nieruchomości Lizbony i Porto z 36 europejskimi metropoliami. Tytuł wydania brzmiał: „Ceny domów w Portugalii na poziomie europejskim”. Jak podkreśla pismo, niektóre wyniki są, delikatnie mówiąc, „niepokojące”. „Visão” zauważa również, że „Lizbona jest droższa niż Rzym czy Bruksela. A mieszkanie w Porto kosztuje tyle samo, ile w Dublinie”. Wartość metra kwadratowego w Lizbonie wynosi ok. 4715 euro wobec 5037 euro w Madrycie. „Taniej można kupić dom w Brukseli (3869 euro), w Rzymie (3208 euro), Mediolanie (3844 euro) czy nawet w Marsylii (4391 euro). Natomiast mieszkania w Porto są droższe niż w Londynie. Droższe od portugalskich miast były lokale w Paryżu bądź w Amsterdamie”. Analiza „Visão” kończy się smutnym stwierdzeniem,

eprasa.pl 02bf30e678

że większości obywateli nie stać na kupno mieszkania.

Według Narodowego Instytutu Statystyki czynsze w Portugalii wzrosły o ponad 40% w ciągu ostatnich pięciu lat. Ponadto, jak alarmuje Eurostat, cena zakupu mieszkań wzrosła w Portugalii o ponad 75% w latach 2010-2022. Warto przy tym podkreślić, że przeszło 50% pracujących zarabiało wówczas mniej niż 1 tys. euro miesięcznie, a Portugalia uchodzi za najbiedniejszy kraj w Europie Zachodniej.

Niskie płace, gorący rynek nieruchomości, polityka zachęcająca bogatych obcokrajowców do inwestowania i gospodarka zależna od turystyki od lat utrudniają miejscowym wynajem lub kupno. Stopa inflacji w Portugalii, wynosząca 8,3%, tylko zaostrzyła problem.

Program „Więcej mieszkań"

Niepokoje związane z gwałtownym wzrostem cen domów, który sprawił, że wielu obywateli ma trudności ze znalezieniem odpowiedniego mieszkania, wpłynęły na decyzje władz. Premier António Costa ogłosił, że aby zaradzić niedoborowi mieszkań, państwo będzie wynajmować wolne domy bezpośrednio od właścicieli na okres pięciu lat i umieszczać je na rynku wynajmu. Na ten cel rząd przeznaczy 900 mln euro. Program nazwano „Więcej mieszkań".

Wprowadzony zostanie także mechanizm regulujący podwyżki czynszów, aby ograniczyć ich wzrost. Jednocześnie wstrzymane będzie wydawanie nowych pozwoleń na prowadzenie wynajmu krótkoterminowego lokali. Tym samym ma zostać ograniczona liczba nowych miejsc noclegowych przeznaczonych dla turystów, aby więcej było mieszkań dla Portugalczyków szukających dachu nad głową na dłużej. Rząd przewiduje też przyznanie preferencji podatkowych właścicielom lokali, którzy obecnie udostępniają je turystom przez aplikacje (np. Airbnb), ale zdecydują się przejść na wynajem długoterminowy. W skrócie: rządzący mają zwiększyć podaż mieszkań na wynajem, zwalczać spekulacje i wspierać rodziny.

Premier Costa uważa, że program „Więcej mieszkań" zostanie zatwierdzony w marcu, ponieważ jego gabinet ma bezwzględną większość w portugalskim parlamencie. Plan ma na celu również nałożenie czynszu za pustostany poprzez interwencję państwa (szacuje się, że w Portugalii jest aż 745 tys. pustych mieszkań). Koniec złotych wiz jest więc tylko elementem pakietu mającego złagodzić kryzys mieszkaniowy.

Decyzja Portugalii jest kontynuacją tego, co zrobiła Irlandia, która tydzień wcześniej ograniczyła swój „Immigrant Investor Program", oferujący prawo pobytu w zamian za 500 tys. euro inwestycji lub trzy lata rocznych inwestycji w wysokości 1 mln euro. Już w marcu 2022 r. Irlandczycy zawiesili przyznawanie złotych wiz obywatelom Rosji w ramach sankcji za inwazję na Ukrainę. Program, z którego korzystali głównie zamożni rosyjscy i chińscy inwestorzy, od rozpoczęcia 11 lat temu zasilił budżet kwotą 1,25 mld euro.

Również w Hiszpanii narastają kontrowersje wokół złotych wiz, a do Kongresu Deputowanych wpłynął projekt ustawy o zniesieniu tego typu gratyfikacji za zakup nieruchomości. Hiszpańska lewicowa partia Más País chce wyeliminować krajowy program dla obcokrajowców ze względu na jego wpływ na ceny mieszkań i wypychanie obywateli z rynku nieruchomości, zwłaszcza w dużych miastach i najpopularniejszych miejscowościach turystycznych. Podobna sytuacja panuje w Grecji, zwłaszcza w Atenach, gdzie wynajęcie mieszkania staje się dla wielu Greków problemem, a rosnące ceny zmuszają rodziny do dzielenia domu ze współlokatorami lub powrotu do rodziców.

Być może decyzja Portugalii o zawieszeniu złotych wiz zapoczątkuje serię „zamykania europejskich drzwi dla milionerów z innych kontynentów". Na pewno zaś dla samych Portugalczyków to koniec pewnej ery, która zmieniła społeczny krajobraz tego państwa.

Tomasz Skowronek

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

14 lutego 51-letnia republikanka Nikki Haley, a właściwie Nimrata Haley, z domu Randhawa, ogłosiła start w wyborach prezydenckich w 2024 r. Nikogo to nie zaskoczyło, bo pogłoski o jej prezydenckich ambicjach krążyły po Ameryce już w 2020 r., a gdy w październiku ub.r. wydała książę pod wiele mówiącym tytułem „If You Want Something Done: Leadership Lessons from Bold Women" (Jeśli chcesz, by coś zostało zrobione. Lekcje z przywództwa od odważnych kobiet), stało się jasne, że jej start w wyborach jest przesądzony.

Kobieta z rekordami

Świat poznał nazwisko Haley w styczniu 2017 r., gdy objęła stanowisko ambasadorki przy ONZ w gabinecie Trumpa. Na radarze amerykańskiej opinii publicznej znalazła się jednak dużo wcześniej. W 2010 r., po kilku latach posłowania w parlamencie rodzinnej Karoliny Południowej, wygrała wyścig o fotel gubernatora, przechodząc do historii nie tylko jako pierwsza kobieta na tym stanowisku w swoim stanie, ale również jako pierwsza w historii USA gubernatorka azjatycko-amerykańskiego pochodzenia, a trzecia kolorowa. Do tego najmłodsza osoba w roli gubernatora – miała wtedy 32 lata. Pierwszą kadencję wywalczyła na przekór wszystkim prognozom, drugą, w roku 2014, wygrała z przytupem, z prawie 15-punktową przewagą.

Osiągnięcie ogromne, jeśli pamiętamy, że Karolina Południowa, swego czasu centrum przemysłu bawełnianego i stan o najwyższym odsetku niewolników, do dziś pozostaje areną większej niż przeciętna aktywności białych suprematystów, a w sferze politycznej – ostoją konserwatystów nadal chętnie pielęgnujących konfederacką przeszłość stanu. Co ważniejsze, osiągnięcie, którego Haley nie zmarnowała. Gdy w czerwcu 2015 r. biały suprematysta zamordował w kościele

eprasa.pl 02bf30e678

Wykuwanie się prezydentki made in USA

Córka hinduskich imigrantów idzie na wojnę z Trumpem o nominację prezydencką w wyborach 2024 r.

w Charleston dziewięcioro czarnoskórych parafian, Haley ruszyła na wojnę z prokonfederackim skrzydłem swojej partii i podpisała historyczną ustawę o permanentnym usunięciu z budynku stanowego Kapitolu wciąż tam powiewającej flagi konfederackiej. A to tylko połowa jej wyborczego profilu. Zanim bowiem zaangażowała się w politykę, z wielkim powodzeniem realizowała się w sferze biznesu.

Przygodę z przedsiębiorczością rozpoczęła już jako 12-latka, gdy zajęła się księgowością rodzinnego butiku z odzieżą i pomogła rodzicom przekształcić go w przedsięwzięcie przynoszące wielomilionowe dochody. Po studiach z księgowości została CFO, dyrektor finansową, rodzinnej firmy, w wieku 26 lat weszła do zarządu izby handlowej w swoim hrabstwie (Orangeburg), a sześć lat później została prezeską National Association of Women Business Owners (Związku Kobiet w Biznesie), najważniejszej organizacji zrzeszającej przedsiębiorczynie z całej Ameryki.

Nikki Haley szanse na wygraną ma nikłe, ale sama jej obecność w wyścigu może być dla Ameryki ważniejsza, niż się wydaje.

Spóźniona o 10 lat

Jeśli popatrzymy na dzisiejszą Amerykę – kraj, gdzie w wielu miejscach ludzie biali już nie są większością (w grupie poniżej 18 lat nie są nią już od 2019 r.), do tego coraz odważniej mierzący się ze swoją trudną historią rasizmu i wszelkich innych form dyskryminacji – Nikki Haley wydaje się kandydatką niemal idealną. Nie tylko oferuje wspaniały PR partii, która od dawna rozpaczliwie zabiega o większe zróżnicowanie, ale także zaciekawia wyborcę z centrum i lewicy. Partia Demokratyczna na kobiety i mniejszości stawia od dawna, jednak osiągnąć tyle wśród konserwatystów to sztuka i Haley należą się za to wielkie brawa.

Czy więc powinniśmy się szykować na to, że nazwisko Nikki Haley znajdzie się w przyszłym roku na kartach wyborczych? Niewykluczone, ale paradoksalnie jest to trudniejsze niż kiedykolwiek. – Haley przystąpiła do wyścigu w momencie, gdy stężenie seksizmu w Partii Republikańskiej sięga maksimum – wyjaśnia Lauren Leader, szefowa All In Together, think tanku nastawionego na polityczną i obywatelską edukację kobiet. – Gdybyśmy mieli do czynienia z Partią Republikańską sprzed 10 lat, Haley bez wątpienia nokautowałaby rywali dorobkiem jako polityczka i bizneswoman, a do tego niebiała. Niestety, dziś jako kobieta kolorowa stoi na końcu szeregu, a statystycznie jest dwa razy bardziej zagrożona atakami dezinformacji i hejtu pod swoim adresem niż białe koleżanki.

Po co zatem poświęcać Nikki Haley uwagę? Z dwóch przyczyn. Po pierwsze, każdy start kobiety

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 02bf30e678

w wyścigu o prezydenturę USA, nieważne z jakiej platformy, jest testem gotowości Amerykanów na to, by rządziła nimi kobieta. A przypomnijmy, że są oni wciąż kompromitująco mało otwarci na tę ewentualność w porównaniu z innymi wysokorozwiniętymi częściami świata. Po drugie, nic tak nie odkrywa prawdy o amerykańskim wyborcy jak właśnie wyścig prezydencki. Zdarza się, że politycy dokonują korekty stanowiska w zderzeniu z ujawnionymi w czasie kampanii postawami elektoratu. Tak było z Billem Clintonem, który wygrał, bo powściągnął swój apetyt na regulacje i reformy socjalne w odpowiedzi na entuzjazm wobec reaganomiki, którą we wczesnych latach 90. Ameryka ciągle była odurzona. Albo odwrotnie. Nieoczekiwany wybuch miłości wyborców do jakiegoś kandydata zmienia nie tylko wyborców, ale i kierunek, w jakim podążała cała partia. Wystarczy sięgnąć pamięcią do roku 2016.

Zacznijmy od gotowości Ameryki na prezydentkę. Przed Haley stoi wielkie wyzwanie, bo stosunek Amerykanów do kandydatów na ich przywódców po dziś dzień charakteryzuje pewien jawnie seksistowski paradoks. Otóż oczekują oni, że bez względu na płeć lider musi być twardzielem epatującym siłą i niezłomnością, a więc prezentować wachlarz cech „naturalnych" u mężczyzny. Jednocześnie od kandydatek żądają uwypuklania cech tradycyjnie przypisywanych kobietom: delikatności, ciepła, urody, tego wszystkiego, za co, jak to ujął w 2008 r. Barack Obama, miażdżąc Hillary Clinton w prawyborach, „po prostu dało się je lubić".

Socjolodzy wyjaśniają, że ta kłopotliwa rozbieżność wymagań jest silnie uwarunkowana kulturowo. To niegasnąca tęsknota za „cudownymi latami 50.", okresem zapisanym w zbiorowej pamięci jako czas porządku i dobrobytu, kiedy Ameryką rządzili bezkompromisowi twardziele, a kobiety dorzucały do tego sukcesu swoją cegiełkę, dając im ciepły, opiekuńczy dom.

Lingwistka Robin Lakoff opisała ten paradoks w 1975 r. w kultowej książce „Language and Woman's Place" (Język i miejsce kobiety) i nawet ukuła dla niego specjalną, używaną dziś powszechnie nazwę: *double bind*, czyli podwójny węzeł. – Chodzi o to, że jeśli ludzie nie zachowują się i nie mówią w sposób, jakiego od nich oczekujemy, bazując na wiedzy o tym, kim są, pojawia się poczucie, że są nieautentyczni i niegodni naszego zaufania – wyjaśniła Lakoff. Przebieg kampanii Hillary Clinton w 2016 r. Lakoff uznała za podręcznikowy wprost przykład działania tego paradoksu w praktyce. – Hillary Clinton przekonująco zaprezentowała absolutnie wszystkie cechy, jakie chcemy widzieć u naszych przywódców. Przegrała dlatego, że nie akceptujemy tych cech u kobiety – podsumowała wyniki wyborów Lakoff.

Wielkie przywiązanie do tego paradoksu wykazują amerykańskie media, bez względu na ich sympatie polityczne. Nie będzie przesadą powiedzieć, że to one, kampania po kampanii, przykładają rękę do zatapiania kobiet. Hillary Clinton nie udało się pozbyć przypiętej jej przez media łatki „kobiety niewystarczająco kobiecej". Ta etykietka pociągnęła ją na dno w obu kampaniach prezydenckich. Podobnie, sięgając do przykładów z niedalekiej przeszłości, media „przysłużyły się" Carly Fiorinie, rywalce Trumpa w boju o nominację republikańską w roku 2016. Gdy Trump zaatakował Fiorinę mizoginiczną uwagą o jej urodzie („Popatrzcie tylko na tę twarz, fuj! Chcecie mieć prezydenta z taką twarzą?"), media zrobiły z tego sensację i notowania Fioriny już nigdy nie zdołały się odbić. Wycofała się z wyścigu we wczesnej fazie prawyborów.

Każdy start kandydatki w wyborach prezydenckich w USA jest testem gotowości Amerykanów na to, by rządziła nimi kobieta.

Kobieta boksująca szpilkami

Na co zdecydowała się Haley? Wygląda na to, że asekuracyjnie postawiła na wizerunek kobiety macho. I że poniekąd wzoruje się na Sarah Palin, byłej gubernatorce Alaski i kandydatce na wiceprezydentkę w kampanii Johna McCaina w 2008 r., która lubiła nazywać siebie mamą grizzly i twierdziła, że jest odważniejsza niż wszyscy znani jej mężczyźni. Z tą różnicą, że Haley nie widzi potrzeby porównywania się do zwierząt, woli po prostu zastosować agresję, jeśli zajdzie taka potrzeba. W wideo wyborczym wypuszczonym z okazji startu kampanii ujęła to słowami: – Musicie o mnie wiedzieć jedno. Noszę szpilki, ale nie z powodu mody. Nie mam cierpliwości do ludzi, którzy zastraszają innych (ang. *bully* – przyp. red.), jeśli zaś oddaje im się kopniaka nogą w szpilce, wtedy boli ich jeszcze mocniej.

Za wcześnie mówić, czy owa taktyka zadziała, choć oczywiste jest, że została przemyślana. Docelowo Haley będzie przecież walczyć nie tylko z Trumpem, ale i z kilkoma innymi białymi trumpistami. W gronie szykujących się do wyścigu są gubernator Florydy Ron DeSantis, senator z Teksasu Ted Cruz i gubernator tego stanu Greg Abbott. Poza tym nie można wykluczyć, że kłody pod nogi będą jej rzucać nawet partyjne koleżanki, płynące na fali odkurzonego na prawicy sentymentu do patriarchatu. Na czoło tej grupy wysuwają się: kongresmenka Marjorie Taylor Greene, o której mówi się, że jest Trumpem w spódnicy, Ronna McDaniel – przewodnicząca Krajowej Komisji Republikańskiej oraz Elise Stefanik – przewodnicząca Kongresowego Forum Republikanów i trzecia najważniejsza republikanka w partii. Jeśli Nikki Haley uda się uniknąć sideł podwójnego węzła, to bez względu na wynik wyborów uczyni ze swojej kampanii model dla przyszłych kandydatek na prezydentki. Czy to model najlepszy, na jaki Amerykę stać, i czy w ogóle właściwy, to już inna sprawa.

Co zaś kampania Haley może wnieść do ogólnej historii wyborów prezydenckich? Okazuje się,

eprasa.pl 02bf30e678

że rzeczy absolutnie najważniejsze. Przede wszystkim dowód, że najudatniej sformułowane deklaracje nie zdziałają nic, jeśli pozostaną bez pokrycia.

Nie trzeba specjalnej bystrości, by się domyślić, że największym *bully* na amerykańskiej scenie politycznej pozostaje Donald Trump. Słysząc zatem deklaracje Haley o jej gotowości do konfrontacji z tego typu osobami, wyborcy oczekują, że stanie ze swoim byłym bossem do otwartej, widowiskowej walki. Na razie jednak niczego takiego się nie doczekali. Więcej, Haley zdaje się robić wszystko, by właśnie z Trumpem takiej walki uniknąć. Jedyny prztyczek, jakiego dotąd od niej dostał, to propozycja, by kandydatów na prezydenta poddawać obowiązkowym testom, jeśli mają więcej niż 75 lat. Krytykę, jeśli już po nią sięga, na razie też konsekwentnie adresuje do bezpiecznego, bo zbiorowego odbiorcy – całej swojej partii. I jeszcze uważa, by nie zahaczała ona o tematy, które da się łatwo powiązać ze specyficznymi poglądami Trumpa. Stąd jej widoczna autocenzura, gdy mówi – a raczej stara się mówić jak najmniej! – o kwestiach kobiet, imigrantów i osób kolorowych, ale nawet o swoim najważniejszym osiągnięciu politycznym, czyli pogromie neokonfederatów.

Komentatorzy zwrócili na to uwagę od razu i nie mają w związku z tym dla Haley dobrych nowin. – Choć to zręczny machiawelizm, w ten sposób Haley nie uda się pobić ani Trumpa, ani DeSantisa, ani w ogóle nikogo. Szkoda – ocenił jej kampanię Clarence Lusane, politolog z Uniwersytetu Howarda w Waszyngtonie i ekspert w Europejskiej Komisji przeciw Rasizmowi i Nietolerancji. Swój komentarz opublikowany w tygodniku „The Nation" Lusane opatrzył wymownym tytułem „Kampania prezydencka Nikki Haley już zamieniła się w pośmiewisko".

Otworzyć oczy innym

Szkoda jest tym większa, że mimo widocznego efektu jo-jo w relacjach Haley z Trumpem – w przeszłości ich stosunki wielokrotnie przechodziły przez fazy ocieplenia i oziębienia – właśnie ona ma bardzo dobrą pozycję, by zmienić się w wiarygodnego krytyka Trumpa. Po pierwsze, do roku 2016 była jego twardą przeciwniczką, łajała go za układy z członkami Ku Klux Klanu. Po drugie, choć została członkinią jego gabinetu, zrezygnowała z ambasadorstwa przy ONZ zaledwie po dwóch latach i jest tajemnicą poliszynela, że zrobiła to w proteście przeciwko nominowaniu przez Trumpa na sędziego Sądu Najwyższego Bretta Kavanaugh, człowieka oskarżonego o napaści seksualne. Wreszcie, po szturmie na Kapitol 6 stycznia 2021 r., znów na jakiś czas zdystansowała się od Trumpa, publicznie potępiając jego postawę i działania w tym dniu. W świetle znanych nam już wyników dochodzenia, czym ów szturm naprawdę był i jaka była w nim rola Trumpa, to poważny atut, z którego Haley mogłaby zrobić wielki użytek.

Oczywiście może jeszcze zrobi i może kampania nabierze rumieńców, a jej niskie w tej chwili notowania (9% poparcia w porównaniu z 25% dla DeSantisa i 13% dla Pence'a, którzy nawet formalnie do wyścigu o prezydenturę jeszcze nie przystąpili) nie staną na drodze do sukcesu. Ma w końcu w tej mierze doświadczenie. Pierwszy wyścig po fotel gubernatora też zaczynała jako *underdog* (osoba, której nie daje się szans), a zakończyła go zwycięstwem. Jeśli jednak ciągle będzie się obchodzić z Trumpem jak ze śmierdzącym jajkiem, by nie narazić się konserwatywnemu wyborcy, i tak zafunduje Ameryce ważną lekcję.

Zdaniem Clarence'a Lusane'a i Haley, i wszyscy, którzy „dla bezpieczeństwa" chodzą wokół Trumpa na paluszkach, popełniają kardynalny błąd. Trump przeorał prawicę, ale przecież MAGA (Make America Great Again) jako nurt społeczno-polityczny z biegiem czasu ewoluował i dokonał istotnych przewartościowań. Jest w nim dzisiaj nie tylko miejsce na stonowanie relacji z ojcem założycielem, ale wręcz wezwanie do wzięcia z nim rozwodu.

– Wojna wewnątrz Partii Republikańskiej tocząca się w roku 2023 to pojedynek między frakcjami MAGA Ultra a MAGA na diecie – wyjaśnia Lusane. – Korupcja, rażące nadużycia władzy, pogarda dla litery prawa, nepotyzm, narcyzm, wreszcie toksyczna niewiarygodność czynią z Trumpa coraz większe obciążenie nawet dla tych, którzy wsparli jego autorytarny projekt i pomogli zrobić z niego flagowe w tej chwili przedsięwzięcie na amerykańskiej prawicy. Skrzydło MAGA na diecie na razie nie radzi sobie najlepiej, a jednak to do niego należy przyszłość – ocenia Lusane. – To ono rozumie, że większość Amerykanów brzydzi się dziś trumpizmem, a dowodów na to dostarczały nam każde wybory po roku 2016. Demokraci kontrolują obie izby parlamentu i fotel gubernatorski w 17 stanach o liczbie ludności ponad 140 mln, podczas gdy republikanie w 22 stanach, zamieszkanych przez 131 mln. To gigantyczna zmiana od roku 2018, gdy demokraci rządzili jedynie w siedmiu stanach, zamieszkanych przez 64 mln ludzi, GOP zaś zawiadywało życiem ponad 155 mln Amerykanów. Te liczby mówią same za siebie – konkluduje Lusane.

Jeśli te prognozy są trafne, stosunek Nikki Haley do Trumpa i jej próby podporządkowywania się, niestawiania czoła paradoksom mogą być jak kubeł zimnej wody na głowę prawicy. Bez względu na to, czy życzymy jej sukcesu, czy porażki, nie ulega wątpliwości, że na wojnie republikańsko-republikańskiej i tak najbardziej skorzystają demokraci. Nawet wtedy, gdy do wyścigu ponownie wystawią starego, białego mężczyznę, Joego Bidena.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Na wojnie republikańsko-republikańskiej skorzystają demokraci. Nawet gdy do wyścigu ponownie wystawią starego, białego mężczyznę, Joego Bidena.

eprasa.pl 02bf30e678

Za gorąco na kawę

Katastrofa klimatyczna powoduje migracje nie tylko ludzi, ale też upraw

Mateusz Mazzini

Dla niektórych miejsc na świecie jest tak ważna, że trafiła nawet do potocznego określenia państwa. Mówisz „Kraj Kawy" – myślisz Brazylia. I jest to akurat stereotyp nieodległy od prawdy. Według danych International Coffee Organization (ICO), zrzeszającej kraje, które importują i eksportują kawę, jej największym dostarczycielem na światowe rynki jest właśnie to największe państwo Ameryki Łacińskiej. Stamtąd pochodzi niemal jedna trzecia – 32,16% – całej kawy konsumowanej na planecie. Ta część świata jest globalnym potentatem, połowa z dziesięciu największych producentów to kraje latynoskie. ONZ wskazuje zaś, że ponad 90% ziaren pochodzi z obszarów położonych pomiędzy Zwrotnikiem Raka i Zwrotnikiem Koziorożca. Nieliczne wyjątki dotyczą Nepalu i północnych Chin, gdzie jednak skala produkcji jest nieporównanie mniejsza niż w Afryce Subsaharyjskiej, Meksyku czy Indonezji. Przede wszystkim ze względu na klimat.

O Europie w tym kontekście nie ma nawet co wspominać. Przynajmniej na razie, bo już w najbliższych dekadach sytuacja może całkowicie się zmienić. Epizodycznie media donoszą o eksperymentalnych uprawach na Sycylii czy Wyspach Kanaryjskich. Ci, którzy w katastrofie klimatycznej chcą się doszukiwać czegoś budzącego nadzieję, próbują jeszcze formułować optymistyczne argumenty. Że będzie jak z winami – ich produkcja przeniesie się na Północ, do nowych krajów, przez co ten obszar produkcji żywności nie wymrze całkowicie, po prostu wyewoluuje w nową formę. Z kawą, niestety, może się nie udać. Niewykluczone, że dożyjemy czasów, gdy dostępna będzie tylko dla najbogatszych.

Daleko od ekologii

Kawa to nie tylko element życia codziennego milionów ludzi na całym świecie, ale też gigantyczna i lukratywna część gospodarki globalnego Południa. ICO przytacza jeszcze inną liczbę: 14 mln ludzi w Ameryce Łacińskiej zatrudnionych przy produkcji kawy. Portal Statista ocenia z kolei, że wartość globalnego rynku handlu kawą zbliża się do 500 mld dol., rośnie przy tym w tempie 4% rocznie. 10% z tej kwoty to wartość brazylijskiego eksportu, co sprawia, że kawowe ziarna odpowiadają za 2,37% wszystkich wpływów handlowych tego kraju. Na kawie fortunę zbijano już w czasach kolonialnych, a sztywna, mieszczańska struktura większości społeczeństw latynoamerykańskich spowodowała, że kontrolę nad sektorem nadal w większości sprawują wielkie rodziny latyfundystów, te same, co w XVIII w. Nietrudno więc zrozumieć, dlaczego ekspansja biznesu kawowego się opłaca.

Złota era może jednak nie potrwać długo, bo klimat pomiędzy zwrotnikami zmienia się w niezwykle szybkim tempie, to jeden z obszarów, gdzie zmiany zachodzą najszybciej na planecie. IPCC, międzyrządowy panel ds. zmian klimatycznych, czyli jednostka badawcza ONZ zajmująca się analizowaniem skutków globalnego ocieplenia, szacuje, że nawet przy najbardziej zaawansowanych rozwiązaniach politycznych w zakresie redukcji emisji i odchodzenia od paliw kopalnych temperatura na planecie będzie się podnosić – co najmniej o 1,5 st. do końca tego stulecia. Przy czym słowo „co najmniej" jest tu kluczowe, bo należy pamiętać, że to wartość uśredniona. W niektórych miesiącach roku i w niektórych rejonach wzrost temperatury może być – i pewnie będzie – nawet trzykrotnie większy. Obszary te to właśnie pas pomiędzy zwrotnikami. A miesiące – prawdopodobnie środek wiosny i lata na półkuli południowej, czyli od października do marca. Właśnie wtedy, kiedy trwają jedyne (najczęściej) w roku zbiory kawy.

Paradoksem tej analizy jest jednak fakt, że samo ocieplenie klimatu najpewniej nie będzie decydującym czynnikiem, który może zabić produkcję kawy. To będzie proces rozciągnięty na dekady, zanim zmaterializuje się w pełni, część upraw przeniesie się prawdopodobnie na inne terytoria czy w ogóle zostanie poddana jakieś rewolucji technologicznej.

Równie poważne, ale bardziej widoczne są inne zagrożenia, też związane z klimatem. Już teraz w krajach tradycyjnie eksportujących ziarna

eprasa.pl 02bf30e678

wyższa częstotliwość katastrof naturalnych i anomalii pogodowych. Takich jak huragany, które już teraz kilka razy w roku dewastują ogromne połacie Ameryki Centralnej. Tu też znajdziemy ważnych producentów kawy, np. Honduras ma piąte miejsce na świecie. Jednocześnie to kraj, w który w listopadzie 2020 r. uderzyły dwie potężne burze tropikalne, a jedną od drugiej dzieliło mniej niż dwa tygodnie. Konsekwencje były dramatyczne, ucierpiało 80% terenów uprawnych w kraju. Większość plantacji kawy znalazła się albo całkowicie pod wodą, albo była podtopiona na tyle, że zaplanowane na kolejne miesiące zbiory nie odbyły się wcale.

To uruchomiło spiralę: nie było zbiorów, nie było zysków. Kraj popadł w gigantyczną recesję, prezydent Juan Orlando Hernández, przez wielu oskarżany o bezpośrednie zaangażowanie w zorganizowany handel narkotykami, próbował wynegocjować nowe pożyczki i pomoc od Waszyngtonu, ale cudu nie było, kryzys się nasilał. Podobnie zresztą jak migracje w okrytych złą sławą karawanach, podążających przez inne kraje Mezoameryki i Meksyk do granicy z USA. Dane amerykańskiego Instytutu Polityki Migracyjnej doskonale ilustrują ten trend. Liczba migrantów docierających do Stanów Zjednoczonych z Hondurasu, Nikaragui i Salwadoru, tzw. Północnego Trójkąta w Ameryce Centralnej, w 2021 r. była aż czterokrotnie większa niż rok wcześniej. Nie da się oczywiście jednoznacznie stwierdzić, na ile ten wzrost był spowodowany skutkami huraganów i brakiem pracy w rolnictwie – w tym na plantacjach kawy – ale z pewnością był to czynnik ważny, nawet jeśli tylko pośrednio.

Ameryka Środkowa to niejedyny obszar, na którym katastrof naturalnych jest więcej i stają się one coraz bardziej niszczycielskie. To samo można powiedzieć o Azji Południowo-Wschodniej, Indiach czy Madagaskarze. Do tego długiego rachunku

Obecnie optymalne warunki dla kawy można znaleźć na wysokości 1200 m. Do 2050 r. klimat tak się zmieni, że próg ten wyniesie już ok. 1600 m.

zaczyna brakować miejsca na nowe plantacje. Dlatego masowo karczuje się lasy tropikalne. To gigantyczny problem chociażby w Indonezji, która jest czwartym największym producentem na świecie (6,88% wszystkich ziaren). Tu jak w soczewce skupiają się problemy związane z ociepleniem klimatu i walką o środowisko w krajach globalnego Południa. Tak naprawdę to refren, w którym wystarczy podmienić nazwę kraju, cała reszta będzie pasować: od Peru po Indie i od Brazylii po Jemen. Indonezyjscy farmerzy chcą tworzyć nowe plantacje, więc karczują tropikalne lasy. Nawet te, które są chronione prawem, i to międzynarodowym, jak dżungle na Sumatrze. UNESCO umieściło je na liście światowego dziedzictwa kulturowego już w 2004 r., obligując tym samym indonezyjskie władze do ochrony tych obszarów, ale także wspomagając tę inicjatywę finansowo.

Nie wystarczyło. Jak pisał Wyatt Williams w ubiegłorocznym reportażu dla „New York Timesa", zabezpieczenie lasów tropikalnych przed ekspansją producentów rolnych okazało się dla rządu w Dżakarcie zadaniem ponad siły. Korupcja, brak zasobów ludzkich i materialnych, ale i przymykanie oka na działania farmerów, na których przecież zyskuje budżet. Wszystko to sprawiło, że deforestacji nie udało się zatrzymać. Środowisko nadal jest niszczone, przez co klimat się pogarsza. A to oznacza coraz gorsze warunki do produkcji kawy. Błędne koło, z którego nie ma wyjścia.

Kawowy neokolonializm

Jedną z głównych konsekwencji tego, że świat się ociepla, jest coraz

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 02bf30e678

dopisać trzeba również środowiskowe koszty eksportu i brak właściwej redystrybucji przychodów. Claire Rooney z telewizji Euronews zauważa bowiem, że kawa jest relatywnie mało dochodowym biznesem dla osób zatrudnionych w tym sektorze w porównaniu z ceną, którą płacą konsumenci, czyli głównie Europejczycy. Dane przytaczane przez Fairtrade International wskazują, że przeciętny producent zarabia zaledwie ok. 2,2-2,5 dol. na kilogramie ziaren, co w zestawieniu z o wiele wyższą ceną za kubek kawy w USA czy na Starym Kontynencie jednoznacznie pokazuje, że te wielkie pieniądze w sektorze kawowym gubią się gdzieś po drodze, najpewniej zostając w czyjejś kieszeni. W pewnym sensie rację mają więc ci, którzy mówią o współczesnym handlu kawą jako o drugiej kolonizacji tej uprawy. Za pierwszą odpowiedzialni byli Europejczycy, którzy ją zinstytucjonalizowali i poddali regułom globalnego wolnego handlu. Drugą prowadzą jej dzisiejsi konsumenci, także pochodzący z tych samych krajów. Z każdą kolejną filiżanką powiększają nierówności globalnego Południa – i to jest fakt, nie opinia.

Towar luksusowy

Rozwiązaniem przynajmniej części problemów wywołanych przez zmiany klimatyczne byłoby przeniesienie plantacji na wyższe tereny. ICO podaje tu przykład Gwatemali, gdzie według szacunków i tak trzeba będzie to zrobić, mniej więcej o 400 m w ciągu najbliższego ćwierćwiecza. W tej chwili optymalne warunki dla kawy można znaleźć na wysokości 1200 m, do 2050 r. klimat tak się zmieni, że próg ten wyniesie ok. 1600 m. To jednak ogromny koszt infrastrukturalny, który musieliby ponieść sami farmerzy. A w mniejszych krajach, jak podaje Euronews, aż 70% z nich prowadzi małe gospodarstwa rolne. Nie ma mowy, by byli w stanie samodzielnie się relokować. Na pomoc państwa w tym zakresie też nie ma co liczyć, pozostaje nadzieja, że kolejne huragany czy deszcze jednak nie przyjdą, ziemia nie będzie się osuwać, a klimat tak szybko zmieniać. W przeciwnym razie – tu wszystkie źródła podają ten sam wynik równania – przy obecnym tempie podnoszenia się globalnych temperatur całkowity obszar na Ziemi, na którym będzie możliwa uprawa kawy, skurczy się o połowę do 2050 r. Łatwo sobie wyobrazić, jakie wywoła to konsekwencje dla światowego rynku i kieszeni konsumentów. Przyszłość, w której kawa staje się dobrem luksusowym, wcale nie jest odległa ani wyjęta z apokaliptycznych wizji.

Całkowity obszar na Ziemi, na którym będzie możliwa uprawa kawy, skurczy się o połowę do 2050 r.

Kawowi entuzjaści próbują z tym procesem walczyć. Nie można im odmówić zapału, natomiast brakuje przede wszystkim kalkulacji. Bo owszem, czysto teoretycznie byłoby możliwe przeniesienie całości upraw do szklarni. Tylko to również spiętrzyłoby koszty, a i dla środowiska nie byłoby specjalnie przyjazne. Szklarnie trzeba przecież nagrzewać, nasłoneczniać i nawadniać, taki model rolnictwa pochłania gigantyczne ilości zasobów. A zwłaszcza z wodą w krajach produkujących kawę nie jest wesoło, głównie ze względu na galopującą prywatyzację jej źródeł i cieków. To chociażby problem Meksyku, gdzie rząd już kilkanaście lat temu oddał we władanie sporą część źródeł wody pitnej prywatnym koncernom, z Coca-Colą na czele. Na dłuższą metę szklarnie byłyby więc rozwiązaniem drogim i wcale nie polepszyłyby sytuacji klimatycznej krajów producenckich.

Co, jeśli nie szklarnie? Wspomniane już przeniesienie produkcji na Północ jest jedną z nieuchronnych alternatyw. Do Wysp Kanaryjskich czy Sycylii dołączą niebawem inne kraje europejskie, co do tego nie ma wątpliwości. Przegląd specjalistycznych forów internetowych czy prasy branżowej też nie daje specjalnej nadziei globalnemu Południu – pełno tam eksperymentalnych rozwiązań, takich jak farmy wertykalne czy ogródki miejskie, jednak wydaje się to raczej zagłuszaniem wyrzutów sumienia bogatej Północy niż realną próbą rozwiązania problemu.

Wszystko więc wskazuje, że rynek kawy, a co za tym idzie codzienne przyzwyczajenia milionów ludzi na całym świecie, czeka coś w rodzaju cichej rewolucji. Nie zmaterializuje się ona nagle, z dnia na dzień. Rosnące ceny mogą być przecież przyczyną wszystkiego, od inflacji po wojnę – czego zresztą doświadczamy właśnie teraz. Trudno będzie odkodować wszystkie mechanizmy za tym stojące i dojść do praprzyczyny, jaką jest katastrofa klimatyczna. To zresztą problem z wszelkimi jej konsekwencjami, od wielkich ruchów migracyjnych po wojny religijne czy nawet popularność populistycznych polityków. Gdzieś w tle tych zmian zawsze wybrzmiewa katastrofa klimatyczna. Głównie dlatego, że dotyczy, być może jako pierwsze zjawisko w historii cywilizacji, dosłownie wszystkich na planecie. Dotyka nas jednak w różny sposób – i może z tego powodu tak trudno nam pojąć pełną skalę jej konsekwencji. Kawa może w tym akurat bardzo pomóc.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 02bf30e678

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

A za paskiem broń

Uświadamiam sobie, że mamy dopiero marzec, do wyborów jeszcze ponad pół roku, a tu wszystko gna ku temu, całkowicie im podporządkowane. Wybory i wojna. Na dowód, że tym razem akt wyborczy jest traktowany jak starcie wojenne, wystarczy scena z kopalni Bełchatów, gdzie sfilmowano pistolet Glock wepchnięty w gacie, o, przepraszam, do kabury za paskiem od spodni, blisko ciała, i to ciała Zbigniewa Ziobry, formalnie ministra sprawiedliwości. Polityka europejska, a nawet światowa, nie zna podobnych aktów epatowania bronią palną przez najwyższych urzędników państwowych. Ziobro jest wprawdzie na co dzień otoczony funkcjonariuszami Służby Ochrony Państwa, ale sam też systematycznie ćwiczy strzelanie. Figura szeryfa z amerykańskiego Dzikiego Zachodu nasuwa się sama. Gdyby ten krwawy, mokry sen miał się ziścić, mielibyśmy najbardziej rumianego szeryfa w historii.

Paweł Adamowicz, prezydent Gdańska, zamordowany podczas finału WOŚP w 2019 r., nie nosił broni palnej, a nożownik, który go zabił, nie miał specjalnego problemu z dostaniem się do niego. W dziwnie długo trwającym procesie sąd pierwszej instancji skazał mordercę, Stefana Wilmonta, na dożywocie. „Żadne dowody nie wskazują na zlecenie zabójstwa ani na inspirowanie go przez inne osoby”, mówiła sędzia Aleksandra Kaczmarek, uzasadniając wyrok. Twórcy i wykonawcy wielomiesięcznej, nachalnej i bezpardonowej nagonki mediów rządowych na Adamowicza nie będą musieli się tłumaczyć. Sędzia Kaczmarek zauważyła też, że takiej zbrodni politycznej nie było w Polsce od 20-lecia międzywojennego. Warto pamiętać, że zabójstwo prezydenta Narutowicza poprzedzone było bezpardonowymi atakami mediów prawicowych, nie ma wątpliwości, że endecja miała jego krew na rękach.

Równocześnie, w wyniku działalności szefa Radia Szczecin, niejakiego Tomasza Duklanowskiego, który ujawnił ukryte przez sąd informacje o nieletniej ofierze przemocy seksualnej, co wskazało na syna posłanki PO Magdaleny Filiks, oraz uruchomionej w ślad za tym medialnej nagonki na rodzinę, 15-letni Mikołaj popełnił samobójstwo. Ci, którzy do ataku na posłankę za ujawnienie przez nią nadużyć finansowych polityków Solidarnej Polski nie zawahali się wykorzystać danych pozwalających zidentyfikować ofiarę przestępstwa, mają się świetnie, uruchamiają całą kampanię przeciw Platformie.

Wszystko to dzieje się, kiedy TVN wyemitowała solidnie udokumentowany reportaż o Karolu Wojtyle, późniejszym papieżu Janie Pawle II, który ukrywał, tuszował i lekceważył popełniane przez księży przestępstwa seksualne wobec dzieci. Nieskazitelność, wielkość i świętość „Polaka Tysiąclecia” rozpada się na naszych oczach. PiS wsiada na konia „obrony papieża”, na nim chce dogalopować do wygrania trzeciej kadencji.

Sąd w Poznaniu, w największym procesie politycznym czasów PiS, uniewinnia 32 osoby, które w akcie protestu przeciw drakońskiemu zaostrzeniu prawa antyaborcyjnego przez skrajnie upolityczniony Trybunał Konstytucyjny Julii Przyłębskiej przerwały mszę w katedrze poznańskiej w październiku 2020 r. Natychmiast rusza nagonka „publicznych” mediów oraz ministra sprawiedliwości (to ten z giwerą za paskiem) na sędzię Joannę Knobel, która wydała ten wyrok. Kilkuset sędziów z całej Polski podpisuje list w jej obronie, podkreślając: „Niezawisłość sędziowska jest ostatnim elementem, który odróżnia nasze państwo od dyktatury”.

W tym samym tygodniu w Warszawie zapada wyrok uznający za winną „popełnienia czynu zabronionego z art. 152 k.k. par. 2, dotyczącego pomocnictwa w aborcji” aktywistkę Aborcyjnego Dream Teamu Justynę Wydrzyńską. Przekazała ona kilka sztuk tabletek poronnych proszącej ją o to kobiecie, bo ta chciała przerwać ciążę, w którą zaszła z przemocowym partnerem. Do aborcji nie doszło, mężczyzna przejął tabletki i zawiadomił policję. Wydrzyńska skomentowała wyrok sądu pierwszej instancji: „Jestem niewinna, mówię głośno – to państwo jest winne i zawiodło mnie, Annę, Izę z Pszczyny, Agnieszkę z Częstochowy i miliony kobiet w tym kraju”. W dniu wydania wyroku sędzia Agnieszka Brygidyr-Dorosz zarządzeniem ministra Ziobry uzyskała delegację do Sądu Apelacyjnego w Warszawie.

Rosyjski myśliwiec strącił amerykańskiego drona MQ-9 Reaper nad Morzem Czarnym. Po upadku amerykańskich banków Silicon Valley Bank i Signature w opałach znalazł się szwajcarski gigant bankowy Credit Suisse, któremu widmo upadku zajrzało w oczy. Natychmiast z pomocą pośpieszył szwajcarski bank centralny, pożyczając mu 50 mld franków. Klasyka współczesnego zażegnywania kapitalistycznych kryzysów: prywatyzujemy zyski, uspołeczniamy koszty.

A minister policji i służb tajnych Mariusz Kamiński, nad którym wisi groźba odwieszenia przez Sąd Najwyższy wyroku skazującego (Kamińskiego bezprawnie ułaskawił Andrzej Duda w pierwszych dniach swojej prezydentury), właśnie ogłosił, że ABW „zatrzymała dziewięć osób podejrzanych o współpracę z rosyjskimi służbami specjalnymi”. I że wszystko ma pod kontrolą. Oczywiście. Kto by wątpił?

Nie wiem, czy wystarczy dyskretny postulat świeżo wybranego prezydenta Czech Petra Pavla, który złożył właśnie wizytę w Polsce: „Korzystajmy częściej ze zdrowego rozsądku”. Wygląda na to, że obserwujemy uwalnianie się zupełnie innych sił i motywacji. Wojna ante portas? ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 02bf30e678

Czy stosunki amerykańsko-niemieckie trafią na rafy?

Niemcy i Francja oskarżyły USA o czerpanie profitów z wojny kosztem Europejczyków

Suzanne Loftus

Suzanne Loftus specjalizuje się w polityce wewnętrznej i zagranicznej Rosji oraz w badaniu rywalizacji strategicznej mocarstw. Obecnie jest związana z Quincy Institute w ramach prowadzonego tam programu euroazjatyckiego. Wcześniej wykładała w Niemczech w Centrum Studiów nad Bezpieczeństwem im. George'a C. Marshalla. Doktorat z zakresu studiów międzynarodowych uzyskała na Uniwersytecie w Miami.

We fragmentach prezentowanego artykułu Loftus rysuje o wiele bardziej skomplikowany obraz stosunków niemiecko-amerykańskich, aniżeli jawi się on na podstawie ciągle powtarzanego w mediach przekazu o zrewitalizowanym i silniejszym niż kiedykolwiek transatlantyckim sojuszu. Artykuł ukazał się na stronie internetowej Responsible Statecraft 24 lutego 2023 r.

•

(…) Odkąd rok temu Rosja najechała Ukrainę, Zachód nałożył na Moskwę bezprecedensowe sankcje, nie omijając sektora energetycznego. Od lat 80. minionego wieku Niemcy były uzależnione od taniego rosyjskiego gazu, który zasilał ich olbrzymią produkcję przemysłową. Połowa tej produkcji i prawie dwie trzecie miejsc pracy przypada na tzw. *mittelstand*, czyli 2,6 mln małych i średnich firm, które mają ograniczone możliwości reagowania na gwałtownie rosnące koszty produkcji. Niemcom zatem było szczególnie trudno stawić czoła skutkom nagłego odcięcia od rosyjskich dostaw energii.

Podczas gdy Niemcy stoją w obliczu prawdopodobnej recesji i spadku poziomu życia, Stany Zjednoczone sprzedają im drogi skroplony gaz – wypełniający lukę po gazie rosyjskim – i czerpią z tego znaczne korzyści. Przewiduje się, że w latach 2021-2040 zapotrzebowanie Europy na skroplony gaz wzrośnie o 150%. I chociaż amerykański surowiec już jest dostarczany w rekordowych ilościach, potrzeba go znacznie więcej, aby przywrócić równowagę na europejskich rynkach gazu. Koszty związane ze zwiększoną zależnością od skroplonego gazu będą miały ogromny wpływ na konkurencyjność europejskiego przemysłu. Niemcy i Francja oskarżyły USA o czerpanie profitów z wojny kosztem Europejczyków. Francuski minister finansów Bruno Le Maire przestrzegł, że konflikt w Ukrainie może doprowadzić do gospodarczej dominacji USA i osłabienia Europy. Stwierdził, że niedopuszczalne jest pozwalanie Stanom Zjednoczonym na eksport gazu po cenie czterokrotnie wyższej aniżeli na amerykańskim rynku wewnętrznym. Ponadto prezydent Joe Biden wprowadził ustawę o redukcji inflacji (Inflation Reduction Act), mającą na celu walkę ze zmianami klimatycznymi i równocześnie odnowę amerykańskiego przemysłu oraz infrastruktury. Chociaż kroki wspierające amerykański przemysł są zrozumiałe z punktu widzenia polityki wewnętrznej, zastosowany protekcjonizm grozi utratą konkurencyjności kluczowym sektorom przemysłu europejskiego. W wyniku tej ustawy może szczególnie ucierpieć niemiecki przemysł motoryzacyjny. Ustawa o redukcji inflacji wymaga, aby zielone technologie, takie jak samochody elektryczne, zawierały części wyprodukowane w USA. Są w niej również obietnice dużych dotacji na rozwój przyjaznego środowisku wodoru, zachęcające europejskich producentów do przenoszenia biznesów do Stanów Zjednoczonych. Dotyczy to zwłaszcza branż energochłonnych, które już zaczynają przenosić produkcję za granicę ze względu na niższe koszty gazu i energii elektrycznej. Niemieckie obawy przed utratą konkurencyjności całej gospodarki i dezindustrializacją z pewnością będą się nasilać. (…)

Z kolei Unia Europejska przedstawiła Zielony Ład dla przemysłu, czyli własny plan dotowania zielonej energii, zmierzający do zwiększenia konkurencyjności europejskiego przemysłu w warunkach protekcjonizmu wprowadzonego przez USA i wysokich cen energii. Chociaż spory handlowe między UE a Stanami Zjednoczonymi nie są czymś całkiem nowym, to obecne „wet za wet" w sprawie zielonych dotacji może zwiastować nową erę protekcjonizmu, wpływającego na globalne więzi, handel międzynarodowy i współpracę w czasach geopolitycznych napięć. (…)

W obawie przed USA Niemcy zwiększyły swoją zależność od Chin (…). W listopadzie ub.r. kanclerz Olaf Scholz wraz z delegacją biznesową największych koncernów w Niemczech odwiedził Pekin. Pokazuje to chęć utrzymywania przez kanclerza bliskich stosunków gospodarczych z Chinami, mimo istniejących w jego koalicyjnym rządzie podziałów na tym tle. Szczególnie zależny od Chin jest niemiecki przemysł motoryzacyjny, ponieważ czerpie z chińskiego rynku co najmniej połowę swoich zysków. W 2022 r. Niemcy zainwestowały w chińską gospodarkę rekordową kwotę 10 mld euro.

Co gorsza, szokujący raport Seymoura Hersha zasugerował niedawno, że Stany Zjednoczone mogły stać za wysadzeniem w zeszłym roku rurociągu Nord Stream (seymourhersh.substack.com/p/how-america-took-out-the-nord-stream). Wcześniejsze

eprasa.pl 02bf30e678

dochodzenia przeprowadzone przez rządy szwedzki, niemiecki i duński wykazały, że incydent był rzeczywiście aktem sabotażu ze strony podmiotu państwowego, ale sprawca jest nadal nieznany. Raport „Washington Post" pojawił się kilka miesięcy później. Stwierdzono w nim, że nie znaleziono żadnych dowodów na to, że czynu dokonali Rosjanie, pozostawiając opinii publicznej domysły, kim naprawdę może być sprawca (www.washingtonpost.com/national-security/2022/12/21/russia-nord-stream-explosions). (…) Gdyby zarzuty Hersha okazały się prawdziwe, oznaczałoby to, że Stany Zjednoczone mogły odczuwać potrzebę „trzymania Niemiec w ryzach" w obliczu rosyjskiego ataku na Ukrainę z obawy, że po prostu będą nadal otrzymywać bardzo potrzebne dostawy gazu z Rosji. Jeśli to prawda, oznaczałoby to, że podstawowa relacja, która była ważnym elementem potęgi USA na świecie od 1945 r., opiera się na znacznie bardziej chwiejnych podstawach, niż się wydaje.

Po roku wojny w Ukrainie amerykański sekretarz stanu Antony Blinken stwierdził podczas spotkania ze swoim chińskim odpowiednikiem Wangiem Li na Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa, że Chiny rozważają wysłanie śmiercionośnej broni do Rosji. Chińczycy nie wydali żadnych oficjalnych oświadczeń na ten temat, ale jeśli rzeczywiście pójdą tą drogą, USA bez wątpienia będą czuły się w obowiązku odpowiedzieć. Niektóre z tych odpowiedzi mogą obejmować nałożenie sankcji na Chiny, wzmocnienie ścisłego przestrzegania sankcji wobec Rosji, zwiększenie amerykańskiej pomocy wojskowej dla Tajwanu (…). W świetle niemieckich obaw natury gospodarczej Stany Zjednoczone mogą mieć problemy z uzyskaniem niezbędnego poparcia swoich transatlantyckich sojuszników dla twardej postawy wobec Chin. W miarę eskalacji wojny i większego potencjalnego zaangażowania Chin zmuszenie Niemiec do opowiedzenia się po jednej ze stron będzie prawdziwym testem wzajemnych stosunków. Jedno jest pewne, jeśli Niemcy w tak krótkim czasie nagle zerwą więzi gospodarcze zarówno z Rosją, jak i z Chinami, dokonają wobec siebie sabotażu gospodarczego, szczególnie w obliczu odnowionego amerykańskiego protekcjonizmu. Jak daleko Niemcy są w stanie się posunąć, kierując się wartościami i obawami geopolitycznymi, dopiero się okaże, ale w sferze stosunków amerykańsko-niemieckich piętrzą się wyzwania.

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla

LIST

Polacy – nacja ofiar

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł Piotra Kimli „Polacy – nacja ofiar" (PRZEGLĄD nr 9/2023), w którym m.in. poddaje on analizie przyczyny wybuchu II wojny światowej. Z niektórymi jego tezami trudno jednak się zgodzić.

Autor pisze m.in., że ze strony polskiej „nie podjęto poważnych, kompromisowych inicjatyw zmierzających do uniknięcia bądź oddalenia w czasie starcia polsko-niemieckiego. (…) W polskiej racji stanu leżało uczynienie wszystkiego, co w ludzkiej mocy, aby ten scenariusz (starcia Niemiec z Rosją – FP) powtórzył się 20 lat później. Przyjęcie zaś przez nas jako pierwszych wojny z Niemcami to nic innego jak przekreślenie powyższej strategii. Zniweczenie rozwoju wypadków, który być może pozwalałby Polakom wyjść z II wojny światowej bez wielomilionowych ofiar w ludziach i bez niepowetowanych strat materialnych. Wina za przekreślenie tej strategii nie obciąża Hitlera ani Stalina. Wina za to obciąża nas, ściślej ludzi rządzących II Rzecząpospolitą".

Kompromisowe inicjatywy miały polegać m.in. na wyrażeniu przez polski rząd zgody na budowę w poprzek polskiego Pomorza eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej, łączących Niemcy z Prusami, oraz na aneksję przez Niemcy Wolnego Miasta Gdańska. W prawdziwość niemieckich żądań wierzyła część opinii publicznej na Zachodzie. W publicystyce francuskiej dało się słyszeć głosy: „Nie będziemy umierać za Gdańsk". Jednak dla trzeźwo myślących polityków zarówno w Polsce, jak i na Zachodzie było oczywiste, zwłaszcza po aneksji Czech i Moraw, że Hitler na tym nie poprzestanie. Nawet Hitler nie uważał, że sprawy te mogą być poważnie potraktowane jako casus belli. Dlatego Niemcy przeprowadzili w przeddzień wojny ataki, rzekomo polskie, na niemieckie posterunki graniczne i inne placówki, m.in. radiostację w Gliwicach.

1 września 1939 r. Hitler w porannym przemówieniu w Reichstagu oświadczył: „Dziś w nocy Polska po raz pierwszy na naszym terytorium kazała strzelać do nas swym regularnym żołnierzom. Od godz. 4.45 odpowiada się im strzałami, a od tej chwili na bombę odpowie się bombą".

Warto zwrócić uwagę, że Hitler, nie chcąc sobie wiązać rąk, nie przedstawił żadnych celów napaści na Polskę. Napaść na nią miała być aktem samoobrony przed polskim agresorem, co miało dać aliantom Polski pretekst do niewywiązania się z ich zobowiązań sojuszniczych.

O tym, że agresja na Polskę była nieodwołalną decyzją Hitlera i żadne działania polskiego rządu nie mogły jej zmienić, świadczą jego wypowiedzi w gronie zaufanych ludzi. Na jednym z tajnych posiedzeń Hitler powiedział: „Przyczyną tej agresji nie jest bynajmniej spór, który powstał między Niemcami a Polską odnośnie do Gdańska, lecz konieczność powiększenia przestrzeni życiowej Niemiec, zapewnienia im dostatecznego wyżywienia" (T. Kułakowski, „Gdyby Hitler zwyciężył…", Warszawa 1960, s. 20-21).

W jaki sposób Polska miała się stać niemiecką przestrzenią życiową, Hitler zdefiniował 22 sierpnia 1939 r. w Obersalzbergu w przemówieniu do generałów Wehrmachtu: „Przygotowałem na razie tylko na wschodzie moje oddziały Totenkopf, rozkazując im zabijać bez miłosierdzia i bez litości mężczyzn, kobiety i dzieci polskiego pochodzenia i polskiej mowy. Tylko w ten sposób zdobędziemy przestrzeń życiową, której potrzebujemy (…). Polska zostanie wyludniona i zasiedlona Niemcami. Mój pakt z Polską pomyślany był tylko jako pozyskanie czasu" (ibid., s. 22-23).

Polska nie miała żadnego wyboru. Zgodnie z testamentem Piłsudskiego starała się utrzymać poprawne stosunki zarówno z Niemcami, jak i z Rosją, podpisała z nimi pakty o nieagresji. Zapewniła sobie sojusz z Francją i Anglią, wzmacniała w granicach możliwości swój potencjał obronny, ale nie była w stanie zmienić planów Hitlera, szaleńca, megalomana, który w swojej głupocie parł do światowej katastrofy.

Franciszek Piper

eprasa.pl 02bf30e678

Olga Wiechnik

Platerówki w drodze na front. Ukraina,1944 r.

Platerówki

Na ćwiczeniach wypadają bardzo dobrze. Ich dowódcy wydają się tym zdziwieni. Szczególnie dobre wyniki osiągają w strzelaniu.

Orzeł czy kura

Wieść o powstaniu Związku Patriotów Polskich niesie się do Maryńska, miasteczka z ulicami z drewna. Docierają tam również worki mąki, kaszy i cukru. Augustynowie dostają też torbę starych ubrań. Gienia idzie z nimi na bazar, wymienia na ziemniaki. Wieść dociera do kołchozu, gdzie w ziemiance mieszka Ada, je do syta arbuzy i melony i próbuje przywyknąć. Na początku maja „kołchozowy dziadek", jak Ada nazywa jednego ze starszych pracowników, Rosjanina, przynosi jej gazetę. Ada patrzy na pierwszą stronę i widzi polskie słowa, widzi orła, choć bez korony.

– To jest polskie godło! – woła podekscytowana.

– To jest kura – odpowiada zdziwiony dziadek. Ada tłumaczy, że to żadna *kurica*, że *eto biełyj orioł*. I zaczyna czytać: „Pod sztandarem biało-czerwonym, pod znakiem Orła Białego, w polskim mundurze, pod polską komendą, z polską pieśnią żołnierską na ustach pójdzie walczyć o Polskę wolną i niepodległą Polak, mieszkający w ZSRR". 80 lat później Ada powie o Wasilewskiej: „Ja dzięki niej żyję. Nie obchodzi mnie, czy spała ze Stalinem, czy nie spała, czy była taka czy owaka. Ja dzięki niej wróciłam do domu".

•

Żeby dostać się do Sielc, 175 km na południowy wschód od Moskwy, znowu jadą tygodniami. Te, które dostały wezwania i przeszły przez komisję lekarską, mają łatwiej – dostają bilet i prowiant na drogę. Te, które do Sielc ruszają, nie czekając na wezwanie, muszą sobie radzić same. Wszystkie wysiadają wreszcie na malutkiej stacji Diwowo. Za dworzec służy stary drewniany wagon, na którym przybito tabliczkę z napisem po polsku i rosyjsku: „Do Sielce 12 kilometrów". W maju na dalekiej północy trwa jeszcze zima, niektóre z nich przyjeżdżają w grubych walonkach, więc tych 12 km przejdą już boso. Jeszcze tylko przeprawa promem – potem wiele z nich będzie mówić, że Oka przypominała im Wisłę, ale przecież większość z nich Wisły nigdy nie widziała, to Oka jest teraz ich Wisłą. Jeszcze tylko krótki spacer w stronę sosnowego lasu. Na bramie obozu 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki widzą napis: „Witaj żołnierzu, wczorajszy tułaczu". Dotarły. Przed nimi jeszcze ostatnia przeszkoda – trzyosobowa komisja. Niezdolnych do służby wojskowej odsyła się do domu. Tylko że domu nikt z odsyłanych nie ma. Wszyscy więc zdrowi jak rydze, nikogo nic nie boli. Szum w sercu? To sosny! Ropiejące wrzody na całym ciele? Zagoją się! Że wychudzeni jak szkielety, ledwo nogami powłóczą? To zmęczenie po długiej podróży, wyśpią się, najedzą i będą jak nowi!

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 02bf30e678

Chętnych jest za dużo, komisja się nie wyrabia – jej skład trzeba zwiększyć, wydłużyć czas pracy do 16 godzin na dobę. Wśród ochotników wielu jest starszych, niż przewidują instrukcje – wiek poborowych trzeba podnieść, decyduje komisja. Ale co z kobietami?

Pierwsze zarządzenie o poborze do tworzonego na terenie ZSRR polskiego wojska, wydane w kwietniu 1943 r., przewidywało powołanie 500 kobiet. Nie przewidywało tworzenia osobnego kobiecego oddziału liniowego. Kobiety zdolne do służby wojskowej miały – jak u Andersa i w każdej innej armii w tej wojnie – zasilić służby pomocnicze albo dołączyć do męskich jednostek.

Ale zapotrzebowanie dawno pokryte, a do Sielc wciąż przyjeżdżają nowe dziewczyny.

•

Zygmunt Berling zapamięta to tak: „Nie widzieliśmy innej możliwości, jak odesłać te wszystkie dziewczęta do domów. Kiedy ogłoszono im decyzję, oświadczyły gremialnie, że nie wyjadą z obozu. Wybuchł bunt. Nie do pomyślenia była ewentualność użycia środków przymusu, byłem całkowicie bezradny. Dziewczęta płakały i nie ustępowały". Obiecuje im pracę w fabrykach szyjących mundury dla wojska – nie wierzą. Przekonuje, że wojsko to nie miejsce dla kobiet, że mają szczęście, że już dla nich w nim miejsca zabrakło – nie słuchają. Mówią o tajdze, o łagrach, o kołchozach, że tam dały radę i tu też dadzą.

3 czerwca zapada decyzja dowództwa o utworzeniu nowej, pozaetatowej jednostki, której wielkość zaplanowano na 690 osób. Samodzielny Batalion Kobiecy im. Emilii Plater „zaczyna swoje życie w pewnym chaosie".

Nasz mundurek jest zielony, tylko trochę źle skrojony

Hanka przed komisją w Sielcach staje w łowickich łapciach, granatowej spódnicy (w której jesienią cztery lata wcześniej miała jechać do gimnazjum w Białymstoku, ale do Białegostoku przyjechały niemieckie czołgi), amerykańskiej bluzie z darów i z warkoczem do pasa. Wszystko ląduje w piecu, łącznie z warkoczem. Hanka dostaje gimnastiorkę – wciąganą przez głowę drelichową bluzę do ćwiczeń, kilka numerów za dużą. Dostaje męskie spodnie, pas, beret, dwie pary onuc i bieliznę, też męską. Butów nie dostaje, bo się skończyły.

Owinięta bluzą jak sukienką, z dyndającymi trokami od kalesonów, boso – zaczyna szkolenie od przebierania zgniłych ziemniaków. Po kilku dniach dostaje buty po zmarłym koledze. Nie przeszkadza jej to – do momentu, gdy okazuje się, że podczas pogrzebu ma w tych butach nieść krzyż przed jego trumną.

W dywizji nie tylko obowiązuje polski ceremoniał wojskowy, polska flaga, godło, polski mundur i hymn. W dywizji jest też polski ksiądz. Kapelan Wilhelm Franciszek Kubsz, zanim przystąpił do służby, musiał skompletować narzędzia pracy: hostię i wino mszalne dostał od amerykańskiego księdza przebywającego w Moskwie, ornat wypożyczył z moskiewskiego muzeum, a sutannę uszył mu krawiec teatralny. Bo w Sielcach nad Oką jest też scena. Pierwszą aktorką Teatrzyku z Tęczą jest Ryszarda Hanin, żona Leona Pasternaka, oficera w tym samym wojsku, która aktorstwa uczyła się w Paryżu. Do Sielc przyjechała z Saratowa, gdzie jako spikerka pracowała w rozgłośni radiowej Związku Patriotów Polskich. Urodzona we Lwowie jako Szarlota Hahn, oprócz aktorstwa studiowała też literaturę francuską na Sorbonie, dopóki w sierpniu 1939 r. nie pojechała do domu na wakacje i do Paryża już nie miała jak wrócić. W batalionie kobiecym jest jedną z pierwszych ochotniczek. Po wojnie przejdzie do historii polskiego kina i teatru. Na razie tańczy oberka i kujawiaka dla rekrutów w Sielcach, recytuje dla nich Mickiewicza i Słowackiego. Już niedługo tuż za linią frontu będzie występować z aktorami teatru dywizyjnego na plandekach ciężarówek i w szpitalach dla najciężej rannych ubrana w kostium z gazy. Razem z innymi aktorami wojskowego teatru będzie wynosić z lubelskiego zamku trupy ponad 300 Polaków i Żydów zamordowanych w ostatniej chwili przez wycofujących się z miasta gestapowców. Ale to później, na razie jeszcze przerabia przedwojenne felietony Stefana Wiecha na dialogi, biega przez sielecki las do pułku zapasowego wypraszać koce do uszycia kostiumów i deski do rozbudowy sceny. Ważną instytucją, w przeciwieństwie do kapelana i teatru, nieznaną wcześniej w polskim wojsku, jest oficer kulturalno-oświatowy, później nazywany polityczno-wychowawczym. Jego zadaniem – oprócz bycia zastępcą dowódcy każdej jednostki – jest „przełamanie złych nastrojów i uprzedzeń" wobec Związku Radzieckiego.

•

Wanda Wasilewska widziała to tak: „Najważniejszymi zadaniami oficerów służby kulturalno-oświatowej są: Wychowanie kadr dywizji polskiej w duchu nieprzejednanej nienawiści do najeźdźców niemieckich i konieczności dla Polaków walki zbrojnej z okupantami niemieckimi ramię w ramię z Armią Czerwoną o przywrócenie niepodległości państwa polskiego;

Wychowanie oficerów, podoficerów i szeregowych dywizji polskiej w duchu najpiękniejszych tradycji historycznych walki narodu polskiego z najeźdźcą niemieckim, w duchu wierności narodowi polskiemu;

Jasne uświadomienie każdemu szeregowcowi i oficerowi, że tylko w sojuszu z ZSRR można dopiąć rozgromienia najeźdźców niemieckich i wyzwolenia Polski;

Zaszczepienie uczuć przyjaznych w stosunku do narodu rosyjskiego i innych miłujących wolność narodów.

Oficerowie służby kulturalno-oświatowej zachowaniem swym dają przykład bezgranicznej odwagi i męstwa w boju, cierpliwości, hartu

Pierwsze zarządzenie o poborze do tworzonego na terenie ZSRR polskiego wojska, wydane w kwietniu 1943 r., przewidywało powołanie 500 kobiet.

eprasa.pl 02bf30e678

i zdolności do wyrzeczeń". Ten ostatni obowiązek wezmą sobie kaowcy do serca – z całej kadry to właśnie oficerowie polityczni ginąć będą najczęściej.

Zygmunt Berling widział to tak: „Stanęliśmy przed koniecznością przekonania masy żołnierskiej o wielkości idei, o słuszności naszej drogi, które wynikały z naszych polskich patriotycznych pobudek". Swoich żołnierzy przekonuje, nosząc na piersi medal Virtuti Militari, który dostał od Piłsudskiego za obronę Lwowa przed Armią Czerwoną w 1920 r. Teraz roztacza wizję przyszłej Polski, w którą sam wierzy: mówi swoim żołnierzom o równym starcie dla wszystkich, bez względu na różnice narodowościowe, religijne i społeczne, mówi o ziemi dla chłopów, o opiece państwa nad obywatelami na starość i w chorobie, o tym, że nie będzie już dzieci, które nie znają smaku cukru i nie chodzą do szkoły.

Adela Osterkiewicz, szeregowa z kompanii strzeleckiej, widziała to tak: „Nam wpajano, jak to będzie w Polsce, jak dojdziemy, jaka ta Polska będzie dobra dla nas, a my dla niej. Takie tam polityczne gadanie".

Irena Sztachelska, zastępczyni dowódcy batalionu kobiecego, widziała to tak: „Nasza praca polityczna i oświatowa polegała głównie na uświadamianiu dziewczętom, że wojsko Berlinga to najkrótsza droga do Polski, i że Polska, do której wrócimy, będzie Polską demokratyczną, zreformowaną i sprawiedliwą. Aby to urzeczywistnić, konieczny jest sojusz ze Związkiem Radzieckim i wspólna walka z Niemcami".

Autorzy współczesnej monografii armii Berlinga widzą to tak: „Nie należy wyolbrzymiać skutków indoktrynacji politycznej w szeregach Wojska Polskiego. Nie było ono przeniknięte ani ideologią komunistyczną, ani poddańczym stosunkiem do Armii Czerwonej i Związku Radzieckiego".

•

Na oficerów polityczno-wychowawczych wybierano żołnierzy niekoniecznie przeszkolonych wojskowo, szkolić można na bieżąco. Niekoniecznie o komunistycznych przekonaniach, te z czasem przyjdą, albo i nie, ważniejsze, żeby nie byli jawnie wrogo do przyjacielskiego Związku Radzieckiego nastawieni. Koniecznie – urodzonych i wychowanych w Polsce. Koniecznie – z jakimkolwiek wykształceniem, choćby klasą gimnazjum, a najlepiej dwiema. Do zadań oficerów polityczno-wychowawczych należy nie tylko przekonywanie o konieczności polsko-radzieckiej przyjaźni. Należy też, a może przede wszystkim, dbanie o codzienność żołnierza. W batalionie kobiecym oświatówki dbały o to, żeby wreszcie przyszła dostawa damskiej bielizny, żeby nie wróciły wszy, nie odnawiał się świerzb. Zdobywały mydło, zgłaszały przypadki kradzieży pończoch i cukru. Wysłuchiwały żalów i wypytywały o losy rodzin pozostawionych na Syberii, dla których próbowały zorganizować pomoc. Ze swojej działalności pisały raporty.

20 czerwca 1943
Stan liczebny batalionu: 18.
Zadania: przystąpienie drużyny do prania.
Nastroje: Chęć uczenia się, chęć jak najszybszego udziału w walce.
Element przybywający: koleżeński, silnie rozwinięty społecznie.

3 lipca 1943
Stan liczebny: 135.
Nastroje: bardzo silne poczucie krzywdy doznanej od władzy radzieckiej, w konsekwencji niedowierzanie i nieufność wobec ZSRR. Ogólne doznanie: tu będzie lepiej niż tam. Fakt dobrego wyżywienia wpłynął na polepszenie nastrojów. Pierwszego dnia po przyjeździe śpiewały pieśni religijne. Sądziły, że zakaże się śpiewać. W przywitaniu nowoprzybyłych podkreślaliśmy, że mogą się modlić, mieć modlitewniki […]. Następnego dnia już nie śpiewano pieśni religijnych. Otrzymanie polskich mundurów wywołało silne wrażenie.

•

Polskie mundury rozdano w połowie czerwca. Miesiąc później odbywa się uroczysta przysięga wojskowa. Niedziela 15 lipca, rocznica bitwy pod Grunwaldem, zaczyna się nabożeństwem. Po mszy rekruci maszerują przed sztab dywizji, tam już czeka zbudowana przez saperów trybuna, nad trybuną powiewają flagi: polska, radziecka, brytyjska i amerykańska. Z trybuny przemawia Wanda Wasilewska:

– Do niedawna byliście jeszcze gromadą bezdomnych, dziś jesteście już wojskiem gotowym do walki. Patrzymy na te sosny i wodę, a myśli moje razem z waszymi biegną ku zielonym lasom i rzekom hen, w naszym kraju. Kraj jęczy pod jarzmem i czeka wyzwolenia. Śpiewacie w „Rocie", że gdy zagrzmi złoty róg, pójdziecie do boju. Złoty róg już zagrzmiał. Wszyscy słyszymy jego zew!

Wśród gości siedzi Alexander Werth, korespondent BBC. Patrzy na polskie symbole narodowe, którymi obwieszony jest cały obóz, i myśli sobie, jak dziwnie jest tu, w sercu Rosji widzieć polskie wojsko. Ostatnio Polacy pod Moskwę dotarli w 1612 r. pod wodzą hetmana Chodkiewicza. Tylko wtedy mundury mieli znacznie barwniejsze, jeśli wierzyć kostiumografom Teatru Bolszoj, myśli Werth.

Żołnierki, dzień wcześniej nasprzątawszy się obozu, napolerowawszy guzików i naczyściwszy mundurów, stoją teraz z radzieckimi pistoletami maszynowymi PPSz-41 przewieszonymi przez pierś. „Składam uroczystą przysięgę ziemi polskiej, broczącej we krwi… Przysięgam narodowi polskiemu rzetelnie pełnić obowiązki żołnierza w obozie, w pochodzie, w boju… Przysięgam dochować wierności sojuszniczej Związkowi Radzieckiemu, który mi dał do ręki broń… Przysięgam, że do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchu nienawidzić będę wroga – Niemca… Tak mi dopomóż Bóg!".

– Zaraz, zaraz, ale jak to „nienawidzić" i „dopomóż Bóg"? – denerwują się kilka dni wcześniej dziewczyny, czytając tekst przysięgi po raz pierwszy podczas zajęć kulturalno-oświatowych. – No jak to, Związkowi Radzieckiemu przysięgać? Po tym, co nam zrobił?! – protestują.

A zastępczyni dowódcy batalionu do spraw oświatowych cierpliwie tłumaczy: wojsko albo Syberia, dziewczynki.

Tematy kolejnych, po omówieniu treści przysięgi, pogadanek, brzmią: „Niemcy – odwieczny wróg narodu polskiego", „Opieka socjalna w przyszłej Polsce", „Prohitlerowska polityka

eprasa.pl 02bf30e678

Becka", „Henryk Dąbrowski, Tadeusz Kościuszko, Józef Bem – patroni dywizji", „Tęsknota za krajem w utworach Mickiewicza" (połączona z deklamacją), „Zbliża się ostateczna klęska hitleryzmu".

Nasz porucznik jest morowy, tylko trochę za surowy

– Im więcej potu na ćwiczeniach, tym mniej krwi w walce – słyszą nieustannie. I nieustannie czołgają się, padają, okopują, wstają, biegną, pokonują przeszkody. Szkolenie bojowe w batalionie kobiecym odbywa się według tego samego programu, co w jednostkach męskich. Innego programu po prostu nie ma – przecież tych kobiet miało tu nie być. Nowego programu nikt nie będzie dla nich przygotowywał. A szkolenie bojowe, „aby było efektywne, musi być prawdopodobne, a więc realizowane na granicy ryzyka, w warunkach maksymalnie zbliżonych do rzeczywistego pola walki, z pełną akustyczno-wizualną pozoracją".

W sierpniu odbywają się pierwsze wspólne ćwiczenia całej dywizji, w których biorą udział dziewczyny z batalionu. Ruszają w nocy, pokonują pieszo w szybkim tempie 46 km. Ada zostaje przydzielona do desantu czołgowego. Przez jakiś czas biegnie razem z czołgiem, który ruszył do ataku, ale gdy ten przyspiesza, Ada zostaje w tyle, nie udaje jej się utrzymać tempa. Siada na polanie i zaczyna płakać. Po całym dniu manewrów czeka ją jeszcze powrót do obozu – kolejna noc w marszu.

Platerówki na ćwiczeniach wypadają bardzo dobrze. Ich dowódcy wydają się tym zdziwieni. Szczególnie dobre wyniki osiągają w strzelaniu. Po manewrach zapada decyzja o wysłaniu na front kompanii fizylierek, czyli uzbrojonych w karabiny piechurek wspierających wojska pancerne. Razem z 1. Dywizją Piechoty im. Tadeusza Kościuszki Sielce opuszcza 98 dziewczyn z pepeszami. Jest wśród nich Halina Mańkowska, która strzela najlepiej z całego batalionu. Pistolet maszynowy opracowany trzy lata wcześniej przez Gieorgija Szpagina jest udany, lekki i tani w produkcji. Gorzej, że celnie strzelać można z niego na odległość najwyżej 100 m.

Wymarsz na front zaplanowano na 1 września. Berling ma obawy co do gotowości swoich żołnierzy, do zakończenia szkolenia zabrakło 15 dni, nie wszystko zdążyli przećwiczyć. Ale Stalin lubi grać nie tylko efektywnie, ale i efektownie. Nieważne, na jakim etapie jest szkolenie, ważne, że Polacy wyruszą do boju w rocznicę ataku Hitlera na Polskę.

„Większość od pierwszej chwili przyjęła wiadomość z entuzjazmem. Jednak część była zaskoczona, słyszało się głosy: »Jedziemy nieprzygotowane, nas tam wybiją«. Przebijał strach przed frontem, przed wojną. W miarę zbliżania się terminu wyjazdu nastroje negatywne ustępowały ożywieniu. 27 sierpnia [podczas próbnego załadunku na stacji w Diwowie] nastrój był nadzwyczajny. Dziś nikt nie boi się wyjazdu na front", raportuje zarządowi polityczno-wychowawczemu zastępczyni dowódcy batalionu.

•

Zanim wyruszy, gen. Berling musi jeszcze przekazać swoje obowiązki. Ktoś musi przecież zarządzać sieleckim obozem, gdzie wciąż nowi rekruci formują się w kilkuosobowe drużyny, drużyny w plutony, plutony w kompanie, kompanie w bataliony, bataliony w pułki, pułki w dywizje, a dywizje w 1. Korpus Polskich Sił Zbrojnych. Na gospodarstwie zostać ma gen. Karol Świerczewski. Berling go nie zna, ale wiele o nim słyszał. Urodzony na warszawskiej Woli jako jedno z siedmiorga dzieci Antoniny, robotnicy w fabryce platerów, zdążył skończyć dwie klasy szkoły powszechnej, zanim naukę czytania porzucić musiał na rzecz nauki tokarstwa, żeby towarzyszyć ojcu w pracy. Po wybuchu I wojny trafił do Rosji, a w Rosji do Armii Czerwonej. Podczas wojny polsko-bolszewickiej walczył w jej szeregach przeciwko polskiemu wojsku. Światową sławę przyniosła mu jednak Hiszpania – jako „generał Walter" walczył przeciwko generałowi Franco, stając się pierwowzorem jednej z postaci stworzonej przez jego znajomego z tych czasów, Ernesta Hemingwaya.

Do Sielc przyjeżdża zawiany. Berlinga to nie dziwi, pewnie w Moskwie pożegnano go serdecznie kilkoma toastami, myśli. Nie wie, że za Świerczewskim w Moskwie nikt nie będzie tęsknił. Sławny generał od dwóch lat szkoli rezerwę – odkąd z dowodzonej przez niego w bitwie nad Wiaźmą w listopadzie 1941 r. dziesięciotysięcznej dywizji przy życiu zostało pięciu żołnierzy, jego alkoholizm trudno było dłużej ignorować. Berling jest nieco rozczarowany stojącym przed nim „starszym panem z zadyszką, o wybitnie krótkiej szyi". Powodów do rozczarowania będzie miał znacznie więcej. 46-letni „starszy pan" pracę zaczyna od napełnienia szklanek wódką.

– Na zdrowie – mówi do Berlinga i przechyla głowę w tył. Zawartość szklanki wlewa do ust, nie przełykając, jakby przelewał ją do innego naczynia. Słychać cichy bulgot.

„Takiej sztuki jeszcze nie widziałem. Czułem się zażenowany. I, prawdę powiedziawszy, nie byłem pewny czym. Czy tym, że nie miałem takiej wprawy jak on, czy tym, że on miał taką wprawę, jakiej nie miałem ja", wspomni Berling po latach. (…)

Przez pierwszych 10 dni – do wymarszu Berlinga na front – gen. Świerczewskiego ani razu nie widziano w obozie trzeźwego. Ale cóż Berling może zrobić, nie zakaże przecież generałowi picia wódki na służbie. „W wojsku, jako jednej z najbardziej konserwatywnych instytucji na świecie, trudne i nowe idee wdrażają się opornie", podsumowuje swoje rozmyślania.

Szkolenie bojowe w batalionie kobiecym odbywa się według tego samego programu, co w jednostkach męskich.

Fragmenty książki Olgi Wiechnik *Platerówki? Boże broń! Kobiety, wojna i powojnie*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2023

eprasa.pl 02bf30e678

ANNA CIEŚLAK I PAWEŁ KRUCZ
– odtwórcy ról Ali i Artura w „Tangu" Sławomira Mrożka w reżyserii Wawrzyńca Kostrzewskiego (Teatr Polski w Warszawie)

Mrożek boli

Dzisiaj potrzeba dużo mniej słów, aby emocjonalnie rozhuśtać młodego widza

Rozmawia Tomasz Miłkowski

Jak młodzi widzowie odbierają dzisiaj „Tango"?

Paweł Krucz: – Przez te dwie godziny, kiedy gramy „Tango", nie zauważyłem, żeby były używane telefony komórkowe. Na widowni jest ciemno. Nie wiem, czy uczniowie muszą przed wejściem na salę odłożyć komórki do pojemnika, ale wątpię. A poza tym czuję, że panuje prawdziwa cisza. Taka zdrowa cisza, słuchająca. To by świadczyło, że młody widz chce to oglądać.

Anna Cieślak: – Uczestniczy, jest aktywny. Reżyser powiedział, że chciałby, aby „Tango" miało charakter farsy, a więc znalazło się blisko teatrów komediowych, w których także grywam. Przed premierami w tych teatrach gramy tzw. previewsy, czyli spektakle, które dają wiedzę o reakcji widza i dodają odwagi aktorom. W Teatrze Polskim nie ma takiego zwyczaju, ale i tak widać, że młody widz łapie wszystko, o czym mówiliśmy na próbach.

Młodzi widzowie nie lękają się Mrożka, odwrotnie niż wielu młodych reżyserów?

PK: – Bo panuje przeświadczenie, że Mrożka trzeba grać według didaskaliów samego autora. Trzeba grać tak, jak to napisał, bo nie pozwala rozbuchać się wyobraźni.

AC: – Nie zostawia za wiele wolności. Paweł ma więcej doświadczenia z tekstami Mrożka, bo to jego drugi Mrożek w Polskim.

PK: – Gramy od paru lat trzy jednoaktówki na małej scenie…

…która nosi imię Sławomira Mrożka.

PK: – Właśnie, spektakl reżyserował Szymon Kuśmider, a ja biorę udział w „Na pełnym morzu".

Jest pan ludożercą?

PK: – Nie, gram Małego i prawdopodobnie to moją postać zjedzą. Chociaż, kto to wie, u Mrożka niczego nie można być pewnym. Szymon bardzo chciał się pobawić Mrożkiem i nawet go jeszcze bardziej groteskowo podkręcić, niż sam autor zaproponował w didaskaliach. Przypuszczam, że reżyser wtedy boi się Mrożka, kiedy czuje, że Mrożek jest od niego silniejszy i że powinien

FOT. KAROLINA JÓŹWIAK (2)

eprasa.pl 02bf30e678

bezwzględnie się go słuchać. Po premierze naszych jednoaktówek wdowa po Mrożku, Susana Osorio, powiedziała nam, że tak powinno się go grać: zabawowo. I nie bać się tego, co Mrożek przelał na papier, nie czuć się nadmiernie skrępowanym. Ja na szczęście nie jestem w roli reżysera i nie muszę się konfrontować z autorem.

Skoro tak, to jak wam się mówi Mrożkiem? Teatr dzisiaj woli mówić językiem filmowym.

AC: – Dla mnie klucz i fenomen spotkania z Mrożkiem polegał na tym, że to jest tu i teraz. W „Tangu" spotyka się banda egotyków, a każdy broni swojej sprawy, zapominając, czego pragnęłaby czy potrzebowała druga osoba. Dla każdego moje jest „mojsze". To są adwokaci swojego ego.

Ale czy język nie stwarza pewnych barier w przekazie tych postaw?

PK: – Spędziliśmy sporo czasu na próbach stolikowych. Na samym początku reżyser przyszedł z tekstem skróconym o jedną trzecią. A mimo to przez pierwsze dwa tygodnie naszym zadaniem było skrócić ten tekst, żeby uniknąć zbyt „przewlekłego" dochodzenia do sedna. Z oryginału chcieliśmy wyłuskać sedno, żeby przekaz zawarty w tekście był jasny i pozbawiony nadmiaru ozdobników. Nie wiem, czy to jest gwałt na autorze. Ktoś może uważać, że Mrożka nie powinno się skracać za żadne skarby, ale Mrożek pisał w innych czasach, a my mamy prawo do swoich czasów. Przy pierwszym czytaniu mieliśmy poczucie, że granie całego tekstu „Tanga" jest dzisiaj bardzo trudne. A jeszcze trudniejsze byłoby dla widza. Przy obecnym tempie życia, internecie, który zmienił postrzeganie świata, za dużo słów stanowi przeszkodę.

To problem całej klasyki: za dużo liter.

PK: – Naszymi widzami w dużej mierze są uczniowie, którzy czytają tekst w całości, a na scenie mają do czynienia z adaptacją. A to niezły punkt wyjścia do rozmowy.

AC: – 20 lat temu młodzi ludzie byli mniej poszarpani, powichrowani. Dzisiaj potrzeba dużo mniej słów, aby rozhuśtać emocjonalnie młodego widza. Dawniej wychodziło się ze spokojniejszych domów, bardziej stabilnych. Teraz ludzie są rozdwojeni, przewrażliwieni. Wielu z nich jeden tydzień spędza u mamy, a drugi u taty i to w dużym stopniu określa ich kondycję psychiczną.

Rozpad rodziny jest jednym z głównych tematów „Tanga". Ten proces trwa, coraz więcej jest rodzin szczątkowych, nawet jeśli pozornie „całych", to skupiających ludzi sobie obcych.

AC: – To też chcieliśmy pokazać. Także wewnętrzny rozpad tożsamości. Młodzi ludzie cierpią na deficyt tożsamości, nie wiedzą, kim są i czego chcą. To problem wielu dorastających osób i rzecz charakterystyczna dla okresu dojrzewania, ale ten proces rozchwiania nasila się.

A czy w „Tangu" młodzi, Ala i Artur, mieli jakąś szansę?

PK: – Cała inteligencja Artura, wszystkie jego potrzeby, to, do czego dąży, jak bardzo chce się buntować, napędzane są przez jego emocjonalność. Przez to, jak został potraktowany przez rodziców. Kiedy wchodzimy w świat Mrożka, wiemy, że nie będzie happy endu, że będziemy mieli do czynienia z postaciami, które zabrnęły albo za daleko, albo w ślepy zaułek. I będziemy oglądać ich upadek. Mrożek nie pisał instrukcji obsługi, jak się stać lepszym człowiekiem, tylko pokazywał, jakim złym człowiekiem nie być. Możemy się dowiedzieć, co warto ominąć, choć przed emocjami Artur nie mógł się ochronić. Nie wiem, czy to by się mu udało. Nie jest to pytanie, na które da się jednoznacznie odpowiedzieć. Miał szlachetne zamiary, chciał stworzyć lepszy świat. Szukał swojego celu. Ale czy można to zrobić, wywracając świat do góry nogami? Jako aktor mam obowiązek tej roli bronić, bronić tego, co Artur myśli o świecie.

AC: – Znam różne wersje „Tanga". Szukałam odpowiedzi, jaka powinna być Ala, by dotrzeć do młodych dziewczyn. Chciałam, aby widząc ją, powiedziały sobie: nigdy nie chciałabym być taka. Pierwszy raz gram postać, której nie chcę bronić. Chcę pokazać jej brak kręgosłupa, brak tożsamości, ponieważ jest bardzo wiele takich młodych dziewczyn. To dla mnie smutne. Dlatego rysuję tę rolę jako przestrogę. Zwykle gram tak, aby bronić swojej postaci. Nie chcę Ali pokazać jako totalnie czarnej, ale jej nie wybielam. Chciałabym poruszyć taką strunę, która pozwoli rozejrzeć się wokół nie tylko z perspektywy własnego nosa. Na początku Ala jest dziewczyną, która nie wie, czego chce. Pod wpływem przebywania w tej jakże egotycznej rodzinie zauważa, jak wszyscy są pokiereszowani. Nikt tu nie zostaje wysłuchany, a każdy chce wykrzyczeć swoją

Dawniej wychodziło się ze spokojniejszych domów, bardziej stabilnych. Teraz ludzie są rozdwojeni, przewrażliwieni.

Kiedy wchodzimy w świat Mrożka, wiemy, że nie będzie happy endu.

Anna Cieślak – w 2004 r. ukończyła PWST w Krakowie, rok później została wyróżniona nagrodą za najlepszy debiut aktorski przez jury Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni za film „Masz na imię Justine". Debiutowała na scenie w 2005 r. w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. W zespole Teatru Polskiego w Warszawie od 2011 r.

Paweł Krucz – w 2010 r. ukończył Akademię Teatralną im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie. Na dużym ekranie grał m.in. w filmie „Requiem". Od 2010 r. jest aktorem Teatru Polskiego w Warszawie. Występuje również w spektaklach Teatru Telewizji i Teatrze Polskiego Radia.

eprasa.pl 02bf30e678

29 stycznia 2023 r., w 110. rocznicę otwarcia Teatru Polskiego w Warszawie, odbyła się premiera „Tanga" w reżyserii Wawrzyńca Smoczyńskiego.

potrzebę jestestwa. Ala przybyła tu z innego świata, nie wie dlaczego, ale chce z nimi trochę pobyć, choć w miarę upływu czasu coraz mniej chce się jej z nimi być.

Słyszeliście pewnie, że po premierze mówiło się w kuluarach o waszych postaciach, że Artur to Hołownia?

PK: – Pewnie chodziło o fizyczne podobieństwo. Trzeba będzie go zaprosić i zapytać, co o tym myśli. Czy nie jest to spowodowane tym, że Mrożek był komentatorem życia polityczno-społecznego? Cóż, gramy „Tango" 60 lat po prapremierze – ale skoro wtedy miało podtekst polityczny, to i dzisiaj zachowało taką siłę skojarzeń.

Żeby grać Mrożkiem, mówić Mrożkiem, być w Mrożku, trzeba odwagi. I pokory.

„Tango" maluje mechanizmy społeczno-polityczne, może to być mechanizm w rodzinie, ale i w znacznie szerszej wspólnocie. Co z tego, że zostaliście tak ładnie poubierani w drugiej części, skoro to już nie daje się skleić. Kontrrewolucja konserwatywna Artura okazuje się daremna. Ale czy aktorom ta przygoda coś daje?

AC: – Mnie Mrożek boli. Pokazuje najgorszy stan człowieka: bezradność. Bardzo bym chciała, żeby to zobaczyli młodzi widzowie. Chciałabym, żeby nie lubili mojej postaci, żeby im się chciało chcieć.

Mrożek nie pisał instrukcji obsługi, jak się stać lepszym człowiekiem, tylko pokazywał, jakim złym człowiekiem nie być.

PK: – Pierwszy raz jako aktor mam z postacią tak długą ścieżkę do przejścia. Ta przygoda odkryła przede mną nowe możliwości warsztatowo-techniczne. Nauczyła mnie, jak rozdzielać energię przez całą godzinę bycia na scenie. Jak nie zagubić się w natłoku zadań, które mam do wykonania, żeby to zostało przedstawione widzom klarownie i konsekwentnie. Jestem więc Mrożkowi wdzięczny za to, że umożliwił mi poszerzenie moich umiejętności.

AC: – Żeby grać Mrożkiem, mówić Mrożkiem, powiedziałabym nawet: być w Mrożku, trzeba odwagi. I pokory.

Wszyscy znamy powiedzenie „jak z Mrożka" jako synonim sytuacji zgoła niemożliwej, ale realnej. Bo właśnie Mrożkowi najcelniej udało się uchwycić „krzywą gębę" rzeczywistości.

AC: – Zacytuję więc coś jak z Mrożka. W pierwszym artykule po naszej premierze, jaki się ukazał, można było o mnie przeczytać te słowa: „Ma tak luźną sukienkę, że na pewno jest w ciąży". To jest 100% Mrożka w Mrożku.

Pytanie z innej beczki: czy wiecie, dlaczego na końcu „Tanga" nie wybrzmiewa „La cumparsita", a Edek i wuj Eugeniusz tańczą inne tango?

AC: – Pracował z nami kompozytor, Piotr Łabonarski, który odważył się skonfrontować z legendą i zaproponować nowe tango. A reżyser to przyjął.

„Tango" było już 100 razy na scenie w Polsce, wasze jest bodaj 101., ale pierwsze z nowym tangiem. Może tamtego tanga już nie da się tańczyć?

PK: – Nowe tango otwiera nową setkę.

Jak się tak zastanowić, to można by z dotychczasowych Al i Arturów utworzyć niezłą grupę.

AC: – To prawdziwa armia „Tanga". A między postaciami istnieje cała sieć niepewności. Bo żadna z postaci nie stawia kropek. Co postawi, to podważy. Tylko dla Edka wszystko jest proste. Przyjmuje świat, jaki jest.

PK: – Taka postawa ma zalety: święty spokój, bezproblemowość.

AC: – I zdrowsze życie. Kiedy grałam Jelizawietę w spektaklu Krzysztofa Jasińskiego, w pewnym momencie na pytanie, co się stało, moja bohaterka odpowiadała: „Spaliłam się w ogniu świecy". I to jest właśnie dylemat. Czy się spalać, czy żyć zdrowo i z dala od emocji? A przecież chciałoby się w życiu coś autentycznego przeżyć. Może bohaterowie Mrożka skrycie za tym tęsknią?

Tomasz Miłkowski

eprasa.pl 02bf30e678

Oko w oko

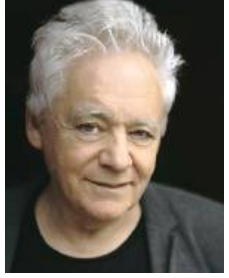

Tomasz Jastrun

Kloaczna scena z Duchem Świętym

To będzie już odgrzewany kotlet schabowy, ale piszę z obowiązku kronikarza. Pisowska ustawa broniąca Jana Pawła II to kuriozum. Większość sejmowa oburza się na filmowy reportaż wyświetlony w prywatnej stacji. Oto państwo wyznaniowe, w którym jakimś cudem jeszcze żyją wolne media. Ministerstwo Spraw Zagranicznych wzywa ambasadora USA Marka Brzezinskiego, bo w TVN24, gdzie wyemitowano film, ma udziały amerykańska firma Warner Bros. MSZ pisze: „Potencjalne skutki tych działań są tożsame z celami wojny hybrydowej". Co za brednie! I co mają władze amerykańskie do prywatnej firmy? To nie jest Orlen z giermkiem Kaczyńskiego Obajtkiem, któremu prezes może rozkazywać.

Jacek Leociak zrobił ciekawą analogię historyczną: „Czekam teraz na ustawę o ochronie imienia Jarosława Kaczyńskiego. Nie trzeba się legislacyjnie wysilać. Jest znakomity precedens – ustawa o ochronie imienia Józefa Piłsudskiego. Procedowana błyskawicznie (tornado legislacyjne to również nie jest wynalazek PiS) została podpisana przez prezydenta Mościckiego 7 kwietnia 1938 r. Oto dwa najważniejsze artykuły (z czterech): Art. 1 Pamięć czynu i zasługi JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO – Wskrzesiciela Niepodległości Ojczyzny i Wychowawcy Narodu – po wsze czasy należy do skarbnicy ducha narodowego i pozostaje pod szczególną ochroną prawa. Art. 2 Kto uwłacza Imieniu JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO, podlega karze więzienia do lat 5".

Nie docenialiśmy okropieństw Polski międzywojennej, znieczuleni przez PRL. Ale Piłsudski mimo strasznych wad, które ujawniły się pod koniec jego życia, był wielką postacią, a w roku 1938 już od trzech lat nie żył. Robiło się bez niego coraz mroczniej, a Hitler zapewne „uratował" nas przed polską formą faszyzmu. Wracając zaś do papieża, Jan Paweł II stał się czwartą osobą Trójcy Świętej. A jego obrona przez pisowców ujawnia ich wizję świata. Trwa wojna Polski z Zachodem, który jest zgniły i sieje moralny zamęt. Dokładnie tak samo mówi Putin.

Znakomicie to myślenie ujął premier Morawiecki: „Dziś wojna toczy się nie tylko za naszą wschodnią granicą. Niestety są środowiska, które próbują wywołać nie militarną, ale cywilizacyjną wojnę u nas, w Polsce. (…) Te ataki na papieża Polaka wpisują się w szerszy kontekst cywilizacyjny. Wychodzą bowiem ze środowisk, które w miejsce tradycji, kultury i normalności chcą zaaplikować nam rewolucję wywracającą do góry nogami dotychczasowe życie większości społeczeństwa (…). Staję dziś w obronie papieża, ponieważ jak zdecydowana większość Polaków wiem, że Janowi Pawłowi II zawdzięczamy jako naród bardzo, bardzo wiele. Być może zawdzięczamy wszystko".

No, z tym „wszystko" to premier grubo przesadził. W świętobliwym zgiełku nie usłyszałem ani jednej próby merytorycznej dyskusji z tym, co pokazał i powiedział film. Prawie nikt z PiS tego filmu nie oglądał, bo po co. Jan Paweł II to polska racja stanu, a z racją stanu się nie dyskutuje. I prawda nie ma tu nic do rzeczy, prawda nie ma żadnego znaczenia. Ale nie bądźmy naiwni. Oburzenie prezesa i jego ekipy jest autentyczne, ale nieszczerze. Prezes jest w euforii. PiS brakowało dramatycznie paliwa wyborczego, a teraz je ma. Sprawa papieża będzie jego filarem wyborczym. I może to być skuteczne. Dlatego uważam, że pokazanie tego materiału przez TVN przed wyborami było politycznym błędem.

Prezes jest w euforii. PiS brakowało dramatycznie paliwa wyborczego, a teraz je ma.

Jan Paweł II był dla milionów Polaków Bogiem zastępczym. Bardziej przystępnym niż ten w niebie. Nic dziwnego, że nie wierzą, że Karol Wojtyła miał wady, był dzieckiem swojego czasu, nie wyprzedził go, nie rozumiał złowrogiej strony pedofilii. Jego świętość jest zatem wątpliwa. Zresztą ten zwyczaj produkowania świętych przez Kościół wydaje się zupełnie barbarzyński. I te relikwie! Nie wolno jednak wylewać papieża z kąpielą. Był pewnie dobrym człowiekiem, miał niezwykłą charyzmę, na pewno duży format. Błądził jak wszyscy, tylko jemu jakby mniej było wolno. Adam Michnik broni papieża. Nie znam tekstu, ale wierzę, że robi to mądrze. Mam złe stosunki z Michnikiem, jak mnie widzi, ucieka, by nie podać mi ręki, raz podał, bo nie mógł uciec. Ale jak Michnik broni papieża, ja bronię Michnika. Ma prawo do własnego sądu, często głęboko pisał o Kościele. Przeraża mnie, jak wiele jest agresji po jego słowach ze strony ludzi z naszej liberalnej rodziny; odbierają wszelkie zasługi i rozum Michnikowi.

Wszyscy powariowaliśmy od tego PiS. Aż strach pomyśleć, co się będzie działo przed wyborami. To dopiero będzie spektakl. Z Duchem Świętym wiszącym nad kloaczną sceną.

■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 02bf30e678

NA EKRANACH

Filip

reż. Michał Kwieciński, prod. Polska, już w kinach

„Filip" to powieść Leopolda Tyrmanda, oparta na jego własnych przeżyciach. Autor nazywał ją najlepszą pozycją w swoim dorobku, pisarską spowiedzią, powieścią „prawie" autobiograficzną, w której udało mu się zsyntetyzować najważniejsze sprawy z życia. Tyrmand wyjechał z Warszawy w 1939 r. Najpierw zatrzymał się w Wilnie, ale po zajęciu miasta obrał przeciwny kierunek. Na sfałszowanym paszporcie, podając się za Francuza, zgłosił się na roboty w Niemczech. Pracował jako robotnik przymusowy. Był kelnerem w eleganckim hotelu. Igrał z ogniem, bo za żydowskie korzenie mógł zostać w każdej chwili powieszony. Filip to swoiste alter ego Tyrmanda – ten młody Żyd o czarującym uśmiechu postanawia udać się do samego centrum nazizmu, by tam prowadzić cichą dywersję. Jego sabotaż przybiera nietypową, cyniczną formę. Bohater rozkochuje w sobie Niemki, których mężowie są na froncie, sypia z nimi, by następnie je upodlić. Dawno nie było w polskim kinie historycznym bohatera tak niejednoznacznego i wewnętrznie skonfliktowanego, zarazem tak dalekiego od hagiograficzno-martyrologicznej apoteozy. Nie było też filmu o wojnie napisanego i zagranego z taką brawurą, z takim stylem, z tak wieloma odniesieniami do popkultury.

Mateusz Demski

NA POWAŻNIE

Telefon i duchy

W ciągu jednego wieczoru widz otrzymuje dwie doskonale skrojone teatralnie i muzycznie historie. Mamy więc sympatyczną satyrę na nasze zaczarowanie telefonami komórkowymi i ostrzeżenie przed wiarą w seanse parapsychiczne. Podziw budzą zarówno użyte środki wizualne, z dużym udziałem multimediów, jak i wokale oraz gra aktorska wykonawców. A co najważniejsze – opera jest śpiewana po polsku, choć oryginał jest angielski. *Bronisław Tumiłowicz*

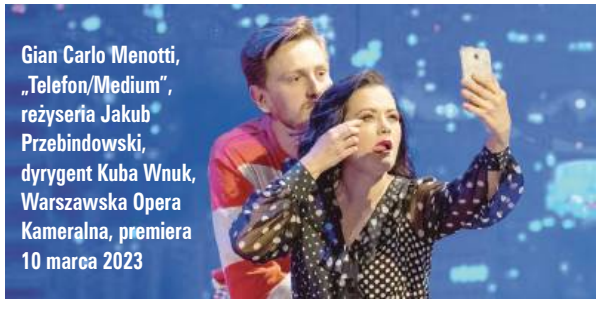

Gian Carlo Menotti, „Telefon/Medium", reżyseria Jakub Przebindowski, dyrygent Kuba Wnuk, Warszawska Opera Kameralna, premiera 10 marca 2023

KURTYNA W GÓRĘ

Przedwiośnie – diagnoza zastępcza

Świadomi, że to diagnozowanie rzeczywistości „zastępcze", bo nie ma ani powieści, ani dramatu, które całościowo opisywałyby przemianę, jaka nastąpiła w Polsce po roku 1989, autorzy tego widowiska sięgnęli po „Przedwiośnie" Stefana Żeromskiego, wciąż niedościgniony portret niepodległej Polski, wyłaniającej się po latach niewoli. Podjęli przy tym lekturę krytyczną tej powieści, osłaniając się kilkoma nawiasami. Po pierwsze, to czytanie przy współudziale aktywistek i aktywistów związanych z Teatrem Powszechnym i organizowanymi od lat debatami o przyszłości kultury. Po drugie, to nawias teatralny, koncepcja sceny-pustej przestrzeni Petera Brooka, po trzecie wreszcie, forma wideoperformansu tworzonego na żywo, na oczach publiczności, dekonspirującego zastosowane środki wizualizacji zdarzeń, pokazywanych na kilku ekranach.

„Przedwiośnie" według Stefana Żeromskiego, reżyseria Paweł Łysak, Teatr Powszechny im. Zygmunta Hübnera, premiera 24 lutego 2023

Mimo tak wielu osłon „Przedwiośniu" udało się jakoś w tym spektaklu odnaleźć, a nawet wprowadzić do widowiska ładunki dekonstrukcyjne, demaskujące mizoginizm i antysemityzm Żeromskiego. W zasadzie nie doszło do konfrontacji Baryki z dwiema koncepcjami rozwojowymi Polski – tą zakotwiczoną w konserwatyzmie Gajowca, i tą komunisty Lulka, polegającą na wysadzeniu kapitalizmu od środka. Zderzenie Baryki z Polską, do której przybywa ze zrewoltowanej i tonącej w przemocy Rosji, traci więc na ostrości. W tej sytuacji najmocniejszym doświadczeniem Cezarego Baryki (Michał Czachor) staje się sklerotyczna Nawłoć (w drugiej części), prowincjonalny dworek szlachecki, narysowany grubą kreską niemal jak w „Ferdydurke" Gombrowicza. To kipiące jadowitą drwiną sceny spektaklu (ze świetną piosenką o kawiarce, czyli kobiecie do parzenia kawy, zaczerpniętej z „Pana Tadeusza"). W pierwszej części uwodzi widzów oratoryjna pieśń o szklanych domach, śpiewana przez cały zespół (pod dyktando Arkadiusza Brykalskiego w roli Seweryna Baryki, ojca Cezarego).

Niedostatki opowieści zastąpiła w finale publicystyka, cała sekwencja haseł obecnych podczas demonstracji, nieco wykoślawiona (pojawia się np. „Sprzedam opla"), i dobrze postawione pytanie: jaką drogę obiorą współcześni Barykowie? Szkoda, że nie puentuje przedstawienia pierwsze zdanie eseju Marka Beylina, zamieszczonego w programie teatralnym: „Za mało było w Polsce Baryków, reprezentantów demokratycznego gniewu, zbyt wielu zaś Gajowców, strażników status quo wadliwej demokracji".

PS To była bodaj 25. adaptacja sceniczna „Przedwiośnia", którego kariera teatralna rozpoczęła się właśnie w warszawskim Teatrze Powszechnym (1964) spektaklem Adama Hanuszkiewicza z jego udziałem w roli Cezarego Baryki.

Tomasz Miłkowski

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MAGDA HUECKEL, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 02bf30e678

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Gnat władzy

Przyglądam się z rosnącym zażenowaniem wojnie harcowników „cenzopapy" z obrońcami papieskiej świętości. Z jednej strony, prowokacyjne zabawy gówniażerii, z drugiej, wskrzeszenie kultu jednostki w wersji turbo. Niestety, reduta dobrego imienia bardzo łatwo wrzuci rzetelne śledztwa dziennikarskie do jednego worka z mistrzostwami w szkalowaniu papieża, memy pomiesza z dokumentami i w ten sposób łatwo zbagatelizuje skandal samopomocy pedofilskiej w Kościele katolickim, działającej za przyzwoleniem polskiego świętego. Zaiste, straszliwa to dziecinada, za którą idzie ostateczna infantylizacja i tabloidyzacja polityki.

Czeka nas najbrudniejsza kampania wyborcza w historii tego kraju – wygra ją nie ten, kto więcej obieca, ale ten, kto wymyśli najobrzydliwsze oskarżenie. PiS się nie patyczkuje, na dziś PO to partia pedofilów i robakożerców, która tylko czeka, by otworzyć granice dla uchodźców gwałcących nasze krowy. Kto da więcej? Wszyscy wiedzą, że wybory w Polsce wygrywa się na wsi, a dla kaczystów to znaczy, że trzeba je wygrać widłami i gnojem. Od populistycznych obiecanek i podsycania resentymentu przeszli do podsycania rynsztokowej awantury, mierząc wyłącznie w nienawiść i najniższe instynkty. Boję się, że ten kraj jesienią wybuchnie. Żadna strona nie uzna wyniku wyborów, o ile do nich dojdzie. A dojdzie tylko wtedy, jeśli sondaże utrzymają się na obecnym poziomie, gwarantującym PiS zwycięstwo i rządy koalicyjne z konfederatami.

Kaczystom jest na rękę podgrzewanie zadymy między szkalownikami a brązownikami Jana Pawła II, bo to zero-jedynkowa sytuacja, w której oni się czują najlepiej. Będą to grzać, ale tak, aby nie przegrzać, chyba że w końcu przestaną słuchać spin doktorów i zwariują zupełnie, uruchamiając masowe aresztowania z art. 196, czyli obrazy uczuć religijnych. Na drugi Iran jednak nawet gnuśne lemingi się nie zgodzą, wtedy faktycznie mielibyśmy szansę na opozycyjny majdan zamiast ciamajdanu. Jeśli jednak jakimś cudem barometr przedwyborczy późnym latem wskaże zmianę nastrojów społecznych i przejęcie władzy przez opozycję okaże się realne, żadnych wyborów nie będzie. Za wschodnimi granicami zgromadziło się wystarczająco dużo powodów do ogłoszenia stanu wyjątkowego w Polsce, nie potrzeba nawet wymyślnej prowokacji – do tego, że sytuacja wojenna wymaga specjalnych środków, łatwo będzie przekonać lud smoleński, a to już połowa sukcesu.

PiS władzy nie odda, tak jak Ziobro nie odda klamki, którą nosi za paskiem niczym pospolity gangus. Zdjęcie uzbrojonego polityka ma złowieszczy symboliczny wymiar. Prokurator generalny paraduje z gnatem, który jest odpowiedzią na pytanie, co Solidarna Polska robi jeszcze w koalicji rządzącej. Gnaty zostały rzucone, chciałoby się powiedzieć. Ta czechowowska pukawka wystająca z ministerskich gaci to przestroga dla wszystkich, którym się roi obalenie rządu. To przekaz do polityków partii opozycyjnych: cieszcie się każdym dniem, w którym jeszcze możecie zasiadać w ławach sejmowych, pohukiwać na władzę, a nawet wychodzić na mównicę i pitolić swoje trzy po trzy – i tak was nie słuchamy, ale na razie jeszcze do was nie strzelamy, co jednak w każdej chwili może się zmienić.

Śpieszmy się śmiać z ludzi władzy, tak szybko odchodzą.

Skądinąd tym razem w memy wygrał Michał Żebrowski jako „prokreator generalny" z plastikowym pistoletem wetkniętym za pieluchę. Śmiech jest skuteczną bronią przeciw napuszonym facetom w czerni, którzy dzierżą władzę. Z narcystyczną satysfakcją zauważyłem, że w tle zdjęcia, na centralnym miejscu regału bibliotecznego leży „Wieczne odpoczywanie" – tom felietonów, które dla szanownych czytelników publikuję co tydzień w PRZEGLĄDZIE. Mam takie odchylenie zawodowe, że jak tylko widzę ludzi pozujących do zdjęcia na tle prywatnego księgozbioru, z ciekawością wypatruję tytułów, albowiem wiedza o tym, co czytają, więcej mi o nich powie niż dłonie złożone w jodełkę i sztuczny uśmiech. Żebrowski zapozował zadkiem, umiejętnie pokazując, gdzie ma ten rząd i co o nim myśli. Przysłużył się też Ziobrze, wyjątkowo ponurej kanalii, po której zostanie choć jedna zabawna pamiątka. Śpieszmy się śmiać z ludzi władzy, tak szybko odchodzą. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 02bf30e678

Coś więcej niż sklep

Sklep socjalny nie ma obdarowywać, chodzi o to, by za własne pieniądze można było kupić tanio pełnowartościowe produkty

Dominika Tworek

Masło z Mlekowity – 3,50 zł, parówki Krakusa – 2,50 zł, ser gouda Hochland – 3,20 zł, mleko wiejskie z Piątnicy – 2,80 zł, baton Grześki – 1,10 zł. Produkty w takich cenach można znaleźć na półkach wrocławskiego sklepu społecznego. To miejsce, gdzie potrzebujący mogą w niższych cenach kupować produkty spożywcze, chemię gospodarczą czy karmę dla zwierząt. Natomiast nie ma tu wyrobów tytoniowych ani alkoholu.

Pierwsze sklepy socjalne powstały jeszcze przed rokiem 2000 w Wiedniu, a obecnie stolica Austrii ma ich 12. Do Polski przyszły w ostatnich latach. Dzisiaj działają już m.in. w Warszawie, Łodzi, Tarnowie, Poznaniu, Katowicach, Legnicy czy Dzierżoniowie, a od trzech miesięcy także we Wrocławiu.

Nie dla zarobku

– To odpowiedź na trudne czasy: wysoką inflację, coraz wyższe rachunki za prąd i ogrzewanie. Dlatego trzeba wspierać osoby, które mają bardzo skromne budżety domowe i żyje im się trudniej. Zależało nam, aby sklep powstał w dobrej lokalizacji, żeby wszyscy potrzebujący mogli tu bez problemu dotrzeć. Chcielibyśmy, aby takich miejsc było w naszym mieście więcej – mówi prezydent Wrocławia Jacek Sutryk. Wrocławski sklep społeczny znajduje się w centrum miasta, przy ulicy Sądowej 14. Mogą w nim kupować osoby posiadające kartę klienta, którą otrzymują na miejscu: osoby mające zaświadczenie o niskich dochodach wydawane przez MOPS, członkowie rodzin zastępczych, posiadacze Karty Dużej Rodziny, członkowie rodzinnych domów dziecka i pogotowia opiekuńczego, seniorzy (60+) czy uchodźcy z Ukrainy (w sklepie zatrudnione są ekspedientki, które mówią po ukraińsku). Jednorazowo można tu zrobić zakupy za ok. 100 zł, choć nie jest to bardzo rygorystycznie sprawdzane.

– Chodzi o to, żeby towar zakupiony w sklepie nie trafiał do drugiego obiegu – że np. ktoś zrobi zakupy w sklepie socjalnym taniej, a potem na wolnym rynku sprzeda drożej. Dodatkowo za te 100 zł nie można kupić np. samego oleju lub tylko cukru. Chcemy, żeby ludzie kupowali takie produkty, które są im potrzebne do codziennego funkcjonowania: trochę masła, mleko, chleb, wędliny. Karta ta ma jeszcze jedną ważną funkcję. Jeżeli jej posiadacz przez dłuższy czas nie zrobi zakupów w tym sklepie, to będzie dla MOPS sygnał, że może dzieje się z nim coś złego. I że trzeba do niego zadzwonić, podejść, sprawdzić, co się z nim dzieje – tłumaczy wrocławska radna Agata Gwadera-Urlep, pomysłodawczyni projektu.

Cel sklepu to działalność pomocowa, a nie zarobkowa. Cały zysk jest przekazywany na rozwój placówki i zadania społeczne, m.in. na wsparcie rodzin zastępczych. Chociaż dzisiaj ceny wielu produktów nie odbiegają znacząco od cen rynkowych, zwłaszcza tych w supermarketach, docelowo większość rzeczy mamy tu kupić za symboliczną złotówkę.

Katarzyna: Chodzi nie tylko o sklep, ale o to, że tworzymy wyjątkowe miejsce.

Wzmocnione rodziny

– Dotychczas wydaliśmy ponad 700 kart, a chcielibyśmy dużo więcej. Zakupy robią u nas najczęściej osoby korzystające z pomocy MOPS i seniorzy. Ale zdajemy sobie sprawę, że nie wszyscy potrzebujący chodzą po wsparcie do miejskich organizacji. A takim osobom również chcemy pomagać. W praktyce więc jest tak, że ktokolwiek do nas przyjdzie i potrzebuje pomocy, nie wychodzi z pustymi rękami. A w soboty sklep jest otwarty dla wszystkich. Zależy nam, żeby mieszkańcy na własne oczy zobaczyli, że za 100 zł można tu zrobić bardzo fajne zakupy, i powiedzieli o tym innym. Ale też, żeby swoimi zakupami wsparli naszą działalność – wyjaśnia Beata Marczak, prezeska stowarzyszenia Wrocławskie Forum Kobiet, które prowadzi sklep.

56-latka jest szczęśliwą żoną i mamą czwórki dzieci. Przez lata

FOT. DOMINIKA TWOREK

eprasa.pl 02bf30e678

pracowała jako nauczycielka angielskiego dla najmłodszych. Sześć lat temu poszła – drugi raz – na studia i założyła własne przedszkole. To spełnienie jej marzeń. Ale nigdy się nie spodziewała, że będzie sklepową.

– Nasze stowarzyszenie powstało podczas spotkań mam małych dzieci. Na początku chodziło po prostu o wzajemne zrozumienie i wsparcie. Gdy rozwinęłyśmy działalność, skupiłyśmy się na temacie poczucia własnej wartości kobiet. Wyszłyśmy z założenia, że wzmocnione kobiety to silniejsze rodziny. Każda z nas przeszła przez jakieś kryzysy, dlatego teraz chcemy pomagać innym. Pomaganie ubogim to dalej pomaganie rodzinom, głównie wielodzietnym – podkreśla Beata.

Bieda w Polsce ma dziś twarz dziecka. Według danych GUS w 2021 r. skrajnego ubóstwa doświadczało prawie 5% dzieci i młodzieży do 17. roku życia oraz 3,4% osób starszych. Statystyki korzystania z pomocy żywnościowej finansowanej ze środków europejskich pokazują z kolei, że udział osób starszych w tych programach urósł w ciągu kilku lat z 5% do 13%. Według prognoz właśnie ta grupa społeczna wkrótce będzie najbardziej zagrożona biedą.

Miska płatków owsianych

W ideę sklepu społecznego wpisana jest godność klienta. Nie chodzi o to, żeby zostać obdarowanym jedzeniem, ale by zrobić zakupy za własne pieniądze. Kupić tanio dobre, pełnowartościowe produkty.

Pani Asia jest stałą klientką. Z 2,2 tys. zł. budżetowej emerytury po odliczeniu opłat za mieszkanie i leki na życie zostaje jej bardzo niewiele. Nie korzysta z żadnej systemowej pomocy, bo się nie kwalifikuje. A inflacja diametralnie pogorszyła jej sytuację życiową. Mimo to na twarzy emerytki gości wesoły uśmiech.

– Cały czas się śmieję i to tylko mnie ratuje. Chociaż niekiedy sobie myślę, że nie ma sensu dalej żyć. Jestem po wielościennym, rozległym zawale. Mam wszczepiony trzeci kardiowerter. Nie mogę się denerwować, bo pękają mi elektrody. A jak patrzę na rachunki i paragony, trudno tego uniknąć – bo zastanawiam się, co będę jeść. Na śniadanie zwykle przygotowuję płatki owsiane z mlekiem. Dopóki mi nie zbrzydnie. Wtedy smażę sobie naleśniki. Na obiad jadam zupy, ugotuję i jest na kilka dni. Podczas zakupów rozglądam się za tym, co najtańsze. Na mięso też mnie jeszcze stać, ale kupuję kilka plasterków wędliny. Cieszę się, że mogę przyjść normalnie do sklepu po jedzenie albo do „szperaka" po ubrania, a nie muszę sięgać po dary – opowiada.

Wrażliwość i empatia

Praca w sklepie społecznym to często rozmowy z potrzebującymi. – Działamy pod hasłem: „Coś więcej niż sklep społeczny". Wiele osób, zwłaszcza seniorów, przychodzi do nas także po to, żeby porozmawiać, opowiedzieć o swojej sytuacji finansowej i innych trudnościach życiowych, nierzadko osobistych dramatach. Niektórzy nie dostają żadnego wsparcia, nie mają rodziny ani bliskich – mówi 30-letnia Katarzyna Górska, zastępczyni kierowniczki sklepu społecznego.

Praca tutaj uczy ją wrażliwości i empatii. – Dowiedziałam się, że kryzys niejedno ma imię. Że nie ma co oceniać innych po wyglądzie czy tym, jak ktoś na pozór funkcjonuje, bo ludzkie dramaty wcale nie muszą być widoczne na zewnątrz. Pamiętam sytuację, kiedy w sklepie pojawiła się młoda, ładna, zadbana dziewczyna. Weszła do nas zapytać, czy mamy coś bardzo taniego do jedzenia, czym można by szybko zabić głód. Zaczęłyśmy rozmawiać. Okazało się, że właśnie wyszła z więzienia i jest bezdomna. Powiedziała, że serce zabrania jej kraść. Że bardzo chciałaby stanąć na nogi i znaleźć pracę. Dzięki temu, że współpracujemy z różnymi fundacjami, mogłyśmy ją przekierować do osób, które udzieliły jej praktycznej pomocy.

Katarzyna rozpoczęła pracę w sklepie, gdy sama mierzyła się z życiowymi perturbacjami: śmiercią mamy, utratą pracy i mieszkania. Dziś stara się pomagać innym, nieustająco ożywiając klientów swoim uśmiechem. – Im więcej ja dostaję od ludzi, tym więcej jestem w stanie dać. Robię to z dobroci serca. To moja osobista misja. Chodzi nie tylko o sklep, ale o to, że tworzymy wyjątkowe miejsce. Klienci są wdzięczni za poświęconą im uwagę. Jedna pani upiekła nam ciasto, ktoś inny przyniósł bigos, inny pan kupił czekoladki. To dowód, że to, co robimy, ma sens – podsumowuje.

Z korzyścią dla planety

Funkcjonowanie sklepu wspiera osoby w trudnej sytuacji życiowej i finansowej, ale też może być odpowiedzią na potrzebę niemarnowania żywności przez markety.

W Polsce marnuje się 5 mln ton jedzenia rocznie. Zgodnie z ustawą o przeciwdziałaniu marnowaniu żywności z 2019 r. sklepy o powierzchni powyżej 250 m kw., których przychody ze sprzedaży produktów spożywczych stanowią ponad 50%, mają obowiązek podpisania umowy z organizacją pozarządową na odbiór żywności wycofywanej z dystrybucji. Dzięki sklepom społecznym takie produkty mogą trafić do potrzebujących.

– Naszą największą potrzebą jest obecnie pozyskanie producentów, którzy sprzedawaliby nam atrakcyjny towar po niższych, preferencyjnych cenach. Bo aby utrzymać sklep, musimy nałożyć na produkty minimum 30% marży. Dlatego im niższe ceny da nam producent, tym produkty na półkach są tańsze. Na przykład w Selgrosie kupujemy za połowę ceny, ale tylko rzeczy z maksymalnie czterodniowym terminem do spożycia. Wtedy te produkty trzeba szybko sprzedać. Nasi klienci nauczyli się już tego, że we wtorki i czwartki trzeba przyjść, bo mamy bardzo tanio nabiał, wędliny czy gotowe jedzenie z Selgrosa. Zdarza się, że otrzymujemy jakieś gratisy. Wtedy też robimy gratisy dla klientów. Na przykład dzisiaj do zakupów powyżej 40 zł otrzymują impregnat do butów. Dzięki temu, że wrocławska piekarnia Różana oddaje nam jednodniowe pieczywo, mamy je bardzo tanio. Zwykły chleb kosztuje u nas 1,50 zł, a wieloziarnisty 2,60 zł – mówi Beata Marczak. ■

eprasa.pl 02bf30e678

Leczmy przyczyny, a nie skutki

Zamiast poprawiać warunki, w których żyją ludzie, modyfikujemy im mózgi, żeby w tych warunkach w ogóle byli w stanie wytrzymać

Rozmawia Michał Sobczyk

Przyczyny depresji i skuteczność różnych metod jej leczenia są ostatnio przedmiotem burzliwych dyskusji, w tym z udziałem osób publicznych.

– Duże zamieszanie wywołały zwłaszcza medialne streszczenia publikacji prof. Joanny Moncrieff, której zespół przeanalizował wyniki bardzo wielu odpowiednich badań i wykazał, że nie ma dowodów na potwierdzenie serotoninowej teorii depresji (przy czym można byłoby się spierać, czy powinniśmy w tym wypadku mówić w ogóle o teorii, czy raczej tylko o hipotezie). Nie jest to nowa wiedza, w tym sensie, że co najmniej od paru lat w ważnych czasopismach naukowych ukazywały się artykuły, z których wynikało, że to na pewno nie jest takie proste – ot, za mało serotoniny równa się depresja. O tym, że ta hipoteza jest nie do obrony, pisano np. w 2015 r. na łamach „World Psychiatry", właściwie najważniejszego czasopisma psychiatrycznego na świecie. Podobne artykuły ukazywały się też wiele lat wcześniej.

Mimo braku dowodów na potwierdzenie wspomnianej hipotezy przez lata dominowała ona w praktyce leczenia depresji.

– Opartą na niej narrację wykreował przemysł farmaceutyczny we współpracy z wieloma ośrodkami akademickimi oraz tzw. kluczowymi liderami opinii w świecie psychiatrii. Doskonale nadawała się ona bowiem do przekonywania pacjentów do brania leków, a jednocześnie idealnie wpisywała się w klasyczne, biomedyczne myślenie na temat problemów zdrowotnych. W tym modelu mamy jasną przyczynę choroby,

DR RADOSŁAW STUPAK
– psycholog

którą jest w tym przypadku niski poziom serotoniny, i proste rozwiązanie, którym są podnoszące go leki, tak jak antybiotyk działa na bakterie.

W ramach *evidence-based medicine*, czyli medycyny opartej na dowodach, systematyczny przegląd metaanaliz Moncrieff i jej zespołu ma status najmocniejszego dowodu w hierarchii dowodów. W związku z tym, a także dlatego, że wyniki tego badania przebiły się do dużych mediów na Zachodzie, nie można już było udawać, że nic się nie stało. Właśnie stąd wzięły się, organizowane również w Polsce, akcje PR-owe w obronie dominującej opowieści o depresji i antydepresantach oraz personalne ataki na Moncrieff i jej zespół.

Wiele z najpopularniejszych leków antydepresyjnych to tzw. selektywne inhibitory zwrotnego wychwytu serotoniny (SSRI) lub serotoniny i noradrenaliny (SNRI). Badanie, o którym pan mówi, podważa powszechne przekonanie o ich skuteczności?

– Na pewno podważa standardowy sposób przedstawiania antydepresantów, np. w kampaniach społecznych. Niezależnie jednak od tego, jaką teraz opowiemy ludziom historię na temat rzekomych biologicznych mechanizmów ich działania, pozostanie podstawowy problem ich małej skuteczności.

Skuteczność takich leków badamy w sposób niemający w zasadzie nic wspólnego z tym, jak wyobrażamy sobie ich działanie biologiczne. W największym skrócie: losowo dzielimy pacjentów na dwie grupy, z których jedna otrzymuje dany specyfik, a druga placebo, a następnie prosimy ich o ocenę objawów, zadając pytania w stylu „Jak bardzo Pan/Pani jest smutny/smutna, w skali od 1 do 4". W wielu metaanalizach różnica pomiędzy średnimi wynikami dla obu grup okazała się właściwie niezauważalna, bo wyniosła np. 2 pkt na skali, która ma ich ponad 50. Przy czym mowa o wynikach uśrednionych, indywidualne reakcje na dany lek mogą być bardzo różne. Części osób prawdopodobnie pomagają one istotnie bardziej niż placebo, podczas gdy wielu innym ich długotrwałe przyjmowanie może nawet szkodzić. Prof. Giovanni Fava, psychiatra, redaktor naczelny prestiżowego „Psychotherapy and Psychosomatics", mówi wprost, że ze względu na biologiczny mechanizm ich działania popularne antydepresanty mogą sprawiać, że depresja stanie się bardziej chroniczna, lub wywoływać stany maniakalne. Dyskusja na ten temat jest prowadzona na łamach najważniejszych czasopism naukowych na świecie.

Czy można oszacować, w jak wielu przypadkach leki antydepresyjne nie spełniają swojego zadania?

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 02bf30e678

– Tuż po badaniu Moncrieff opublikowano metaanalizę opartą na danych z badań klinicznych dla amerykańskiej FDA (rządowa Agencja Żywności i Leków – przyp. red.). Wynika z niej, że w najlepszym wypadku co siódma osoba odnosi istotne korzyści z przyjmowania antydepresantów. W przypadku USA, kraju, w którym bierze je ok. 15% populacji, mówimy o kilkudziesięciu milionach ludzi, którzy mogą nie odnosić korzyści ze stosowania leków, za to są z ich powodu narażeni na niepotrzebne szkody. W Polsce ten rodzaj leków nie jest jeszcze zażywany masowo, ale robi się wszystko, aby ich sprzedaż rosła.

Wielu osobom fundamentalnie poprawiły jakość życia.

– W konkretnych sytuacjach mogą być pomocne lub nawet konieczne, ale nie ulega wątpliwości, że w krajach zachodnich, a zapewne i w Polsce, przepisuje się je zbyt często.

Zgodnie z wytycznymi leczenia w wielu krajach, leki są wskazane w zasadzie jedynie w przypadkach ciężkiej depresji. Przy lekkim i umiarkowanym natężeniu objawów różne inne interwencje są równie skuteczne, a wiążą się z mniejszym ryzykiem. W pierwszej kolejności należałoby więc zaproponować np. odpowiednio zaprojektowany wysiłek fizyczny i dopiero gdy to po jakimś czasie nie pomoże, rozważyć włączenie antydepresantów. Warto przy okazji wspomnieć, że według niektórych metaanaliz psychoterapia jest w leczeniu depresji równie skuteczna jak farmakoterapia, niezależnie od profilu symptomów i ich natężenia, wiąże się z lepszymi długoterminowymi prognozami, a połączenie farmakoterapii z psychoterapią nie zwiększa korzyści.

Czy polscy psychiatrzy są na bieżąco z postępami wiedzy medycznej?

– Na całym świecie ma miejsce rozjazd między literaturą naukową a praktyką psychiatryczną. Zachowanie szeregowych lekarzy kształtują nie najnowsze wyniki badań, ale wspomniani już kluczowi liderzy opinii, czyli środowiskowe autorytety, które prowadzą szkolenia i opracowują wytyczne postępowania, często we współpracy z koncernami farmaceutycznymi. A zgodnie z polskimi wytycznymi leki antydepresyjne powinno się stosować od początku leczenia nawet w przypadku lekkiej depresji.

Kluczowym problemem pozostaje jednak coś innego. Na psychoterapię depresji Narodowy Fundusz Zdrowia przeznacza dziesięć razy mniej środków niż na refundację leków antydepresyjnych, dlatego nawet jeśli lekarze będą mówić, że najlepiej łączyć jedno z drugim, większość osób ograniczy się do farmakoterapii. Psychoterapia w ramach publicznej opieki zdrowotnej jest bowiem praktycznie niedostępna, a mało kogo stać na wydawanie np. 1 tys. zł miesięcznie na wizyty prywatne. Ale skoro trzymamy się narracji, że leki są bezpieczne i skuteczne, z punktu widzenia systemu nie opłaca się finansować terapeutów ani podejmować żadnych innych szerszych działań społecznych. Mimo że np. roczna psychoterapia mogłaby się okazać dla systemu tańsza niż wieloletnia farmakoterapia i jej możliwe negatywne skutki zdrowotne.

Co, poza zwiększeniem nakładów na psychoterapię, państwo może zrobić, by ograniczyć plagę depresji?

– Dysponujemy dowodami na to, że wśród przyczyn tego, co nazywamy depresją, są ubóstwo, złe warunki pracy, przemoc czy inne czynniki środowiskowe. Możemy zatem dojść do wniosku, że jeśli faktycznie leży nam na sercu zdrowie psychiczne Polek i Polaków, powinniśmy wyeliminować te czynniki, które odbijają się na nim negatywnie, powodując nie tylko cierpienie, ale i różnego rodzaju inne koszty społeczne.

Marek Balicki zwraca uwagę na spadek liczby samobójstw skorelowany w czasie z wprowadzeniem programu 500+, dzięki któremu ludzie mogli m.in. przestać się zadłużać. Bo gdy ktoś żyje np. w ciągłym strachu przed komornikiem, to zrozumiałą reakcję na ten stan nazywamy często zaburzeniem. Jeśli wówczas ograniczymy się do przepisania takiej osobie leków, nie rozwiąże to jej problemu ze spłatą pożyczek czy innych faktycznych problemów… A potem za przyczynę samobójstwa uznamy owo zaburzenie, a nie powody ekonomiczne.

Jak pokazała m.in. metaanaliza Moncrieff, depresji nie można sprowadzić do „chemicznej nierównowagi w mózgu". Oznacza to, że mamy do czynienia nie z problemami indywidualnych mózgów wyjętych z kontekstu, tylko z problemami społecznymi i interpersonalnymi. Niezależnie od tego, że na stan mózgu wpływają np. takie kwestie jak kłopoty finansowe, mobbing w pracy czy utrata ważnej osoby, nie da się depresji stwierdzić na podstawie stanu mózgu. Dlatego skuteczna walka z problemami społecznymi nazywanymi potem depresją nie może się ograniczać do programów edukacyjnych i podobnych pozornych działań. Nawet jeśli nie wyeliminują one całkowicie cierpienia psychicznego, niezbędne kroki można sprowadzić do zasady: gdy ludziom obiektywnie będzie się żyło lepiej, zmaleje liczba problemów ze zdrowiem psychicznym.

Mam wrażenie, że walka ze stygmatyzacją cierpiących na depresję częściej jest toczona pod hasłem, że depresja może się przytrafić każdemu, nawet pięknym i bogatym.

– Na pewno nie ma powodu, żeby ktokolwiek się wstydził tego, że z jakichkolwiek przyczyn cierpi psychicznie, i na pewno takie osoby zasługują na najlepsze możliwe wsparcie – niezależnie od tego, jak zdefiniujemy ich problemy. Ale faktycznie niezamierzonym efektem części kampanii społecznych, które kładą nacisk na to, że depresja jest „chorobą jak każda

Dr Radosław Stupak – adiunkt w Instytucie Psychologii Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Jego doktorat, obroniony w Instytucie Psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, dotyczył modelu biomedycznego w psychopatologii. Psychiatrią zajmuje się naukowo również od strony teorii krytycznej i filozofii kultury.

eprasa.pl 02bf30e678

inna", może być stracenie przez nas z oczu całego społecznego kontekstu cierpienia, które tak nazywamy. Podkreślanie biologicznego podłoża depresji jest problematyczne nie tylko dlatego, że właściwie go nie znamy. Może również się okazać, że tak diagnozowane osoby będą się autostygmatyzować, postrzegając siebie jako „genetycznie wadliwe", „mające chory mózg" itd.

Metaanaliza Moncrieff dlatego wzbudziła tyle kontrowersji, że podważa narrację, która każe myśleć o cierpieniu psychicznym wyłącznie w kategoriach medycznych i biologicznych. Tymczasem praktyczną konsekwencją takiego myślenia jest to, że zamiast poprawiać obiektywne warunki, w których żyją ludzie, modyfikujemy im mózgi, żeby w tych warunkach w ogóle byli w stanie wytrzymać, choć to i tak za bardzo nie działa.

Zdaniem filozofa i psychoterapeuty Andrzeja Ledera za wzrost liczby osób, które skarżą się na przewlekłe stany obniżonego nastroju, częściowo odpowiada narcystyczny rys współczesnej kultury. Z kolei m.in. Magdalena Środa doszukuje się swoistej mody na depresję.

– Bez wątpienia oba wymienione czynniki stanowią jakieś części odpowiedzi. Zadajmy sobie jednak pytanie, skąd bierze się kultura, a w jej ramach wszelkie mody. Przecież nie zsyłają ich nam kosmici, tylko stanowią one odzwierciedlenie tego, co się dzieje na poziomie stosunków ekonomicznych i społecznych. Nie można np. mówić o narcyzmie w mediach społecznościowych, nie uwzględniając tego, że Facebook czy Instagram poprzez swoje algorytmy celowo kształtują takie zachowania, aby na dłużej zatrzymać naszą uwagę, zebrać o nas więcej danych, sprzedać te dane, a przy okazji lepiej sprofilować pokazywane nam reklamy. To my jesteśmy produktem, który sprzedają media społecznościowe innym firmom. Równocześnie to, jak owe platformy celowo przechwytują naszą uwagę, m.in. utrudniając skupienie się, też może być medykalizowane, np. jako ADHD. I wtedy zamiast uregulować lub przejąć te korporacje i poprawić warunki życia, oferujemy ludziom kolejny produkt – stymulanty.

Michał Sobczyk

KSIĄŻKA

AUTORSKA ENCYKLOPEDIA PIŁKI

Zaczęło się… od kopania drewnianej kulki przez członków szczepu Tarahumara, od Azteków uderzających piłkę wyłącznie udem i Majów podbijających ją biodrem. Inkowie robili to barkiem. W Chinach ponad 2 tys. lat temu używano piłki ze skóry. W podręczniku dla wojska grę nogą nazywano *tsu chu*. I tak przez kolejne stulecia.

Co kontynent, to mamy podobne zabawy z piłką. Największe przyśpieszenie w rozwoju tej gry, którą dziś znamy, zawdzięczamy Anglikom. W 1810 r. powstało w Westminsterze pierwsze boisko piłkarskie. Zaczęto zakładać pierwsze zespoły. W 1857 r. założono pierwszy klub piłkarski – Sheffield Football Club. Istnieje zresztą do dziś.

A w Polsce? Pierwsze mecze piłkarskie rozgrywane pod zaborami odnotowano już w 1892 r.

Podobnych informacji znajdziecie w tej książce wiele, ale to zaledwie początek wielkiego dzieła – „130 lat polskiej piłki nożnej na tle futbolu światowego" autorstwa prof. Andrzeja Wacha i dr. Karola Wacha. Ta wydana przez PZPN księga (580 stron) to dzieło unikatowe. Nie znam w Polsce książki pomyślanej równie ambitnie. I co najważniejsze, napisanej, jak przystało na wybitnych naukowców i ekspertów, z intelektualną dyscypliną. A nie było to łatwe, bo materia, czyli ogrom informacji o historii piłki nożnej, może być mierzona w kilometrach półek z już napisanymi książkami. Świadomi tego autorzy zaproponowali własny model opisu świata piłki. Moim zdaniem ma on sens.

Autorskie spojrzenie na ewolucję futbolu, w tym na 103 lata historii PZPN, może być pożytecznym narzędziem poznawczym dla wielu adresatów. Ta książka może zainteresować zwykłych kibiców. Ale jeszcze bardziej jest to świetne wademekum dla nowych pokoleń działaczy piłkarskich. Od klubów C klasy po zarząd PZPN. A także dla trenerów, sędziów i piłkarzy. Może być również pożytecznym narzędziem dla mediów.

Prof. Andrzej Wach jest w Polsce najwybitniejszym znawcą prawa sportowego i przepisów FIFA. Autorytetem, który ma na koncie ponad 160 publikacji. W latach 1990-2004 był członkiem komisji UEFA, a później grupy L'Amicale des anciens de l'UEFA. Jest arbitrem Trybunału Arbitrażowego ds. Sportu w Lozannie.

Andrzej Wach, Karol Wach, *130 lat polskiej piłki nożnej na tle futbolu światowego,* Polski Związek Piłki Nożnej, Warszawa 2022

Nie znam nikogo o równie wysokich kompetencjach, a przy tym tak skromnego i życzliwego ludziom. Andrzej Wach jest działaczem sportowym w najlepszym stylu i świetnym ambasadorem Polski za granicą.

Korzystałem z ogromnych umiejętności i wiedzy prof. Andrzeja Wacha jako prezes PZPN. Bardzo mi pomógł w tworzeniu przepisów i adaptowaniu regulacji związkowych do wykładni FIFA i UEFA. Prezydenci FIFA João Havelange i Joseph Blatter oraz prezydent UEFA Lennart Johansson wysoko cenili jego kompetencje, powołując go do najważniejszych i prestiżowych komisji piłkarstwa światowego i europejskiego.

Współautorem książki jest syn profesora, o którym mogę powiedzieć, cytując klasyka: jaki ojciec, taki syn. Ta książka jest dowodem ich wielkiej wiedzy. Połączeniem profesjonalizmu z pasją.

Jerzy Domański

eprasa.pl 02bf30e678

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Człowiek z gęsią na głowie

Padły nazwiska Flauberta, Barnesa i Carvera. Padły słowa fałda i kapitalizm. Spotkanie literackie dobiegało końca. Zeszliśmy ze sceny niepewni, jak wyszło, bardziej skonfundowani niż zakochani w sobie. Powoli spuszczaliśmy powietrze przy barze. Trochę poszło w plotki, trochę w popisy, trochę w autentyczną radochę w związku z tą czy inną książką lub wierszem. Ale spinka została. Już nie w postaci stresu, bardziej czujności, szybszego wypowiadania zdań. I wtedy wszedł ten gość – w czapeczce, pewnym krokiem – za nim duża, biała gęś, a za nią potężny kaczor. Stawkę zamykał pies. Wszyscy gęsiego, w tych samych odstępach, jak w pochodzie. Przy barze ta banda rozproszyła się. Czy ssak, czy ptak – każdy zajął się jakąś swoją sprawą: pan zamawiał piwo, gęś stanęła na jednej nodze i włożyła dziób w (swój) puchaty zadek, kaczor pił z psiej miski, pies dał się pieścić. Cała czwórka zachowywała się, jakby nie robiła niczego innego, tylko chodziła lekko zblazowana na spotkania literackie, żeby na końcu ukraść show i stroszyć piórka w blasku/błysku fleszy. Część gości padła na kolana rozśmieszona, żeby popatrzeć ptactwu w oczy. Część starała się uciec przed sporymi, trzeba przyznać, dziobami. Ale cichcem, zachowując godność. Część dalej obojętnie paliła szlugi w wielkim wsysywaczu zapachów. A może tylko udawali spokój? I intensywnie myśleli o tym, kto pierwszy to wrzuci na fejsa?

W każdym razie poetów uwolniono od poecenia i rzeczywiście wszyscy chcieli pogadać z typem z Bremy. Miał na imię Dariusz i był zmyślnym, sympatycznym gościem, który uratował gąsiora (okazało się, że cała czwórka jest rodzaju męskiego) przed rzezią. Gąsior go za to kochał i wciąż właził mu na kolana, gdzie poddawał się głaskaniu itd. Kaczor z kolei wskoczył Dariuszowi na ramię (a serio – był wielkości kury) i tylko czekałam, aż zaznaczy na tym ramieniu swoją obecność, ale absolutnie nad sobą panował i wypróżnił się dopiero na schodach. Zdjęcie za zdjęciem. Naprawdę miałam dobry kontent. Mój fanpejdż rozwalił system. To znaczy nie fanpejdż, tylko egalitaryzm międzygatunkowy. Realny, nie spekulatywny. Prawdziwy, nie postulowany. I wszystko chciałam wiedzieć o tej społeczności oraz wszystko przejrzeć i wszystko pomacać. Na końcu pan Dariusz dał mi szare piórko, które wyrwało się gąsiorowi. A kiedy wyszli, my też z Martą i Pawłem wyszliśmy. Schodząc ze schodów dwa piętra w dół – zobaczyliśmy nieoczekiwanie Dariusza, który spojrzał na nas dziko: – Popilnujcie ich. Chyba zostawiłem na górze telefon!

Spojrzeliśmy na siebie, a potem na ekipę stojącą na dole. Teraz kaczor nie wyglądał już tak przyjaźnie. Gąsior był na sto procent wkurwiony. I tylko pies miał wszystko w dupie, bo chyba chciał już po prostu nasikać na zewnątrz. Baliśmy się ruszyć. U stóp schodów oni ewidentnie szykowali się do ataku. Zamarliśmy. Przylgnęłam do ściany. Wkrótce jednak Dariusz zszedł z telefonem, ładnie podziękował, wytarł schody chusteczką i wyszliśmy na dwór. Była jakaś przeraźliwa mgła, a może smog już tak nisko upadł. Rynek. Biły dzwony. Patrzyliśmy, jak idą w mrok: typ, gąsior, kaczor i pies. Gęsiego, jakby ich ktoś narysował.

I wtedy wszedł ten gość – w czapeczce, pewnym krokiem – za nim duża biała gęś, a za nią potężny kaczor. Stawkę zamykał pies.

Wróciłam do domu coś jakby rozśmieszona, jakby nawiedzona? Mijały dni; piórko na biurku przypominało mi o tamtej społeczności. Wkrótce zobaczyłam zdjęcia na stronie Księgarni Hiszpańskiej. Były hitem. Nic dziwnego: typ, gąsior, kaczor i pies przeglądali książki, kokosili się, fotogenicznie odpoczywali. – Ha, są jeszcze w mieście – pomyślałam. Ale poczułam się trochę zdradzona: moje zdarzenie, moje przedziwne widzenie, rozpirzone po jakichś księgarniach!

Dzisiaj było jeszcze gorzej. Księgarnia Tajne Komplety opublikowała zdjęcie bremeńczyka. Dobrze skadrowane i ostre jak szpic: Dariusz w okularach, wtulony w niego kaczor, gąsior i pies. Jakby chodzili po księgarniach, żeby się celebrycić. A tacy się wydawali znikąd! Z heglowskiego pięknego motłochu, z romantycznego nowego materializmu. Z fantazji o nowym świecie. Wyrzuciłam piórko do śmieci obrażona. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 02bf30e678

Rok z życia dzięcioła

Pisklęta dzięciołów, gdy się wykluwają, są zupełnie nagie, ślepe, z dużymi brzuchami

Dorota Zawadzka, Grzegorz Zawadzki

Zimą nie słychać śpiewu ptaków. Dzięki temu w cichym zimowym lesie lub parku łatwo usłyszeć niezbyt głośne, delikatne, rytmiczne stukanie. To odgłos żerującego w koronie drzewa dzięcioła, który próbuje dostać się do ukrytych pod korą larw i dorosłych chrząszczy. Jest to zupełnie inny, znacznie cichszy stukot niż werbel; różni się też od dźwięków towarzyszących wykuwaniu dziupli. Dzięcioły spędzają większą część zimy w indywidulanych terytoriach pokarmowych zajmowanych na czas potencjalnego niedoboru pożywienia.

Dużą część zimowego dnia dzięcioły poświęcają na opukiwanie drzew w poszukiwaniu owadów lub na wydobywanie nasion ukrytych pod łuskami szyszek. W tym celu umieszczają szyszki w specjalnych szczelinach zwanych kuźniami. Z unieruchomionej szyszki wciśniętej w pęknięcie kory lub między gałęzie dzięcioł wydobywa dziobem nasiona. Podobnie postępuje z orzechami i innymi owocostanami. (…)

Poza okresem rozrodu główna aktywność dzięciołów polega na poszukiwaniu i pobieraniu pożywienia. W obrębie terytorium przemieszczają się, najczęściej przelatując, w poszukiwaniu nowych, niewyeksploatowanych dotychczas źródeł pokarmu. Około południa ptaki ograniczają aktywność i odpoczywają. Wówczas nie słychać ani stukania, ani ich głosów. Po południu znowu żerują – trwa to niemal do zmierzchu. Dzięcioły najczęściej nocują w dziuplach, wyjątkowo na gałęziach drzew. Przylatują przed zmrokiem w pobliże dziupli noclegowych i po krótkim bębnieniu powoli chowają się w ich wnętrzu. Co ciekawe, nie zawsze wykorzystują do tego własne dziuple. (…)

Dorosłe dzięcioły – poza krętogłowem – należą do ptaków osiadłych. Oznacza to, że w zasadzie całe życie spędzają na stosunkowo niewielkim obszarze, na którym przychodzą na świat, dorastają, zajmują własne terytorium, wybierają parterów i przystępują do rozrodu w kolejnych latach. Pokonują niewielkie odległości w promieniu kilku kilometrów. Większą skłonność do migracji wykazują tylko ptaki w pierwszym roku życia, po opuszczeniu rodzinnego terytorium – ten proces został nazwany dyspersją polęgową.

Osiadłość ma pewne zalety: nie wymaga podejmowania wędrówek, podczas których ptaki przemieszczające się po nieznanych obszarach łatwo padają zdobyczą drapieżników, ulegają kolizjom z przewodami, budowlami lub pojazdami czy wreszcie zostają zastrzelone lub zatrute. Taki los często spotyka wędrujące na położone w Afryce zimowiska bociany, rybołowy czy błotniaki. Wiemy to dzięki zapisom z loggerów GPS GSM, w które badacze wyposażają ptaki. Dzięcioły nie muszą intensywnie żerować przed odlotem, by zgromadzić pod skórą zapasy tłuszczu. Z tej perspektywy ich życie jest łatwiejsze, a na pewno mniej

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 02bf30e678

urozmaicone niż los gatunków odbywających regularne migracje.

Mimo to przetrwanie w zimowym lesie nie jest proste. Presja drapieżników staje się wtedy silniejsza niż latem, gdyż zmniejsza się liczba ich potencjalnych ofiar. Zimowanie wymaga również wykształcenia pewnych przystosowań. Jednym z nich jest obfite upierzenie dzięciołów, które chroni je przed niską temperaturą. Utracie ciepła zapobiega także gruba skóra. Dzięcioły nocują w dziuplach, gdzie jest znacznie cieplej niż w otaczającym drzewa powietrzu. Zimą problemem może się okazać ograniczona dostępność pożywienia, dlatego w tym okresie poszczególne ptaki najczęściej użytkują znacznie większe terytoria obejmujące bogatsze żerowiska. (…)

W celu znalezienia odpowiedniego terytorium zimowego dzięcioły mogą podejmować wędrówki. Dotąd zaobserwowano częste migracje pionowe na terenach górskich, gdzie ptaki mogą spędzać zimę na niżej położonych obszarach. Bronią wówczas swoich terytoriów pokarmowych przed innymi osobnikami własnego gatunku. Tylko dzięciołek zamiast chronić zimowe terytorium, przemieszcza się w poszukiwaniu pokarmu. Ten drobny dzięcioł nie jest gatunkiem ściśle osiadłym, ale koczującym. Co ciekawe, towarzyszami jego zimowych migracji są łuszczaki lub sikory. Można go w tym okresie spotkać nie tylko na drzewach, lecz także w trzcinowiskach!

W zależności od pory roku poszczególne gatunki dzięciołów wykorzystują zróżnicowane fragmenty swojego terytorium. Na wielkość zajmowanych areałów wpływa jakość siedliska zapewniająca dostępność pożywienia i drzew potrzebnych do wykuwania dziupli.

Skąd mamy takie informacje? Dzięki zastosowaniu telemetrii. Badania telemetryczne przeprowadzone w Alpach wykazały, że dzięcioł czarny korzysta z obszaru o wielkości 280-350 ha, przy czym intensywnie użytkuje tylko 80-100 ha, zaś pozostałe części areału odwiedza znacznie rzadziej. Dzięcioł ma swoje „ulubione" miejsca lub raczej konkretne strefy w obrębie terytorium, gdzie zdobywa pokarm, bębni i głosowo znakuje terytorium, a także rozmnaża się i nocuje. Używa też „ustalonych" tras przelotów łączących te obszary.

Szwajcarskie i niemieckie badania wykorzystania przestrzeni przez dzięcioły zielonosiwe wykazały, że wielkość terytorium jednego osobnika to 90-110 ha. Ptaki te w sezonie lęgowym poszukują pokarmu w promieniu do 500 m od gniazda. Z kolei dzięcioły białoszyje zajmują bardzo zróżnicowane areały – w zależności od charakteru i kształtu zamieszkiwanych przez nie zadrzewień – w zakresie od kilku do ponad 10 ha. Prof. Michał Ciach wykazał, że średni promień terytoriów zajmowanych przez te dzięcioły na terenie Krakowa wynosił tylko 140 m, a zajęte dziuple były od siebie oddalone zaledwie o 30 m.

Areały dzięciołów średnich mogą być niewielkie – niekiedy obejmują tylko kilka hektarów starego lasu, za to jeden dzięcioł białogrzbiety zazwyczaj potrzebuje powierzchni rzędu 100 ha. Dzięcioły duże użytkują w ciągu roku od kilku do kilkunastu hektarów lasu, żerując w promieniu 50–100 m od gniazda. Nie więcej niż jeden hektar powierzchni obejmuje areał lęgowy krętogłowa. Dzięcioł trójpalczasty wykorzystuje w ciągu roku obszar 40-400 ha, na którym muszą się znajdować martwe świerki. (…)

Zmienność wielkości wykorzystywanych rewirów lęgowych zależy od jakości środowiska. Im lepszy, czyli zasobniejszy w pożywienie obszar, tym mniejsze terytorium. Dla dzięciołów najważniejszymi czynnikami są zasoby martwego drewna i zamierających drzew, na których żerują, oraz dostępność drzew odpowiednich do wykucia dziupli.

Jako ptaki osiadłe dzięcioły mogą rozpoczynać rozród wcześniej niż gatunki wędrowne, często jeszcze pod koniec zimy. Ptaki te spędzają okres zimowy pojedynczo, a w pary łączą się przed rozpoczęciem lęgów. Ogłaszają inaugurację sezonu rozrodczego intensywnym werblowaniem, lotami tokowymi połączonymi z wydawaniem donośnych głosów, a także przeganianiem innych dzięciołów z zajętego terytorium. Reagują nie tylko na widok, lecz także na głos intruza. Obrona terytorium lęgowego może przybierać różne formy: hałaśliwego werblowania w reakcji na głos konkurenta albo podlatywania w jego kierunku z krzykiem bądź bez wydawania głosu. Reakcje samca są gwałtowniejsze, dłuższe i głośniejsze niż zachowania samicy.

Samiec dzięcioła czarnego w odpowiedzi na głos intruza wolno podlatuje w kierunku źródła dźwięku, przybierając groźną postawę z uniesionymi w górę, rozłożonymi, nieco trzepoczącymi skrzydłami i zadartym ogonem. Taki lot może trwać przez kilka minut. Reakcja jest zależna od tego, w jakiej odległości od centrum rewiru – który stanowi dziupla lęgowa – pojawił się intruz. Im bliżej miejsca lęgu, tym bardziej żywiołowa odpowiedź gospodarzy. Znajdujący się blisko siebie właściciel terytorium i rywal rozpoczynają gonitwy wokół pnia drzewa, przybierając grożące postawy. Silnie wyciągają do przodu dzioby, kręcą głowami i rozkładają skrzydła.

Samce dzięcioła czarnego intensywnie przeganiają rywali, ale są nieco bardziej tolerancyjne wobec płci przeciwnej. Na pojawienie się konkurenta w centrum rewiru lęgowego często reagują oboje partnerzy. Zbliżają się wówczas wspólnie – przy czym samiec leci pierwszy – i wolno okrążają rywala, po czym przysiadają na drzewach w pobliżu. Samiec intensywnie werbluje, a samica wydaje głosy terytorialne. Oddalający się intruz najczęściej nie jest goniony. (…)

Najpóźniej do lęgów przystępują dzięcioł trójpalczasty i krętogłów. Ten ostatni powraca z afrykańskich zimowisk w połowie kwietnia, choć może się pojawić wcześniej. Kiedy

W ciągu całego roku – z wyjątkiem zimy – dzięcioły, podobnie jak wróble lub kuraki, odbywają kąpiele piaszczyste.

eprasa.pl 02bf30e678

w siedzibach innych gatunków trwa wysiadywanie jaj, nietypowe dzięcioły dopiero łączą się w pary i poszukują wolnej dziupli lub skrzynki lęgowej. Niekiedy przepędzają z zajętej już budki dotychczasowych lokatorów – najczęściej są to rozpoczynające wcześniej rozród sikory – doprowadzając do zniszczenia ich lęgów. Te nietypowe pod wieloma względami dzięcioły nie werblują, a jedynie odzywają się monotonnymi, jęczącymi głosami, które wydają zarówno samiec, jak i samica.

Rozpoczynanie lęgów przez poszczególne pary jednego gatunku może być rozciągnięte w czasie nawet na cztery tygodnie. Termin składania jaj zależy głównie od warunków pogodowych. Prace ornitologów w Puszczy Białowieskiej i dane zapisane w kartach gniazdowych z całego kraju wykazały, że jako ptaki osiadłe dzięcioły wyraźniej reagują na ocieplenie klimatu i przyspieszają termin lęgów. Składają jaja coraz wcześniej nie tylko dlatego, że jest cieplej, lecz przede wszystkim dlatego, że wzrost temperatury powoduje szybszy rozwój larw owadów stanowiących podstawę pożywienia piskląt. Gdyby dzięcioły nie dostosowywały się do zmian klimatu, nie miałyby czym karmić swojego potomstwa. Doszłoby do rozsynchronizowania zaadaptowanych ewolucyjnie terminów pojawiania się piskląt i ich pożywienia.

Biologia lęgowa dzięciołów jest znacznie trudniejsza do badania niż u większości innych gatunków ptaków. Nie dość, że dziuple, w których się ukrywają, są umieszczone wysoko nad ziemią, to jeszcze ze względu na małą średnicę otworów wlotowych (zaledwie kilka centymetrów) są niedostępne dla obserwatorów. (...)

Kora wokół dziupli użytkowanych w danym sezonie do rozrodu jest odrapana od wielokrotnego siadania przylatujących tam ptaków i różni się barwą od reszty pnia drzewa. Dzięcioły nie wlatują prosto do dziupli, ale lądują na drzewie w pobliżu i ostrożnie, podskokami zbliżają się do wejścia.

Wysiadywanie jaj u dzięciołów trwa krótko. W zależności od gatunku jest to 12-18 dni. Na przykład ważący 80 gramów dzięcioł duży wysiaduje jaja tylko przez 13 dni, a mający zbliżoną masę dudek aż 18 dni. Pisklęta dzięciołów są gniazdownikami właściwymi. Oznacza to, że gdy się wykluwają, są słabo zaawansowane w rozwoju, zupełnie nagie, ślepe, z dużymi brzuchami. Nie da się ukryć, że na tym etapie nie prezentują się zbyt urodziwie.

Dosyć długi jest za to rozwój piskląt w gnieździe – trwa 20-28 dni. Jaja dzięciołów są nieproporcjonalnie małe w stosunku do wielkości dorosłych ptaków. Młode dzięcioły rozwijają się wolniej niż np. wróblaki, które także są gniazdownikami właściwymi. Dzieje się tak dlatego, że w momencie wyklucia dzięcioły są mniej zaawansowane w rozwoju osobniczym niż pisklęta z innych rzędów gniazdowników, a zatem ich rozwój od chwili wyklucia do osiągnięcia zdolności lotu musi zająć więcej czasu. Ewolucyjne skrócenie czasu wysiadywania i relatywnie długi okres rozwoju piskląt jest uważany za przystosowanie, które chroni życie dorosłych ptaków. Przebywające w dziupli dzięcioły w sytuacji wtargnięcia drapieżnika mają odciętą drogę ucieczki, więc z ewolucyjnego punktu widzenia mniejszą stratą jest zniszczenie lęgu

KSIĄŻKI

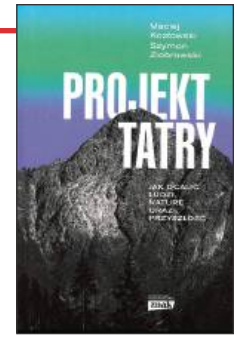

Szymon Ziobrowski, Maciej Kozłowski
Projekt Tatry
Jak ocalić ludzi, naturę oraz przyszłość
Znak Horyzont, Kraków 2022

W każde wakacje Zakopane odwiedza niemal 2 mln osób, więc dla dobra ich i środowiska naturalnego podhalańskie tradycje i cyfrowa ewolucja muszą się spotykać. Z ich połączenia powstała silna marka – Tatrzański Park Narodowy. Jego historię i rozkwit bierze pod lupę Maciej Kozłowski. Dyrektora TPN Szymona Ziobrowskiego wypytuje o metody projektowe i pomysły na proekologiczną organizację, która nie zapomina o turystach, Filipa Ziębę o niedźwiedzie, dr. Sylweriusza Kosińskiego o medycynę górską, a Marcina Gąsienicę-Kotelnickiego o wspinaczkę.

Robert Samborski
Kościoła nie ma
Wspomnienia po seminarium
Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2023

Czy można wyzwolić się spod władzy Kościoła? Szczególnie gdy było się jego częścią i korzystało z przysługujących księżom przywilejów? Autor po bestsellerowym „Sakramencie obłudy", w którym opisał pobyt w seminarium, tym razem rozlicza się z późniejszym okresem, kiedy wyrzucony z diakonatu, wciąż miał nadzieję na przywrócenie i otrzymanie święceń. Sytuacja zawieszenia okazała się destrukcyjna, ale i zbawienna.

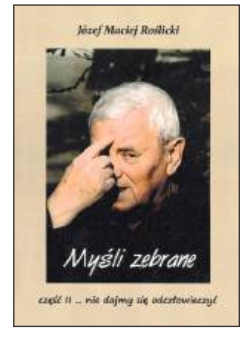

Józef Maciej Roślicki
Myśli zebrane
Część II. Nie dajmy się odczłowieczyć
Studio Projektu Graficznego „ART-WENA" 2022

Zbiór refleksji i uwag czasem wyczytanych, czasem zasłyszanych przez autora, które w jego intencji być może wskażą nam sposób, jak być lepszymi dla samych siebie. Niektóre z nich pozwolą łatwiej zrozumieć otaczającą rzeczywistość, inne mogą być swoistą wskazówką do działania albo przestrogą. Czytajcie, a znajdziecie coś dla siebie.

eprasa.pl 02bf30e678

niż śmierć dojrzałych ptaków, które mogą się rozmnażać przez kilka kolejnych lat.

Pierwsze młode dzięcioły opuszczają dziuple lęgowe pod koniec maja, ostatnie w lipcu. (…) Z wieloletnich badań prof. Tomasza Wesołowskiego prowadzonych wraz z zespołem w rezerwacie ścisłym Białowieskiego Parku Narodowego wynika, że rozpoczynanie lęgów przez pięć gatunków dzięciołów w jednym sezonie było rozciągnięte na ponad dwa miesiące. (…) Co ciekawe, w ciągu 45 lat dzięcioły przyspieszyły rozpoczynanie lęgów o dwa-trzy tygodnie.

Po zakończonych lęgach dorosłe ptaki przechodzą kompletne pierzenie. Wymiana piór jest konieczna, gdyż noszone wcześniej pióra ulegają zniszczeniu podczas drążenia dziupli, żerowania, wysiadywania i karmienia młodych. Nowe upierzenie wyrasta na przełomie lata i jesieni. Ptaki tegoroczne przechodzą częściowe pierzenie wkrótce po wylocie z dziupli – wymieniają wtedy niektóre lotki i sterówki. Świeże pióra są nieznacznie ciemniejsze od starych.

Po zakończeniu lęgów pierzenie odbywają także wędrowne krętogłowy. W połowie sierpnia ptaki te rozpoczynają migrację do Afryki. Większość z nich opuszcza nasz kraj przed połową września, ale zdarzyło się, że krętogłowa obserwowano w Polsce 17 listopada, a nawet 31 grudnia na Śląsku. Krętogłowy spędzają zimę na południe od Sahary – w Senegalu, Kenii i Etiopii. Wędrują przeważnie w nocy. Trasy migracji populacji z Europy Zachodniej prowadzą przez Półwysep Iberyjski, a z centralnej części kontynentu wiodą przez Półwysep Bałkański i Włochy. Wykazano, że ten niewielki ptak był w stanie pokonać aż 600 km w ciągu ośmiu dób, czyli średnio 85 km dziennie. (…)

W ciągu całego roku – z wyjątkiem zimy – dzięcioły, podobnie jak wróble lub kuraki, odbywają kąpiele piaszczyste. Mogą też kąpać się w wodzie, a niekiedy urządzają sobie kąpiel w mrowisku, pozwalając, by mrówki je kąsały, co powoduje aplikację kwasu mrówkowego, ta zaś pomaga w pozbyciu się pasożytów skórnych. Dzięcioły zielony i zielonosiwy praktykują także aktywne nacieranie upierzenia mrówkami chwytanymi w tym celu dziobem.

Wysiadywanie jaj u dzięciołów trwa krótko. W zależności od gatunku jest to 12-18 dni.

Rozkopywanie mrowisk w ramach utrzymania higieny piór, a także podczas chwytania mrówek było przyczyną opracowania przez leśników specjalnych siatek do ochrony mrowisk przed „niszczycielskim" działaniem dzięciołów. W Zespole Ochrony Lasu w Opolu pracował kiedyś specjalista, który zrobił doktorat z metod ochrony mrowisk przed dzięciołami. Przez pewien czas mrówki były uznawane przez leśników za „pożyteczne", a dzięcioły za „szkodliwe". Na szczęście siatki ochronne na mrowiskach były stosowane krótko i tylko na południu Polski.

Latem i jesienią młode ptaki rozpoczynają dyspersję polęgową, czyli opuszczają rewiry zajmowane przez rodziców w poszukiwaniu własnych terytoriów. Przemieszczenia te odbywają się zazwyczaj między sierpniem a listopadem. To na tym etapie życia ptaki pokonują największe dystanse w swoim życiu i niekiedy pojawiają się w miejscach odległych od zwartego zasięgu, ba, nawet w siedliskach zupełnie nieodpowiednich dla dzięciołów. Wyniki obrączkowania wskazują, że największe odległości pokonane przez dzięcioła czarnego w Europie Środkowej i Zachodniej wynosiły nawet ok. 1000, 529 i 500 km. Zdecydowana większość ptaków osiedla się jednak w odległości nie większej niż 20 km od miejsca wyklucia.

Dzięcioły żyją przeciętnie kilka lat.

Wyjątkowo długie dystanse mogą pokonywać także ptaki kilkuletnie. Jesienne przemieszczenia na duże odległości podejmują czasami dzięcioły zielonosiwe. Zdarza się, że jesienią dzięcioły duże podejmują koczowanie. Część z obserwowanych wówczas w Polsce osobników stanowią przybysze ze Skandynawii. Przelatujące dzięcioły duże w niektórych sezonach jesiennych pojawiają się licznie w górach, dokładnie w piętrze kosodrzewiny.

Duże odległości mogą jesienią pokonywać także dzięcioły białoszyje, czego dowodem jest rozszerzanie się zasięgu tego gatunku w Polsce i obserwacje pojedynczych lęgów poza granicą znanego obszaru występowania. Spektakularnym przykładem tego zjawiska był lęg mieszany dzięciołów białoszyjego i dużego stwierdzony w Warszawie w 1983 r., w odległości ok. 300 km na północny zachód od ówczesnej granicy występowania dzięcioła białoszyjego w Polsce. (…)

Dzięcioły żyją przeciętnie kilka lat. Dane dotyczące obrączkowanych ptaków w Europie dokumentują maksymalną stwierdzoną długość życia dzięcioła dużego na 10 lat i dziewięć miesięcy, dzięcioła średniego na osiem lat, dzięcioła czarnego na siedem lat, dzięciołka na sześć lat i pięć miesięcy oraz dzięcioła zielonosiwego – na pięć lat i siedem miesięcy.

U dzięciołów więź pomiędzy partnerami rozpada się wkrótce po zakończeniu lęgów. Jesienią samiec i samica zajmują osobne obszary, często obejmujące część wspólnego terytorium lęgowego. Gdy w tym okresie dawni partnerzy przypadkowo się spotkają, mogą być wobec siebie agresywni. Relacje między nimi zmienią się dopiero na progu kolejnego sezonu lęgowego. Tak zamyka się cykl życiowy dzięciołów.

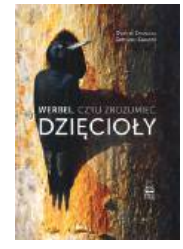

Fragmenty książki Doroty Zawadzkiej i Grzegorza Zawadzkiego *Werbel, czyli zrozumieć dzięcioły,* Wydawnictwo Paśny Buriat, Kielce 2022

eprasa.pl 02bf30e678

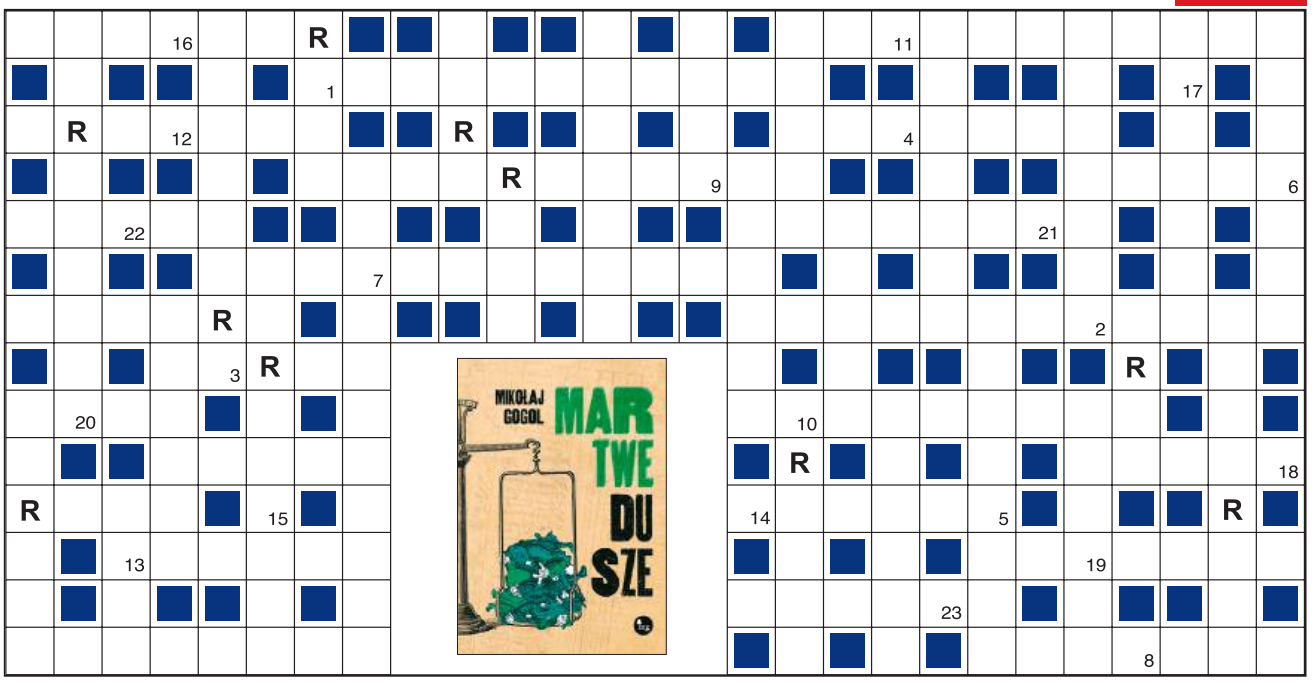

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- posiadaczka telefonu uiszczająca stałą opłatę
- nauka o rolnictwie
- zgłoszenie udziału, włączenie się
- w niej starożytni przechowywali wino, oliwę
- Stanisław cięty na Balcerka
- arkusz zbieracza opinii
- zachwalanie własnej firmy, twórczości
- jeden z najstarszych w Polsce dębów
- lanie, cięgi
- gałąź produkcji, handlu
- bibelot, klejnocik, cudeńko
- Jacek, autor tekstów piosenek
- przynależność do organizacji, partii
- wnikliwość badacza, detektywa
- policjant patrolujący osiedle
- zawodnik na hipodromie
- …Owalny w Białym Domu
- czy wypiek, czy utwór – nieudany
- zdarzenie nieprzyjemne lub mało ważne
- mały chłopiec jak zdrobnienie imienia
- kraina i wełniana tkanina
- przyścienna lampa lub świecznik
- …rzymski, roślina z selerowatych
- zezwolenie na nadawanie, na sprzedaż alkoholu
- biały dym znaczy, że zdecydowało
- tam zespół szkół dla niewidomych
- …sodu – ma wspierać zdrowie jelit
- o nią spór Kargula i Pawlaka
- lecznicza płynna mieszanina
- łagodne zagłębienie terenu
- skupisko budynków mieszkalnych
- końcowe dni karnawału
- imię pływaczki Jędrzejczak
- tusza, korpulentność
- podłogowe lub fotowoltaiczne
- i przeciwdeszczowa, i ozdoba drinka
- pocztowy transfer gotówki
- piosenka „Ryby, żaby i…”
- przeżera żelastwo
- dawny patrol kontrolujący warty
- rwana przez ciężarowca
- ćwierkanie, szczebiot
- talia z Mieczami, Pucharami
- opasła księga
- dostosowanie artykulacji głoski do sąsiedniej
- …wody przez filtrowanie, ozonowanie
- zatopiony statek, rozbite auto
- ani dodatnie, ani ujemne
- ślubna, magnifika

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1109”. Do rozlosowania książki „Martwe dusze” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 26 marca 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1106” z nr. 9: *Cudza szkoda nie czyni lepszym.*
Nagrody otrzymują: Jan Bucior z Zagródek, Jolanta Nowak z Bełchatowa, Wiesława Rowińska z Siedlisk.

eprasa.pl 02bf30e678

Papierz. Ambasador Kamińskiego

To był show dla wtajemniczonych. Andrzej Papierz, były dyrektor generalny w MSZ, od prawie dwóch lat zepchnięty w ministerstwie gdzieś na bok, stanął przed sejmową Komisją Spraw Zagranicznych. Jako kandydat na ambasadora w Czarnogórze. Przeszedł. Jednym głosem.

Czy to oznaka siły, czy upadku?

W latach 2018-2021 Papierz był dyrektorem generalnym służby zagranicznej, czyli zarządzał kwestiami kadrowymi i finansowymi w resorcie, miał zatem potężną władzę. I wykorzystywał ją w brutalny sposób. Publiczne besztanie ambasadora? Czemu nie! Ciągnęły się też za nim różne niewyjaśnione sprawy obyczajowe. I sądowe procesy.

Ofiarami jego złego nastroju i braku ogłady były osoby z różnych rozdań. Także pisowskich. Gdy Zbigniew Rau zostawał ministrem spraw zagranicznych, Witold Waszczykowski mu podpowiadał: „Trzeba by się pozbyć lub zdyscyplinować w MSZ pewnego Rasputina, który tam rządzi".

Po wielu miesiącach, za pomocą nowej ustawy o służbie zagranicznej, Rauowi udała się ta sztuka. Minister odesłał na boczny tor swojego pracownika! I teraz, po prawie dwóch latach, zgodził się na jego wyjazd do Czarnogóry. Ewidentnie na odpoczynek.

Takie było tło przesłuchania. A teraz aktorzy wydarzenia. Rolę pierwszoplanową odegrał wiceprzewodniczący komisji, Teofil Bartoszewski.

Mówił tak: „Z pewnym zdziwieniem zauważyłem, że na dzisiejszym posiedzeniu komisji będziemy rozpatrywać kandydaturę pana Papierza na ambasadora. I nie zdziwiło mnie, że pana wystąpienie (tu zwrócił się do wiceministra Mularczyka) na temat ambasadora było najkrótszym wystąpieniem ministra spraw zagranicznych przedstawiającego kandydata na to stanowisko. Doskonale rozumiem pana pozycję w tym względzie. (…)

Kandydat stwierdził, że jest osobą wyrazistą. Ja bym powiedział, że to jest najbardziej kontrowersyjny pracownik MSZ, jakiego przyszło nam znać. Skonfliktowany z całą masą pracowników, w tej chwili również byłych pracowników, w randze ambasadorów. Posiadający opinię osoby nieprzyjemnej, ofensywnej, agresywnej. Niekulturalnej. O czym mówią nie tylko pani ambasador i pan ambasador, z którymi są sprawy w sądzie, ale także tacy, z którymi tych spraw nie ma. (…)

Jak ministrem spraw zagranicznych został pan Zbigniew Rau, to zapowiedział w mediach publicznych, że doprowadzi do zmiany na stanowisku dyrektora generalnego MSZ. I udało mu się to mniej więcej w pół roku. Była to wspomniana ustawa o służbie zagranicznej. Ta ustawa miała dwa cele. Jeden – możliwość mianowania 100 ambasadorów o nie całkiem jasnych kwalifikacjach. Ale celem podstawowym, co przeszło niezauważone, była możliwość wymiany dyrektora generalnego służby zagranicznej. Miałem w tej sprawie możliwość wymiany zdań na sali sejmowej z ministrem Rauem, którego zapytałem, czy jest konieczność wprowadzenia tak destrukcyjnej ustawy, żeby usunąć jednego pracownika.

W tej sytuacji proponowanie pana Papierza na ambasadora jest zadziwiające. Bo nie bardzo widzę, jak minister Rau będzie chciał współpracować z panem ambasadorem, którego chciał usunąć ze służby zagranicznej. To musi być jakieś porozumienie natury nie dyplomatycznej, tylko politycznej".

Inni posłowie interesowali się powodem cofnięcia Papierzowi poświadczenia bezpieczeństwa przez ABW. Musiał zresztą z tego powodu skrócić swoje urzędowanie w Bułgarii. Poseł Krystian Kamiński pytał wiceministra Mularczyka, jak wyglądają sądowe sprawy o mobbing i nadużycie uprawnień, które pozakładali Papierzowi pracownicy MSZ.

Mularczyk odpowiadał, że owszem, wpłynęła do MSZ informacja o toczących się procesach. Ale, jak sprawdził w dziale prawnym, żadne wyroki nie zapadły. Nie ma więc formalnych przeszkód, by nominat mógł wyjechać.

A sam Papierz? Bronił się jak sierżant. „O każdym są jakieś opinie w MSZ – mówił. – W życiu nie kieruję się opiniami, tylko realizuję zadania, jakie przede mną są postawione". I dodawał: „Doprowadziłem do ostatecznego rozwiązania kwestii moralnej i etycznej, czyli pozbycia się z szeregów służby zagranicznej osób, które były uwikłane w donoszenie, które były konfidentami Służby Bezpieczeństwa i innych służb".

Andrzej Papierz podczas obchodów Dnia Służby Zagranicznej.

A sprawa certyfikatu bezpieczeństwa? Odparł, że nie wie, dlaczego tak się stało. Już po posiedzeniu komisji przypomniano mu artykuł w „Newsweeku", w którym opisywano jego odwołanie z ambasady w Sofii w atmosferze skandalu. „Nie chodziło nawet o to, że Papierz wykorzystywał seksualnie swoją podwładną, co w każdym zachodnim kraju eliminowałoby go z funkcji publicznych, i nie chodzi o to, że został on na tym nakryty przez jednego z technicznych pracowników ambasady. Ten pracownik bał się swojego przełożonego i nic by nie powiedział, gdyby nie bezczelność samego Papierza, który próbował prewencyjnie wyrzucić go z roboty".

Tyle „Newsweek". Papierz miał okazję odnieść się do tej historii, szkoda, że wolał udawać, że nie wie, o co chodzi.

I teraz zakończenie. Andrzej Papierz został zaakceptowany przez komisję stosunkiem głosów 12:11. W komisji zasiada 16 posłów PiS i 14 opozycji. Gdyby opozycja przyszła w komplecie, zostałby zatrzymany. Nasuwa się pytanie, jakie były powody tych nieobecności. Czy ktoś tu lobbował?

I pytanie drugie. Wiceminister Mularczyk, prezentując życiorys Papierza, mówił, że w latach 90. pracował on w UOP, skąd za czasów premiera Buzka przeszedł do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Nie mówił natomiast, że wcześniej działał w Lidze Republikańskiej i jest kolegą Mariusza Kamińskiego. Nie powiedział też, jaki ma stopień służbowy. Szkoda, bo to wiele by wyjaśniło.

Attaché

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

eprasa.pl 02bf30e678

PENETRACJE

Monde diplomatique

ANNIE ERNAUX,
PISARKA, LAUREATKA LITERACKIEJ NAGRODY NOBLA

W 1995 r. ludzie zdawali sobie sprawę, że państwo, atakując pracowników służb publicznych, pośrednio atakuje sposób życia wszystkich. Dobrze rozumieli to, skandując: „Wszyscy razem" w obronie „zdobyczy socjalnych" – te słowa wtedy się narzucały. Dziś rzadziej je słyszymy. Dekady liberalizmu gospodarczego sprawiły, że stały się niemal wstydliwe, nieprzyzwoite. Robi się wszystko, by wyrugować tę ideę z naszych głów i z naszego życia, jednocześnie znajdując uzasadnienie dla zysków najbogatszych. Wszyscy widzimy, jak narasta bezprecedensowa reakcja pracowników najemnych, którzy mają dość śmieciowych umów i absurdu pracy.

TYGODNIK ANGORA

O. PAWEŁ GUŻYŃSKI,
DOMINIKANIN

Nigdy nie miałem wątpliwości co do tego, że Jan Paweł II wiedział, że księża dopuszczają się przestępstw pedofilskich. Znam działanie mechanizmu władzy w Kościele. Biskup nie jest przełożonym, który ocenia wyłącznie wydajność i przydatność pracownika, a o prywatne sprawy nie ma prawa pytać. Biskup to taki przełożony, który zna doskonale szczegóły życia swoich podwładnych. Trochę zadziwia mnie, że trzeba to obecnie udowadniać. Ale tych, co o tym informują, politycy nie mogą stawiać poza kręgiem cywilizacyjnym.

zwierciadło

ORINA KRAJEWSKA,
PREZESKA FUNDACJI MAŁGOSI BRAUNEK „BĄDŹ"

Trzeba pożegnać utopię życia bez stresu. Równowagę osiągamy chwilami, bo życie polega na ruchu, ciągłym procesie. Świat się zmienia, my się zmieniamy. W gabinecie terapeutki zobaczyłam zdanie: „Życie jest jak jazda na rowerze. Żeby utrzymać równowagę, trzeba cały czas być w ruchu". Bardzo mi to odpowiada. Uważność to pierwszy krok do podejmowania świadomych decyzji. Nie angażując się w swoje życie, czyli też w budowanie zdrowia, codziennych nawyków, pozwalamy, by nurt zabrał nas gdzieś bezwiednie, gdzie często jest ból. Zwrócenie uwagi na siebie to początek relacji z innymi. Relacja z ludźmi jest po prostu lustrem.

VIVA!

JAN PESZEK,
AKTOR

Moi dziadkowie ciągle powtarzali, że życie jest fantastyczne, tylko trzeba umieć z niego korzystać. Mimo silnego katolickiego wzorca nie pielęgnowali wzorca *memento mori*, tylko *memento vivere*. Odprowadzałem kiedyś na stację babcię Stefanię Krakowską, mamę mojej mamy. Stałem na peronie, pociąg powoli ruszył, nagle babcia otworzyła okno, wychyliła się i krzyknęła, do dziś nie wiem dlaczego: „Janeczku, pamiętaj. Życie jest piękne i krótkie jak przeciąg". Zatrzasnęła okno i zostawiła mnie z tym testamentem. Minęło ponad 60 lat, a ja wciąż nie chcę stracić ani sekundy życia.

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA, POLSKA ORKA POLITYCZNA, ANONIMOWY INTERNAUTA, TVPKOREA

eprasa.pl 02bf30e678

UWAGA, BYK!

Poprawa byków w tekstach krzyżówek to duże wyzwanie dla korektorów.
Oto objaśnienia przed korektą, z błędnym słowem. Popraw błąd, a następnie odgadnij hasło.

		Ó					

* ocena prymasa

		H					

* wstawił się odwagą

							S	

* zbiry na łące

ROZWIĄZANIA: SZÓSTKA, BOHATER, SIANOKOSY

Aby język giętki…

PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO
O OPOZYCJI

Ma świetną okazję, aby przeciwstawić się szkodliwemu społecznie i gospodarczo wojskowemu skokowi na kasę.

JANINA OCHOJSKA
O MURACH GRANICZNYCH

Granica powinna być kontrolowana, ale nie może być murem. Ludzkość rozwija się dzięki migracjom.

JERZY SKOLIMOWSKI O FILMIE „IO"

W Stanach nastąpiła fala fenomenalnych recenzji. Nigdy w życiu nie miałem tak dobrej prasy.

MACIEJ STUHR O OJCU JERZYM

Najsłynniejszy 07 w historii polskiego kina od czasu por. Borewicza. Któż nie chciałby zagłosować na niego w kategorii „Osioł roku".

MICHAŁ KOŁODZIEJCZAK
O ZIEMNIAKACH

W ciągu 15 lat zmniejszyliśmy produkcję cztery razy. Największą firmą w tej branży jest w Polsce angielska korporacja.

SZYMON JADCZAK
O ŻONIE JUSTYNIE SUCHECKIEJ

Choć też jest z branży, więc myśli tak jak ja, ma większy pierwiastek refleksji i spokoju.

ANNA ROMANTOWSKA O SOBIE

Może nie stąpam twardo po ziemi, ale się nad nią nie unoszę.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 02bf30e678

1.

2.

Zgruzowstanie Warszawy

1945-1949

Gruz po wojnie pokrywał niemal całą Warszawę – było go ok. 22 mln m sześc. Materiały użyte do odbudowy miasta pochodziły z ruin, a życie stolicy w pierwszych latach po wojnie toczyło się wokół rozbiórek, pozyskiwania i przerabiania tego, z czego można było budować na nowo. Po raz pierwszy na wystawie gruzy stają się centrum opowieści. To pochodzące z kolekcji muzeum elementy rzeźb i architektury, kafle piecowe czy ceramika, ale także cegły rozbiórkowe i gruzobeton. W kontekście historycznym osadzają je fotografie, grafiki, malarstwo, dokumenty, mapy oraz kroniki filmowe i nagrania historii mówionej. We współczesności zaś – prace artystek i artystów, m.in. Diany Lelonek czy Moniki Sosnowskiej.

Muzeum Warszawy
Rynek Starego Miasta 42
od 30 marca do 3 września

3.

1. Wojciech Fangor, Murarze, 1950, Muzeum Warszawy
2. Tymek Borowski, Gruz nad Warszawą, 2015, Muzeum Warszawy
3. Brygada pracy w drodze na akcję odgruzowywania, 1945, fot. Zofia Chomętowska, Muzeum Warszawy

eprasa.pl 02bf30e678

Konferencja

22→24.03. 2023

Transformacja. Jak zmieniamy szkoły teatralne?

→

Akademia Teatralna im. A. Zelwerowicza
ul. Miodowa 22/24
Warszawa

wstęp wolny

www.transformacja.at.edu.pl

Akademia Teatralna im. A. Zelwerowicza Warszawa · Ministerstwo Edukacji i Nauki · Doskonała Nauka · Dofinansowano ze środków Ministra Edukacji i Nauki Nauka dla społeczeństwa · Nauka dla Społeczeństwa · Przegląd · Change Now! Zmiana – teraz! · Transformation · Teatr Komuna Warszawa · Centrum Podróży Ursynów · Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej Erasmus+

eprasa.pl 02bf30e678

TEATR CAPITOL

PRZEBOJOWE KOMEDIE ◆ GWIAZDORSKIE OBSADY ◆ PRZEDSTAWIENIA DLA DZIECI

Kiedy kota nie ma...

W KWIETNIU POLECAMY

O co biega?

Potężna dawka energii i znakomita zabawa gwarantowane!

Kiedy kota nie ma...
1, 16, 23, 27 kwietnia

O co biega?
20, 25 i 30 kwietnia

◆ KUP BILET TEATR CAPITOL 2023 ◆ www.teatrcapitol.pl ◆

Patroni Medialni: RMF MAXX, Tok Tygodnia, Rzeczpospolita, ams, onet, Przegląd, Kobiety, Familie.pl

Partnerzy Teatru: Strefa Music, O bag, kicket, Aktywna Warszawa, mzo, mokosh

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 02bf30e678